CZY PUTIN POŁKNIE BIAŁORUŚ?
JAK WALCZY ŁUKASZENKA

CZY POLSKA PRAWICA MOŻE SIĘ DOGADAĆ Z AfD?
MOCNY WYWIAD Z GEORGIEM PAZDERSKIM

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 2 (320) 2019
14–20 stycznia 2019
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

ROZGRZANA KASTA

SĘDZIOWIE CORAZ CZĘŚCIEJ WCHODZĄ NA POLITYCZNĄ BARYKADĘ.
LISTA BUDZĄCYCH WĄTPLIWOŚCI WYROKÓW BULWERSUJE I NADAL SIĘ WYDŁUŻA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet 6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 23b1ab3917

Salvini, czyli moc zmiany

Reakcje pana Schetyny i okolicznego towarzystwa na wizytę w Warszawie Matteo Salviniego, wicepremiera i szefa MSW Włoch oraz lidera współrządzącej tam Ligi, to kolejny smutny dowód na zakłamanie naszej opozycji w sprawach międzynarodowych. Żądanie, by polskie władze bojkotowały oficjalne władze dużego europejskiego partnera, nie wytrzymuje próby krytyki. Jest też całkowicie sprzeczne z tyradami o groźbie rzekomej izolacji Polski. Dowiadujemy się przy tej okazji, że chodzi o coś innego. Oto jedynym kryterium oceny sąsiadów ma być ideologiczna zbieżność i życzliwość wobec Berlina. Kto się w ten krąg nie wpisuje, ma być potępiony. Włosi wybrali niewłaściwie z punktu widzenia Niemiec? Potępić, odrzucić, pogonić.

To prosta droga do rozbicia Unii Europejskiej. Prawdziwi Europejczycy nie mogą zamykać oczu na dokonujące się zmiany, na wołanie obywateli o nową politykę. Rozsądną, pozbawioną lewicowego szaleństwa, szanującą tożsamość i ustanowiony w traktatach zakres suwerenności. Przy wszystkich różnicach widać to we Włoszech, w Austrii, na Węgrzech, nawet we Francji. I nawet w Niemczech, o czym przeczytają państwo w naszej rozmowie z berlińskim liderem partii AfD na stronach 38–43. To pierwszy tak poważny wywiad polityka tej partii w polskiej prasie. Różnice oczywiście są, niekiedy duże, ale jest też spora przestrzeń wspólna.

Moc zmiany jest w Europie naprawdę duża.

Michał Karnowski

Pokora, umiar, jawność

Kontrowersje wokół wysokości zarobków w państwowych instytucjach i spółkach (w tym najświeższa sprawa wynagrodzeń w NBP) są naturalnym problemem, z którym zmagać się musi każda partia władzy po kilku latach rządów. Od reakcji na to zjawisko zależy, czy PiS wejdzie w rok wyborczy z głęboką zadyszką, czy w niezłej kondycji. Tym bardziej że sprawa dotyczy DNA ekipy dobrej zmiany: pokory, umiaru i jawności w życiu publicznym.

Tak naprawdę wyjścia są dwa. Pierwsze to konferencje przypominające jak najgorsze momenty dawnej Państwowej Komisji Wyborczej; swoisty folklor polityczny znany z instytucji zabetonowanych – także mentalnie – w przaśnych latach 90., a może i wcześniej. W dodatku często okraszony butą i poczuciem oblężonej twierdzy. Drugie to wykorzystanie całego rozgardiaszu na realnie dobrą zmianę: wprowadzenie obowiązku jawności wynagrodzeń w państwowych instytucjach i spółkach. Nie ma absolutnie żadnego powodu, by czarować opinię publiczną w tej sprawie. Cieszy, że w PiS zaczęło przeważać to drugie rozwiązanie.

Przejęcie inicjatywy w tej kwestii wydaje się czymś koniecznym, by uniknąć scenariusza, w którym wielu wyborcom zakoduje się w podświadomości, że w zasadzie politycy PO i PiS to to samo zło. Przestrzegał przed tym w ostatnich tygodniach Jarosław Kaczyński, najwyższy czas przełożyć to na konkrety.

Marcin Fijołek

2/0119/F
eprasa.pl 23b1ab391

SIECI spis treści

32 *Gra w premiera* *Stanisław Janecki*

62 Polsce należą się reparacje *Karl Heinz Roth*

82 Gdzie na ferie *Przemysław Barszcz, Anna Monicka*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KOŚCI KOSINIAKA**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **PYTAM PREJUDYCJALNIE…**
Jan Pietrzak

15 **SALVINI A SPRAWA POLSKA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **POLSKIE SERCE EUROPEJSKIEJ AWANGARDY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **ROZGRZANA KASTA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

29 **SALVINIEGO PIELGRZYMKA DO WARSZAWY**
Jan Rokita

32 **GRA W PREMIERA**
Stanisław Janecki

35 **CZAS RADYKAŁÓW**
Konrad Kołodziejski

38 **Z GEORGIEM PAZDERSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

44 **TAJEMNICE ZAGINIONYCH NAGRAŃ „SUPERWIZJERA”**
Wojciech Biedroń

46 **ZNISZCZYĆ KOŚCIÓŁ, CZYLI ZGASIĆ DUCHA NARODU**
Marzena Nykiel

48 **Z JANUSZEM WARDAKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

51 **„HAMLET” NA JUBILEUSZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

53 **91. URODZINY FRANCISZKA PIECZKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

54 **POCZĄTEK KOŃCA POPRAWNOŚCI POLITYCZNEJ?**
Łukasz Adamski

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

57 **MONIUSZKO – WIELKOŚĆ WCIĄŻ ODKRYWANA**
Adam Ciesielski

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **REPARACJE. PRÓBA BILANSU**
Karl Heinz Roth

64 **NAJWIĘKSZY NIESPŁACONY DŁUG**
rozmowa z Karlem Heinzem Rothem

HISTORIA

67 **POSTRACH ROSJAN**
Artur Jagnieża

ŚWIAT

71 **ZBIERANIE RUSKIEJ ZIEMI**
Piotr Skwieciński

GOSPODARKA

74 **PODATKOWE BAJKI PLATFORMY**
Janusz Szewczak

76 **UŻYTKOWANIE WIECZYSTE DO LAMUSA**
Szymon Szadkowski

SPORT

79 **PIŁKARSKA TRAGIFARSA W SZEŚCIU AKTACH**
Cezary Kowalski

FERIE 2019

82 **ZIMOWA PRZYGODA**
Przemysław Barszcz

84 **ZADĄĆ W TROMBITY PO NARTACH**
Anna Monicka

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: ERIC KHOO**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **RIPOSTA**
Piotr Skwieciński

89 **STO RAZY WIĘCEJ BOHATERÓW**
Maciej Pawlicki

90 **POLEMIKA ZE ZŁEM**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **POLA**
Aleksander Nalaskowski

93 **NA WŁASNĄ PROŚBĘ**
Wiktor Świetlik

94 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **STAWIAM NA EKSPREZYDENTA**
Ryszard Makowski

97 **TEN ROK Z MONIUSZKĄ**
Leszek Długosz

98 **W OCEANIE DEZINFO**
Andrzej Zybertowicz

20/0119/F

eprasa.pl 23b1ab3917

50 mld zł
PKO Bank Polski

Najcenniejszy w Polsce, doceniony na świecie.

Bank Polski

Wart blisko 50 mld zł PKO Bank Polski jest najcenniejszą spółką w kraju*. Jako jedyny polski podmiot zakwalifikował się do grupy dużych spółek indeksu rynków rozwiniętych FTSE Russell. Z dumą rozpoczynamy rok obchodów stulecia banku.

100
1919/2019

*Kapitalizacja PKO Banku Polskiego na GPW na zamknięciu ostatniej sesji w 2018 roku wyniosła 49,34 mld zł.

Sygnalista nadaje

Najpierw Andruszkiewicz, potem Glapiński, teraz dziki. Pierwsze dziesięć dni nowego roku minęło pod znakiem wściekłych szturmów opozycji na pisowskie szańce. I tak będzie już do końca, czyli do dnia wyborów. Najciekawsza w tym wszystkim jest nadzieja części pisowców, zwłaszcza w rządzie, że jeśli posprząta się jedną, drugą czy trzecią sprawę, to w końcu przyjdzie czas wymarzonego spokoju i żadna awantura nie zaburzy szans wyborczych partii Kaczyńskiego.

Tyle że tak piękny dzień nie nastanie, bo pretekstów do ataku nie zabraknie nigdy, a media III RP znów dochodzą do życiowej formy. Jedynym wyjściem jest budowa własnej agendy. Skoro PiS w opozycji, nie mając ciężkich armat, było w stanie narzucać tematy debaty, to dlaczego dziś rezygnuje z tego narzędzia, choć ma i władzę, i dostęp do mediów publicznych? Tusk budził się rano i zastanawiał się, o czym dziś będą rozmawiali Polacy. Tego akurat warto się uczyć.

Doniesienia o gigantycznych zarobkach asystentek/dyrektorek w NBP robią kolosalne wrażenie na wyborcach, także, a może zwłaszcza, na wyborcach PiS. Posłowie donoszą o bardzo kiepskich nastrojach w terenie. I nie ma znaczenia, czy legendarne już 65 tys. to kwota prawdziwa. Dla ludzi zarabiających między 2 a 3 tys. zł (a to pensja najczęściej w Polsce występująca) nawet kwota o połowę niższa brzmi astronomicznie. Zaczyna się zrównywanie ekipy PiS z poprzednikami, a to dla partii rządzącej śmiertelne wręcz niebezpieczeństwo.

Wypływają kolejne listy do Czesława Kiszczaka. W grudniu 1989 r. Andrzej Wielowieyski złożył szefowi bezpieki życzenia świąteczne i noworoczne. Wychwalał także wkład generała w krzewienie demokracji: „150 mln środkowo-wschodnich Europejczyków wchodzi, dzięki Panu, na drogę pięknej, choć trochę rozszalałej, demokracji" – czytamy w liście. Niestety nie wiadomo, czy to było tylko podlizywanie się, czy też budząca grozę naiwność, granicząca z głupotą. Kiszczak musiał mieć niezły ubaw.

Jest takie powiedzenie: jeśli piarowiec staje się głównym bohaterem afery, to jest to jego klęska. Sprawę zarobków w NBP rozegrano gorzej niż fatalnie: reakcje są spóźnione, nieprzekonujące, a niektóre wręcz dolewają oliwy do ognia. Inna sprawa, że w tym ataku może też być drugie dno. Pozbycie się Adama Glapińskiego byłoby na rękę potężnym lobby finansowym, które krok po kroku odbudowują swoją pozycję świętych krów. Kto wie, czy finalnie nie będą miały lepiej niż przed 2015 r.? Bo już nie będzie się czego bać.

Opozycja nie tylko atakuje, lecz także broni. Teraz własną piersią zasłania dziki, które roznoszą afrykański pomór świń. Rosati wzywa na pomoc Komisję Europejską, Halicki mówi o „rzezi" i wzywa myśliwych, by nie byli „plutonami egzekucyjnymi", a Kukiz przebija dno, porównując odstrzał do ludobójczych działań Bandery na Wołyniu. Jak ktoś słusznie zauważył, gdyby PiS ogłosiło deratyzację, opozycja zaczęłaby bronić szczurów.

Dziki mnożą się na potęgę, bo kaloryczna kukurydza sprawia, że zamiast jednego miotu w sezonie locha może mieć nawet trzy. Każdy rolnik wie, że stały się prawdziwą plagą niszczącą uprawy na przemysłową skalę. Najważniejsze jest jednak ocalenie Wielkopolski – polskiego zagłębia wieprzowego – przed afrykańskim pomorem. Jeśli tego nie zrobimy, 11 mln polskich świń czeka los jeszcze marniejszy niż zwykły świński los.

Opozycja kolejny raz błysnęła pogardą wobec polskich interesów gospodarczych. Już dziś importujemy

eprasa.pl 23b1ab3917

sporo wieprzowiny, i to z państw zachodnich, w tym z Danii i Niemiec. Jeśli nie zatrzymamy ASF, ta dziedzina hodowli może się już nie podnieść. W zamian panowie Rosati, Halicki i Kukiz będą mogli się wzruszyć dzikami szukającymi jedzenia w śmietnikach na przedmieściach polskich miast. Ale pewnie się nie wzruszą, tylko w panice wezwą straż miejską.

Zasada lustra obowiązuje w polityce zagranicznej. Skoro wicepremier Włoch i lider najsilniejszej włoskiej partii Matteo Salvini przyjeżdża do ***Kaczyńskiego***, to znaczy, że Salvini jest potworem. Ale tak naprawdę to zazdroszczą. Bo oni to co najwyżej mogą żebrać o spotkanie w niemieckiej ambasadzie z panią kanclerz, jak to się zdarzyło w czasie ostatniej wizyty Merkel. Wbrew swoim zaklęciom nie znaczyli w Europie wiele. By coś znaczyć, nie można się bać.

Nic nie mówi tyle o politycznej pozycji Kaczyńskiego, co fakt, że Salvini – wzorem Tillersona – odwiedził prezesa PiS w siedzibie partii przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Wizyta w tym więcej niż skromnym, bardzo ascetycznie umeblowanym biurze, do tego położonym w dość zaniedbanej okolicy, musi być dla europejskich liderów ciekawym doświadczeniem.

Na Nowogrodzką – choć do innego budynku – poszli także narodowcy i wolnościowcy, by poszerzać swoją antyunijną koalicję wyborczą. Rozegrali „kilka partyjek w tradycyjną ósemkę" i pochwalili się wspólnym zdjęciem z nowym nabytkiem swojej formacji, czyli reżyserem, w przeszłości kandydatem na prezydenta Polski, Grzegorzem Braunem. Za to wszyscy kochamy tę stronę sceny politycznej: zawsze przesadzą. W każdym razie dla PiS ten transfer jest dobrą wiadomością. Są ludzie na wagę złota.

Władysław Kosiniak-Kamysz rzucił wyzwanie obozowi władzy w sferze programowej: „Jeśli PiS zapowiada stworzenie Centralnego Portu Komunikacyjnego za dziesiątki miliardów złotych, to naszą odpowiedzią musi być odbudowa linii autobusowych do każdej, nawet najmniejszej miejscowości. Na co komu wielki port lotniczy, jeśli bez samochodu nie ma jak dojechać do pracy, bo PiS właśnie zlikwidował ostatni PKS w jego gminie" – stwierdził lider PSL. Kłamstwo podwójne. Po pierwsze, wiadomo, kto Polskę zwijał, a kto rozwija. Po drugie, jeśli rządzić będzie PSL, nie będzie żadnych „dziesiątków miliardów złotych" do wydania. Wrócą, tam, skąd przyszły, do tych samych kieszeni.

Niewykluczone, że Kosiniak posłuchał Michała Kamińskiego, który sformułował taką oto receptę dla opozycji: „Wobec PiS trzeba stosować taktykę polowania na mamuty przez ludzi pierwotnych. Oni sobie szli i walili w tego mamuta kamieniami. Jeden kamień go nie powali, ale suma". Nie jest to głupia taktyka, ale ma jeden feler: mamut może nie paść przed jesiennymi wyborami. A jak do jesieni nie padnie, to zawróci w kierunku rzucających. Więc lepiej rzucać z daleka.

Kamil Durczok wyjątkowo nikczemnie zaatakował szefa MSWiA: „Min. Brudziński bezczelnie wykorzystał tragedię w Koszalinie do swoich politycznych celów. Kiedyś był jedną z nielicznych jasnych twarzy PiS. Dziś działa jak hiena. Oczekuję wizyty policji jutro o 6 rano. Ale pan też za swoje głupoty odpowie. Do zobaczenia w celi" – rzucił na Twitterze upadły gwiazdor. Cóż, zmiana władzy w sejmiku śląskim może być mocniejszym szokiem dla organizmu niż odstawienie mocnych używek.

Witold Waszczykowski podsumował w telewizji wPolsce.pl ***Radosława Sikorskiego***: „On ma podwójne oblicze. Z jednej strony publicznie pozuje na lorda oksfordzkiego, w rzeczywistości jest bardzo brutalny i wulgarny, arogancki". Waszczykowski ma wiedzę, w końcu do Gmachu, czyli do siedziby MSZ, wszedł niedługo po Sikorskim. W tej sprawie zakulisowa wiedza jest cenna, ale przecież, po prawdzie, wystarczy uważna obserwacja twarzy. Twarz, zwłaszcza oczy, mówi wszystko.

Tymczasem media reanimowały książkę Sikorskiego „Polska może być lepsza". Co zabawne, stała się ona przedmiotem debaty kilka lat po premierze. Widocznie dopiero teraz ktoś ją przeczytał. Z licznych kwiatków jeden jest naprawdę smakowity: otóż zdaniem Sikorskiego, to na sopockim molo 1 września 2009 r. Putin zaproponował Tuskowi podział Ukrainy, a nie podczas wcześniejszej wizyty w Moskwie. Tusk słusznie sprawę przemilczał, bo była to pułapka. Szkoda tylko, że nie wyciągnął głębszych wniosków z tej diabelskiej oferty i dalej grał w grę, w której nie mógł wygrać.

Na koniec apel do ludzi wiary: szykujcie się do obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II. Bo lewica – i ta pogańska, i tak kościelna – przygotowują się do potężnego ataku na polskiego papieża. Będzie ostro i bez hamulców. Cele są dwa: pierwszy to odsunięcie oskarżeń od ludzi dziś rządzących w Kościele, a drugi to uderzenie w resztki katolickiego konserwatyzmu. Zwłaszcza w Polsce. Bo ojciec Rydzyk ma rację: teraz to Polska jest na celowniku.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 23b1ab3917

Kości Kosiniaka

Halo, dzień dobry, z tej strony gabinet prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego, czy ja mam przyjemność z panem przewodniczącym Schetyną?
Nie ma pani. A kto mówi?

Z tej strony gabinet prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego...
A co to jest?

Gabinet?
Nie, to drugie.

No, Pe-ez-el przecież. Polskie Stronnictwo Ludowe...
Nie kojarzę.

Jak to, pan nie kojarzy? To z kim ja rozmawiam?
Ze świętym Mikołajem. Wy tam wszyscy jesteście tacy rozgarnięci? Rozumiem w takim razie, że nie ma sensu pytać, z jakiego powodu ma pani czelność dzwonić do pana przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Koalicji Obywatelskiej z samego jądra politycznego pipidówka i zakłócać tym samym spokój lidera opozycji podczas przygotowań przedwyborczych. Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że na to właśnie czeka pisowska szarańcza?!

KRZYSZTOF FEUSETTE

Rozumiem pana emocje, ale apeluję, żeby pan je powściągnął. Chciałem zadzwonić... to znaczy – pan przewodniczący Kosiniak-Kamysz prosił, żebym zadzwoniła do pana Schetyny, więc ja tylko wykonuję swoje obowiązki. Czy zatem mogę prosić o pana dane, bo pan premier na pewno o to zapyta...
Aha, rozumiem. Pan Kobąbel chciałby być premierem.

Nie Kobąbel, a Kosiniak, proszę pana. Jest jednak pewna różnica między bąblem a siniakiem. Kosiniak-Kamysz – apeluję, żeby zapamiętać to nazwisko, bo to jest przyszły prezes Rady Ministrów naszego kraju...
Chyba chaty z kraja. Niech pani nie będzie śmieszna, prędzej mi się nowe zęby połamią, niż Kociniak będzie czymkolwiek zarządzał. Oprócz, oczywiście, tej zbieraniny zdrajców spod zielonej koniczyny.

My zdrajcy? A kto Barbarę Lewacką na sztandary wciągnął? Kto jej pluć pozwala na najświętsze dla każdego chłopa wartości?
Nie znam człowieka.

Nie zna pan? A na kogo teraz „Szczęki" wołają – też pan nie wie?
Proszę pani, jak ja będę chciał na głupie pytania odpowiadać, to sobie „Milionerów" włączę. Żegnam.

Chwileczkę! Ja apeluję, żeby jednak uszanować to, że nasz pan prezes wyciąga rękę do pana przewodniczącego...
A po co?

No, żeby zaapelować! Zaapelować o wspólny apel w sprawie możliwości uzgodnienia nowych koncepcji wyborczych w związku z jego kolejnym zwycięstwem w sondażu na wymarzonego premiera opozycji...
Cha, cha, cha... Cha, cha, cha... Przepraszam, ale muszę się wyśmiać. Czy wyście się dziczyzny nażarli?! Czy wy wierzycie w te pisowskie sondaże?! Że niby Kaszaniak pierwszy, a ja, to znaczy pan Schetyna – czwarty? Teflon sobie radził i kłamczuszka sobie radziła, a „Szczęki" sobie nie poradzi?! Niech pani przekaże temu swojemu Kapuśniakowi, że on mnie może, to znaczy pana Schetynę, pocałować tam, gdzie wzrok nie sięga. Bo jeśli jemu się wydaje, że go Hulajnoga na coś namaścił, to niech się leczy u Klicha. I proszę więcej nie dzwonić!

Halo, słabo słyszałam, na „pisowskich sondażach" mi się urwało. Ale, proszę pana, ja jednak apeluję, żeby pan nie podważał moich..., to znaczy pana Kosiniaka-Kamysza kompetencji. To jest, proszę pana, lider z prawdziwego zdarzenia...
Chyba zderzenia. Z rzeczywistością, kiedy będzie leciał na dno jak DiCaprio w „Titanicu". Jeszcze przyjdzie prosić o jakąś spółeczkę. A, takiego wała, jak Platforma cała!

Halo, Grzesiu?! No, coś ty? To przecież ja, Władysław, ta-daam! To żarty były tylko. Widzisz, a ja cię od razu po tej „szarańczy" poznałem. Słuchaj, dzwonię do ciebie, żeby zaapelować...
Proszę pani, ja nie mam pojęcia, kto pani dał do mnie numer, natomiast informuję, że wszystkie rozmowy z panem przewodniczącym POKO są nagrywane. Więc proszę przekazać panu Kapuśniakowi, że nawet udawanie baby już mu nie pomoże. I że kości zostały rzucone. Już on będzie wiedział czyje.

eprasa.pl 23b1ab3917

Przed sześcioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2018 r. minęła 92. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobietą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapełnienia pustkę.

Msza Święta w szóstą rocznicę Jej śmierci zostanie odprawiona 17 stycznia 2019 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, DAREK REDOS/REPORTER, ADAM JAGIELAK/WPROST/EAST NEWS, PIOTR MOLECKI/EAST NEWS, ALEXEI DRUZHININ/SPUTNIK/ EAST NEWS, SHUTTERSTOCK x2, FRATRIA; NA ZDJĘCIU STATYSTA WOJCIECH ŻUCHOWSKI Z AGENCJI AKTORÓW I STATYSTÓW „MERITO"

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Sergei SUPINSKY/AFP

Ostateczne zerwanie z Rosją

333 – trzysta trzydzieści trzy. Tyle dokładnie lat ukraińskie prawosławie podporządkowane było Rosji. Nieprzerwanie od roku 1686 podlegało ono albo patriarchatowi w Moskwie, albo (przez 195 lat) carskiemu urzędnikowi, czyli oberprokuratorowi Świątobliwego Synodu w Petersburgu. Era ta zakończyła się ostatecznie 6 stycznia, kiedy w Stambule metropolita kijowski Epifaniusz uzyskał z rąk patriarchy Konstantynopola Bartłomieja „tomos". Oznacza to ostateczne potwierdzenie autokefalii Prawosławnego Kościoła Ukraińskiego, a więc uznanie jego niezależności od Rosji.

Na naszych oczach dokonuje się więc odwrócenie trendu dziejowego, którego symbolem pozostaje ugoda perejesławska zawarta w 1654 r. przez Kozaków Bohdana Chmielnickiego z Moskwą. Na jej mocy Ukraina została zwasalizowana przez Rosjan. Zrzucanie tej zależności rozpoczęło się na dobre dopiero po rewolucji na Majdanie w 2014 r. Obecnie obserwujemy kolejny etap owej emancypacji, mający jednak znacznie głębszy wymiar. Po rozwodzie politycznym dochodzi do uniezależnienia się religijnego.

Kijowskie elity nazywają to zerwaniem ostatniej pępowiny łączącej Ukrainę z imperium rosyjskim. Nie ulega bowiem dla nich wątpliwości, że patriarchat moskiewski pozostaje narzędziem politycznym w rękach Kremla. Prezydent Petro Poroszenko, komentując te wydarzenia, zacytował narodowego wieszcza Tarasa Szewczenkę, mówiąc, że od tej pory Ukraina nie będzie już więcej pić „moskiewskiej trucizny z moskiewskiego kielicha".

Grzegorz Górny

Węgry

Spór o pomniki

We wszystkich rankingach najważniejszych bohaterów w historii Polski dominują osobistości z XX w., na czele z Janem Pawłem II i Józefem Piłsudskim. W analogicznych zestawieniach na Węgrzech w pierwszej dziesiątce nie znajdziemy natomiast żadnych postaci z tego samego stulecia. Właściwie jedynym pozytywnym wydarzeniem w tamtym czasie, na które wskazuje większość Madziarów, jest powstanie antykomunistyczne w 1956 r. Mniej osób za to widzi jednak jednoznacznie pozytywnego bohatera w ówczesnym premierze Imrem Nagyu, straconym przez komunistów w 1958 r. Pamięta mu się bowiem to, że w 1919 r. był działaczem Węgierskiej Republiki Rad, w czasie Wielkiej Czystki służył jako agent NKWD, a po wojnie uczestniczył w narzucaniu swym rodakom przemocą nowego ustroju. Dopiero ostatnich pięć lat życia sprawiło, że zapisał się inaczej w historii swego kraju.

To właśnie osoby Nagya dotyczy ostry spór publiczny, jaki wybuchł ostatnio w Budapeszcie. Na początku roku władze zdecydowały bowiem przenieść jego pomnik z placu Męczenników przy węgierskim parlamencie w inne, mniej eksponowane miejsce. Przeprowadzka związana jest z szerszymi planami przebudowy okolic parlamentu. Stołeczni urbaniści chcą przywrócić temu miejscu jego przedwojenny charakter. Dlatego np. w 2014 r. na placu Kossutha odsłonięto pomnik premiera z okresu I wojny światowej Istvána Tiszy, który stał tam od 1934 r., ale został usunięty w 1948 r. przez władze komunistyczne.

Podobny zamiar przyświecał zmianom dokonanym na placu Męczenników. Przed II wojną światową znajdował się tam pomnik ofiar czerwonego terroru z czasów Węgierskiej Republiki Rad, który został zniszczony w 1945 r. przez komunistów. Dziś architekt Tamás Wachsler pragnie, by zrekonstruowany monument powrócił na swe dawne miejsce i w ten sposób dobiegło końca „leczenie ran po komunistycznym burzeniu pomników". W tym celu postanowiono więc przenieść pomnik Nagya, stojący tam od 1996 r.

Fot. Jeff Whyte/Shutterstock.com

Decyzja wywołała protesty środowisk opozycyjnych, zwłaszcza lewicowych i liberalnych, które uważają, że obóz Viktora Orbána zamierza na nowo pisać historię Węgier. Zarzucają mu, że gloryfikuje postać admirała Miklósa Horthyego – przedwojennego przywódcy kraju i sojusznika III Rzeszy, za którego rządów stanął tam niegdyś pomnik męczenników czerwonego terroru. Władze wydają się jednak nie przejmować krytyką. Wierzą, że za kilka lat nikt już nie będzie pamiętał całej awantury.

Grzegorz Górny

Japonia

Czy Rosja odda Kuryle?

„Na Kurylach powinno się odbyć referendum wśród ludności, która sama zdecyduje o przyszłości wysp" – powiedział premier Japonii Shinzō Abe.

Wypowiedź szefa japońskiego rządu to kolejny pomysł na rozwiązanie trwającego już od ponad 70 lat sporu z Rosją o Wyspy Kurylskie. Archipelag, podzielony w 1855 r. między Rosjan a Japończyków, został 20 lat później w całości przekazany Japonii, która ostatecznie straciła go w wyniku II wojny światowej. W podpisanej w 1956 r. deklaracji sowiecko-japońskiej Moskwa obiecała Japonii zwrot dwóch południowych wysp wraz z podpisaniem traktatu pokojowego między obydwoma państwami. Tokio domaga się jednak powrotu do stanu z 1855 r. (i zwrotu czterech wysp), więc traktatu nie ma do dzisiaj.

We wrześniu zeszłego roku podczas spotkania Władimira Putina z Shinzō Abe rosyjski prezydent nieoczekiwanie zaproponował Japonii podpisanie traktatu do końca 2018 r. „bez warunków wstępnych". Japończycy natychmiast podchwycili temat, jednak porozumienia wciąż nie ma, bo Tokio nie wyobraża sobie zawarcia traktatu bez zwrotu wszystkich spornych wysepek. Próbując rozwiązać węzeł gordyjski wokół Południowych Kuryli, Shinzō Abe zaproponował Moskwie przeprowadzenie referendum wśród ich mieszkańców. Zapewnił też, że Japonia w przypadku wygranej w referendum nie będzie wysiedlać rosyjskiej ludności.

Premier Japonii Shinzō Abe

Pomysł głosowania w sprawie przynależności Kuryli wywołał protesty w Rosji. Kreml jednak nie zabrał w tej sprawie głosu.

Propozycja japońskiego premiera jest dla Moskwy niezręczna. Nie tylko dlatego, że Rosja nie śpieszy się ze zwrotem Kuryli, lecz również dlatego, że pomysł Tokio przypomina nieco referendum przeprowadzone w 2014 r. na Krymie. Wówczas Kreml twierdził, że mieszkańcy spornego terytorium mają decydujące zdanie na temat swojej przyszłości. Dziś, gdy do podobnej argumentacji odwołała się Japonia, zapadło milczenie. Zwłaszcza że nie ma pewności, czy rosyjscy mieszkańcy wysp, przez dekady porzuceni na peryferiach dawnego imperium, opowiedzieliby się za Moskwą. A tym razem – w przeciwieństwie do Krymu – wyników głosowania nie dałoby się łatwo sfałszować.

Mimo wszystko Kreml pozostawia sobie furtkę do dalszych rozmów. Podbija jednak stawkę, niedwuznacznie sugerując, że dużą przeszkodą w rozwiązaniu problemu jest sojusz łączący Japonię z USA. Pokój z Rosją ma wysoką cenę.

Konrad Kołodziejski

Fot. Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com

eprasa.pl 23b1ab3917

Izrael

Rozbrat z diasporą

Na politykę wpływają nie tylko wydarzenia, lecz również długotrwałe procesy. Wydarzenia są spektakularne, a procesy – często nieefektowne. Ale nierzadko to one są przyczyną nieoczekiwanych, wielkich zmian.

Na jeden z takich procesów, pośrednio mocno dotyczących Polski, a przez Polaków niemal niedostrzegany, zwraca uwagę Jonathan Weisman, zastępca redaktora naczelnego „New York Timesa". „Amerykańscy i izraelscy Żydzi zdążają do rozwodu" – stwierdza w tytule.

Ma to pewien związek z prezydenturą Trumpa. W Izraelu jest on uwielbiany, natomiast w Ameryce ponad 75 proc. Żydów głosowało na Hillary Clinton i w ogóle głosuje na demokratów.

Ma to związek z lewicowością – choć wśród amerykańskich Żydów można znaleźć wszystkie możliwe postawy polityczne, w tym skrajnie konserwatywne, to jako całość ta społeczność nachylona jest ku progresywizmowi. Ale czynnik Trumpa uskrajnił ten problem. Bo choć trumpizm ani stojący za nim ruch alternatywnej prawicy (Alt-right) nie są antysemickie, a sam prezydent ma wręcz, jak wiadomo, żydowskiego zięcia, to zarazem związana z tym zjawiskiem fala tradycyjnego, anglosaskiego amerykańskiego patriotyzmu jest czymś, co tamtejszym Żydom kojarzy się raczej źle, a wręcz wzbudza w nich poczucie zagrożenia.

Pobudzenie tego nerwowego splotu prowadzi do efektów dziwacznych. Tytułem przykładu: kiedy Trump, ewidentnie w dobrej wierze, w czasie chanukowej ceremonii w Białym Domu powiedział, że jego ekipa żywi uczucie miłości do „waszego kraju – Izraela", został oskarżony, jakoby... pozwolił sobie na aluzję dotyczącą rzekomej podwójnej lojalności amerykańskich Żydów. Takie przykłady można mnożyć.

Tymczasem w Izraelu powszechnie docenia się nie tylko przeniesienie amerykańskiej ambasady do Jerozolimy. Przede wszystkim – uznanie przez Trumpa za strategicznego wroga Iranu, który Izraelczycy uważają za egzystencjalne zagrożenie dla siebie.

Ale są i inne powody rozdrażnienia, przechodzącego wręcz w poczucie obcości, narastającego między dwoma największymi żydowskimi społecznościami świata. Polakom, mającym świeżo w pamięci izraelski walec rozjeżdżający nasz kraj w czasie konfliktu o ustawę defamacyjną, trudno to dostrzec. Jednak środowiska dominujące w amerykańskiej diasporze czynią rządowi Izraela zarzut z jego zbytniej, ich zdaniem, skłonności do dogadywania się z Polską (a także np. z orbanowskimi Węgrami) kosztem tego, co owe środowiska uważają za historyczną prawdę.

To chyba najważniejszy dla Polski aspekt tej sprawy. I dlatego słowa, napisane przez szefa organizacji amerykańskich konserwatywnych Żydów, rabina Stevena Wernicka – „to, co oddziela Izrael i diasporę, to już nie urwisko, tylko kanion", nie powinny nas przesadnie smucić.

Piotr Skwieciński

Francja

Macron zwleka z reformą islamu

W lutym 2018 r. prezydent Macron zapowiedział wielką reformę funkcjonowania islamu nad Sekwaną. Mówił m.in. o zmianie sposobu finansowania meczetów, kształcenia imamów oraz nowych zasadach organizacji instytucji islamskich we Francji, tak aby ograniczyć wpływ radykałów i obcych państw na wspólnotę muzułmańską.

O ile jednak dotychczasowe zmiany społeczne i gospodarcze, jak choćby przebudowa rynku pracy, Macron wprowadzał szybko, o tyle do tej reformy podchodzi ostrożnie. A to dlatego, że wymagałoby to nowelizacji ustawy z 1905 r. o rozdziale Kościołów od państwa, która wyklucza finansowanie działalności wspólnot religijnych z budżetu. To jeden z głównych filarów laickości państwa i jego zniesienie wiąże się z ogromnym ryzykiem dla coraz bardziej niepopularnego prezydenta, zmagającego się z protestami „żółtych kamizelek".

Do tego dochodzi to, że organizacje islamskie nie godzą się na podporządkowanie jednej centralnie sterowanej strukturze. Nicolas Sarkozy powołał w swoim czasie Francuską Radę Kultu Muzułmańskiego, jednak podporządkowało się jej tylko ok. 1 tys. z 2,5 tys. francuskich meczetów.

Dziś, niemal rok po zapowiedziach Macrona, wszystko wskazuje na to, że reforma wypadnie o wiele skromniej, niż obiecywał. Po spotkaniu z przedstawicielami francuskich wspólnot religijnych w ubiegłym tygodniu w Pałacu Elizejskim prezydent Francji mówił już tylko o „zwiększeniu przejrzystości finansowania meczetów i obarczeniu przywódców religijnych większą odpowiedzialnością", m.in. za pełne nienawiści kazania w meczetach. Na dodatek reforma, która miała ruszyć w styczniu, została przełożona na okres po wyborach do Parlamentu Europejskiego. A jej kształt pozostaje niejasny. Zdaniem mediów Macron obawia się negatywnej reakcji muzułmanów w sytuacji dużych społecznych napięć.

W tym tygodniu mają ruszyć wielkie społeczne konsultacje pod wodzą premiera Edouarda Philippe'a, których celem jest złagodzenie trwających od kilku miesięcy protestów. Kwestie islamu i masowej imigracji będą stanowiły jeden z tematów debat.

Aleksandra Rybińska

Fot. Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com

eprasa.pl 23b1ab3917

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pytam prejudycjalnie...

Jan Pietrzak

Ciekawa rzecz się stała: podzielono gminę Ostrowice na dwie części i przyznano je gminom sąsiednim: Drawsku i Złocieńcowi. Stało się tak z prostego powodu – Ostrowice zbankrutowały. To rozumiemy! Trudniej zrozumieć, dlaczego za to gminne bankructwo płacić ma skarb państwa. Ponieważ terytorium i ludność podzieleni na pół przeskakują do sąsiadów, a długi zostają, ktoś musi je spłacić, więc dobry wujek budżet wziął ten deficyt na klatę. Wśród wrednych podatników rodzi się podchwytliwe pytanie – czy to jest w porządku?

Prezydenci, burmistrzowie, wójtowie mogą szaleć finansowo, a w razie wpadki nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Dlaczego? Przecież jeśli precedens się upowszechni, to kamień na kamieniu nie zostanie z Warszawy. Złodziejski ratusz wpędzi stolicę w miliardowe długi, ogłosi upadłość i miasto zostanie rozdzielone między Pruszków a Wołomin! Niezły patent!

Okazuje się, że szlachetna samorządność ma swoje mankamenty. W największym uproszczeniu jest to brak odpowiedzialności. Jeżeli bezmyślni mieszkańcy, nazwijmy ich umownie lemingami, wybierają w wyborach złodzieja, powinni ponosić konsekwencje tego wyboru, czyli odpowiadać finansowo za jego złodziejstwa. Inaczej nigdy nie nauczą się odpowiedzialności. W przypadku Ostrowic, by sprawiedliwości stało się zadość, wszyscy wyborcy, którzy popierali wójta i radę gminy, powinni po równo spłacić zadłużenie. To jest sporo forsy, do końca życia nie spłacą, ale to ich problem, nie postronnych rodaków.

Najwyraźniej istnieje sporo luk w prawie dotyczącym rozdziału kompetencji między rządem a samorządem. Niedawno głośny był przypadek dekomunizacji ulic. Władza centralna uchwaliła takową, lecz władza stołeczna nie chce jej stosować, bo ma pośród komuchów znajomków. Na marginesie, po moich rozmowach w sprawie pomnika Cudu nad Wisłą wiem już na pewno, kto walczył po stronie Tuchaczewskiego. Wracając do meritum, zgłaszam do laski taką ustawę, że za deficyt miast i gmin płacą nie tylko władze, lecz również ci, co wybrali ich władze. Osobiście wybrali, niech osobiście spłacają dług wybrańców. Taka zasada nie kłóci się chyba z konstytucją? Pytam prejudycjalnie...

Lubię mocny sport

Z aktorem Jarosławem Boberkiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Sympatyczny, miły, ciepły...

Jarosław Boberek: Kto?

Pan, oczywiście. Co odbieranego tak aktora łączy z MMA, czyli mieszanymi sztukami walki?

Pasja. Lubię mocny sport. Walczących ostro mężczyzn, oczywiście zgodnie z określonymi regułami, zasadami.

Jest pan fanem?

Jestem. Moja żona też. I tak sobie fanujemy. Bardzo lubimy MMA. Kibicujemy KSW. I tu ogromne uznanie dla chłopaków, że wynieśli tę dyscyplinę sportu na takie wyżyny.

Nie ma więc przypadku w tym, że trafił pan na plan filmu „Underdog"?

Moje zainteresowania w żaden sposób nie przełożyły się na tę propozycję. Postać Dziedzica nie łączy się z tą dyscypliną, jest niejako na drugim jej biegunie. To bardzo zły, podły człowiek, który funkcjonując w półświatku, zaczepia się o sport walki.

Czarny charakter lepiej spełnia aktorskie marzenia?

Marzę o tym, co ciekawe, interesujące, co niesie wyzwanie. Kiedy mi zaproponowano rolę Dziedzica, powiedziałem: biorę.

I dzięki temu możemy pana oglądać, a nie tylko słuchać w kolejnych, znakomitych skądinąd, dubbingowych wcieleniach.

Tak się układają moje zawodowe losy, że częściej mnie w kinie słychać, niż widać, ale nie cierpię z tego powodu.

Ostatnio się pan głosowo mocno zazielenił.

Jako tytułowy Grinch w polskiej wersji językowej [w oryginale głosu użyczał postaci Benedict Cumberbatch – przyp. red.].

A jeśli któryś z widzów spragniony jest pana widoku?

To zapraszam np. na „Test" do Teatru Kamienica lub „Seks, rosół i pieluchy" Teatru Młyn do Staromiejskiego Ośrodka Kultury.

Fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl 23b1ab3917

BRONISŁAW WILDSTEIN

Salvini a sprawa polska

Do Polski przyjechał wicepremier jednego z ważniejszych krajów UE i najbardziej znaczący polityk tego kraju. Ponieważ jest również szefem MSW, spotykał się ze swoim polskim odpowiednikiem, a jako prezes najważniejszej partii – z Jarosławem Kaczyńskim. Wydawałoby się nic kontrowersyjnego, a oburzenie ze strony totalnej opozycji i jej medialnego frontu sięga zenitu. Wygląda na to, jakby rząd PiS chciał zawrzeć pakt z Koreą Północną. Okazuje się więc, że są reprezentanci krajów Unii, których należy traktować z rewerencją, i tacy, których zapraszać nie wolno.

Jazgot opozycji jest elementem jej głównego i chyba jedynego dziś planu strategicznego: straszenia polexitem ze strony PiS. To, że nie ma na to żadnych uzasadnień, a partia rządząca jednoznacznie temu przeczy, przeciwnikom nie przeszkadza. Gdy wsłuchamy się zresztą w te lamenty, dość łatwo wyłowić z nich rażącą niespójność. Z jednej strony PiS ma podobno wyprowadzić Polskę z UE, z drugiej – działa na rzecz zmiany jej kształtu. Jakim cudem miałby to robić z zewnątrz, tego stratedzy opozycji nie tłumaczą, chodzi przecież o to, aby powtarzana bez przerwy formuła utrwaliła się w głowach odbiorców, których establishment III RP nie traktuje zbyt poważnie.

Możemy mieć pewność, że „Fakt", „Wyborcza" czy TVN przeprowadzą dochodzenie co najmniej na miarę wytropienia świętowanych w lesie przez polskich neonazistów urodzin Hitlera, z którego wynikać będzie, że Kaczyński z Salvinim pod dyktando Putina zaplanowali, jak zlikwidować UE, a wiarygodność tych rewelacji będzie taka jak mediów, które je zaprezentują. Wszystkich owych doniesień nie sposób traktować poważnie, niemniej spotkanie z Salvinim odsłania realny problem, z jakim musi skonfrontować się poważnie traktowana polska polityka zagraniczna.

Powinniśmy szukać sojuszników, z którymi wspólnie moglibyśmy zmienić obecną formę UE i wrócić do jej wyjściowych założeń, tzn. oddolnego budowania wspólnoty przez eliminację barier między jej narodami i realizację dobrowolnych, zespołowych przedsięwzięć. W stosunku do tamtego projektu przez ostatnie dekady Unia zmieniła się zasadniczo, a podejmując odgórne, utopijne plany integracji, realnie coraz bardziej przekształca się w sterowany przez Berlin, neoimperialny twór, który swoje, partykularne interesy przedstawia jako wspólne, europejskie dobro. Jednocześnie stała się ona instrumentem ideologicznej urawniłowki prowadzonej przez dominujące lewicowo-liberalne opiniotwórcze ośrodki kontynentu. Polska, jeśli chce zachować swoją podmiotowość i tożsamość, musi przeciwstawić się obu tym, splatającym się z sobą procesom. I w tym celu winna znaleźć koalicjantów.

Przedsięwzięcie takie stało się realne, od kiedy wyzute z suwerenności narody Europy zaczęły przeciwstawiać się oligarchicznemu panowaniu swojego establishmentu. To w roli ich reprezentantów występują Liga pod przewodnictwem Salviniego, Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen czy Alternative für Deutschland. Kłopot w tym, że kwestionują one porządek atlantycki i nie dostrzegają zagrożenia ze strony Rosji, wręcz przeciwnie – traktują ją jako interesujący rynek zbytu.

Nie wolno zamykać oczu na te zasadnicze różnice, ale polityka polega na złożonych i dynamicznych relacjach. Nie było nią z pewnością „płynięcie w głównym nurcie", który nie my kreowaliśmy. Wprawdzie jego rzecznicy z minionych rządów byli za to wynagradzani intratnymi synekurami, patrz Donald Tusk, ale nasz kraj nic z tego nie miał. Beneficjenci tego stanu rzeczy wmawiali Polakom, że Europa osiągnęła harmonię wszelkich interesów, z czego najlepiej zdają sobie sprawę eurokraci z Brukseli i ich patroni z Berlina. Z tego powodu mieliśmy obdarzyć ich pełnym zaufaniem i powierzyć w ich ręce losy swojego kraju. W podtekście była to próba utrwalania polskich kompleksów niższości, dzięki którym wasale europejskich możnowładców mogli utrzymać w naszym kraju władzę, co z ich perspektywy z nadwyżką wynagradzało ich podległość europejskim centralom.

Realna polityka to przede wszystkim zdobycie podmiotowej roli w UE, co możliwe jest wyłącznie wspólnie ze wspomnianymi siłami, które zakwestionować chcą istniejące status quo. Koalicja w imię odbudowy Europy narodów znaczy właśnie, że nie będziemy musieli dostosowywać się do wszystkich oczekiwań swoich partnerów. Uzyskując podmiotowość, możemy wpływać na politykę Europy; dopóki jej nie zdobędziemy, nie jest to możliwe.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Raporty grozy

Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) jest organizacją od pół wieku publikującą raporty dla polityków. Teraz wydało ciekawy dokument opatrzony tytułem „Ewolucja zagrożeń salaficko-dżihadystycznych. Obecne i przyszłe wyzwania zawiązane z Państwem Islamskim, Al-Kaidą oraz innymi grupami". Niestety wnioski nie są zbyt optymistyczne. Okazuje się, że mimo porażki Państwa Islamskiego liczba członków tego ruchu jest o 270 proc. wyższa niż w 2001 r., czyli w momencie przeprowadzenia zamachów na WTC w Nowym Jorku. Kraje o największej liczbie bojowników islamskich to Syria (od 43 650 do 70 550), Afganistan (od 27 000 do 64 060), Pakistan (między 17 900 a 39 540), Irak (między 10 000 a 15 000), Nigeria (od 3 450 do 6 900) i Somalia (od 3 095 do 7 240). Po uśrednieniu tych wyników okazuje się, że bojowników jest więcej niż żołnierzy w armii brytyjskiej, wliczając siły rezerwowe. Według autorów raportu zagrożenie terrorystyczne w Europie Zachodniej jest większe niż w USA. A na horyzoncie widać już nowe niebezpieczeństwa: możliwe użycie uzbrojonych dronów, sztucznej inteligencji, nowych metod szyfrowania informacji, tzw. czarnego internetu, kryptowalut, ataków cybernetycznych oraz broni masowego rażenia. Konkluzją raportu jest stwierdzenie, że nadal nie udało się zlikwidować podstawowych przyczyn islamskiego terroryzmu. Czyżbyśmy toczyli walkę z wiatrakami?

Wydawałoby się, że państwa Azji Centralnej – Uzbekistan, Kazachstan, w mniejszym stopniu Kirgistan i Tadżykistan – w związku ze ześwieczczeniem, które przyniosła im władza sowiecka, czy też wyznawaniem łagodniejszej wersji islamu sufickiego, nie są krajami, w których generowałby się terroryzm islamski. Ale zupełnie inny obraz sytuacji pokazuje raport tym razem Szkoły Kennedy'ego Uniwersytetu Harvarda. Jego autorzy wskazują na ponadproporcjonalny udział obywateli tych państw w światowym dżihadzie. Choć ludność krajów Azji Centralnej w światowej populacji wynosi tylko 1 proc., to 10–15 proc. z nich jest zdeterminowanych, by wziąć czynny udział w działaniach wojennych w Syrii lub Iraku. Dokument wskazuje, że to nie wysoki poziom religijności spowodował zwrot ku terroryzmowi, ale odkrycie religii na nowo, poza kontrolą rządu, neoficki zelotyzm, który prowadzi do czarno-białego postrzegania świata. Jak u Uzbeka Rachmata Akiłowa, który w Sztokholmie wjechał ciężarówką w grupę ludzi. Problem polega na tym, że do naszego kraju przenikają ludzie właśnie z tych państw oraz z Czeczenii. Niebezpieczeństwo zbliża się do naszych granic, i to z całkiem zaskakującego kierunku.

W internecie trwa nagonka na nauczycielkę biologii jednego z kieleckich liceów, która ośmieliła się na Facebooku wyrazić swoje zdanie na temat promowania dewiacji w seksie. „Ani homoseksualizm, ani biseksualizm nie są niczym normalnym i jest to rodzaj zaburzenia psychicznego, a nawet zboczenia. Jakiekolwiek propagowanie tych zachowań, marsze równości czy nie daj Boże chęć adoptowania dzieci przez takie pary powinna być szeroko negowana i zabraniana". Związane z opozycją media natychmiast obrzuciły nauczycielkę serią wyświechtanych sformułowań w stylu: „skandaliczne słowa", „afera w liceum", „burza po słowach nauczycielki". Taki to standard. Niewiarygodne jest natomiast to, że nauczycielkę zaatakowała również jej własna szkoła. Dyrekcja i inni nauczyciele liceum wydali oświadczenie, w którym stwierdzają, że wypowiedź ich współpracowniczki ze szkoły „godzi w dobro, społeczny status i godność wykonywanego zawodu nauczyciela". Po raz kolejny pytam, gdzie jest Ministerstwo Edukacji Narodowej. Po bardzo słabej reakcji na tzw. tęczowy piątek jakoś nie słychać, by wzięto w obronę odważną kobietę z kieleckiego liceum.

Chen Defu urodził się 15 maja 1892 r. w mieście Dalian w dzisiejszych Chinach. Tak się potoczyły jego losy, że połowę swego życia spędził w Polsce. W wojnie rosyjsko-japońskiej służył w carskiej armii. Jako ordynans polskiego generała Kazimierza Skorotkiewicza został wysłany do Warszawy. Tam nauczył się polskiego, przeszedł na katolicyzm i przyjął imię Zdzisław Józef Czendefu. Zapisał się również do związanego z narodowcami Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Pan Zdzisław już jako polski patriota chwycił za broń i wziął czynny udział w powstaniu wielkopolskim. Być może nieświadomie, ale w II wojnie światowej w jakimś sensie odwdzięczył się mu nasz as z Dywizjonu 303 gen. bryg. Witold Urbanowicz, który walczył pod chińskim niebem przeciwko latającym samurajom w słynnej formacji 14. Grupy Lotniczej, znanej jako „Latające Tygrysy". Jak powiada bowiem stare przysłowie z Państwa Środka: Kto raz wsiadł na tygrysa, nie może już z niego zsiąść.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 23b1ab3917

Polskie serce europejskiej awangardy

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ramach obchodów stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości w paryskim muzeum sztuki współczesnej Centre Pompidou prezentowana była wystawa polskich twórców awangardy Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego. Monografia prezentująca całokształt dokonań polskich artystów przygotowana we współpracy Muzeum Sztuki w Łodzi oraz Instytutu Adama Mickiewicza została zrecenzowana na łamach dziennika „Le Monde". W pierwszych zdaniach artykułu poświęconego temu wydarzeniu podkreślono jednak przede wszystkim nie walory twórczości polskiej pary plastyków, ale ich zasługi jako inicjatorów powołania w Polsce pierwszego w Europie i drugiego po nowojorskim MoMa muzeum sztuki nowoczesnej z siedzibą w Łodzi.

W latach 20. i 30. ubiegłego wieku, działając jako grupa „a.r.", Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński wraz z Henrykiem Stażewskim, Julianem Przybosiem oraz Janem Brzękowskim zaczęli gromadzić dzieła najważniejszych artystów okresu międzywojennego, takich jak Fernand Leger, Kurt Schwitters, Sonia Delaunay, Max Ernst czy Hans Arp. 15 lutego 1931 r. Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej grupy pionierów została otwarta dla publiczności, stając się podstawą do stworzenia najbogatszego w Polsce międzynarodowego zbioru sztuki współczesnej. Muzeum Sztuki w Łodzi prężnie działa w pałacu rodziny Poznańskich, a od roku 2008 także w odpowiednio przystosowanym budynku XIX-wiecznej tkalni, w której prezentowane są wystawy poświęcone najnowszym dziełom sztuki przez pryzmat najbardziej popularnych zagadnień i problemów społecznych.

Opowieść o pionierach współczesnego europejskiego muzealnictwa, którzy niedługo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w okresie zmagania się z wieloma trudnościami towarzyszącymi odbudowie państwowości, wystąpili z inicjatywą zebrania w sercu Europy dzieł artystów uznawanych za największe światowe sławy awangardy w dzisiejszych czasach kontrastuje z wciąż niezrealizowanym projektem budowy siedziby Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Wśród licznych inwestycji, których realizację rozpoczęto za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego, takich jak Muzeum Historii Żydów Polskich czy Centrum Nauki Kopernik, była idea wybudowania na placu Defilad gmachu muzeum dedykowanego najnowszym nurtom twórczości plastyków i performerów. Muzeum zostało powołane blisko czternaście lat temu na mocy porozumienia ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego i prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego. Współpraca miasta z ministerstwem miała zapewnić jak najszybsze otwarcie nowej instytucji kultury. Konkurs został ogłoszony pod koniec 2005 r., rok później ogłoszono kolejny. W 2008 r. władze stolicy zawarły umowę na projekt budynku, który miał zostać ukończony pięć lat później. W toku jego realizacji urzędnicy zmienili koncepcję, rozszerzając przestrzeń gmachu o siedzibę teatru.

W 2012 r. wskutek konfliktu z projektantem umowa została rozwiązana, a na siedzibę muzeum wynajęto dawny pawilon meblowy Emilia, który po czterech latach musiał zostać opuszczony. Obecnie muzeum działa przy ul. Pańskiej, a także nieopodal Centrum Nauki Kopernik w sprowadzonym z Berlina prowizorycznym budynku użyczonym przez austriacką fundację. Według najnowszych informacji siedziba przy placu Defilad ma zostać oddana do użytku w 2021 r.

Panu
Witoldowi Kołodziejskiemu

Przewodniczącemu
Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

MAMY

składają członkowie Krajowej Rady Radiofonii
i Telewizji oraz pracownicy Biura KRRiT

22/0119/F

eprasa.pl 23b1ab3917

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Ścigany za lizanie

W ubiegłym tygodniu media obiegła sensacyjna wiadomość o mężczyźnie, który w Kalifornii nocą przez trzy godziny lizał domofon, a wszystko uwiecznił monitoring domowy. Nie wiadomo, czy robił to częściej i oblizywał wszystkie domofony w okolicy, bo inni sąsiedzi nie mają kamer. Mężczyzny szuka policja. W tej sytuacji powinien on jak najszybciej oznajmić, że jest kotem uwięzionym w ludzkim ciele i wszelkie działania przeciw niemu zostaną uznane za przejaw dyskryminacji. A kto kotu zabroni lizać?

68,5 mld dol.

– tyle może otrzymać po rozwodzie z Jeffem Bezosem, założycielem firmy Amazon, jego żona Mackenzie Bezos. W ten sposób może się stać najbogatszą kobietą świata.

11

– tyle osób stanie przed sądem za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, która poświadczała nieprawdę w fakturach VAT i dokonywała oszustw podatkowych. Prokuratura Regionalna w Poznaniu skierowała właśnie do sądu akt oskarżenia w tej sprawie.

114

– tyle dni wolnych od pracy, i to bez urlopu, będą mieli Polacy w 2019 r. A jeśli dobrze rozplanują 26-dniowy urlop, mogą mieć aż 140 wolnych dni.

Robokiller

W Las Vegas, gdzie odbywały się targi CES, pokazujące najnowsze rozwiązania z zakresu elektroniki konsumenckiej i motoryzacji, doszło do tragedii. Jak informuje rp.pl: „Jadąca ulicą autonomiczna Tesla nie rozpoznała stojącego na poboczu drogi reklamowego robota, staranowała maszynę. Mierzący około 1 m wysokości android firmy Promobot z nieznanych przyczyn »umknął« uwadze »inteligentnego« pojazdu". I tak amerykańska Tesla wykończyła rosyjskiego robota. Robokiller normalnie.

Google boi się krzyża?

Jak informuje tvp.info, „mapy internetowej wyszukiwarki Google przypisują do wielu obiektów znaki graficzne, z którymi kojarzyć się mają dane budowle czy miejsca. I tak każda religia to inny symbol. Meczety i miejsca kultury islamskiej oznaczono symbolem półksiężyca. Ośrodki i miejsca kultu Żydów – gwiazdą Dawida". Tymczasem chrześcijańskie świątynie nie zostały oznaczone znakiem krzyża, co wydaje się najbardziej oczywiste. Mamy za to mało czytelną grafikę składającą się z trzech kopuł. Nad budowlą zabrakło jednak symbolu chrześcijaństwa. Oto poprawność polityczna w wersji Google.

eprasa.pl 23b1ab3917

Samoobrona niewskazana

21-letnia Szwajcarka trafiła do aresztu po tym, jak w Wiedniu podczas nocy sylwestrowej złamała nos napastującemu ją Afgańczykowi. Mężczyzna był członkiem gangu, który napadał i okradał kobiety. Jednak to młoda Szwajcarka usłyszała zarzut napaści i pobicia. O sprawie informuje Dailymail.co.uk. Krótko mówiąc – samoobrona jest w Austrii niewskazana, bo może powodować stan dyskomfortu u imigrantów. Czy gdzieś jest kres tego szaleństwa?

Wobec PiS trzeba stosować taktykę polowania na mamuty przez ludzi pierwotnych. Oni sobie szli i walili w tego mamuta kamieniami" – stwierdził Michał „Misiek" Kamiński w Onet Rano. Michał Kamiński też powinien walnąć kamieniem. Siebie, w łeb.

Za stare?

Francuski pisarz Yann Moix stwierdził, że kobiety po 50. roku życia są „zbyt stare, by je kochać". O sprawie informuje Wprost.pl. Literat podzielił się z szeroką publicznością swymi przemyśleniami na łamach francuskiej edycji magazynu „Marie Claire". Pisarz stwierdził, że nie mógłby kochać kobiety, która skończyła 50 lat, i wyznał, że jego rówieśniczki są dla niego „niewidoczne". To może od razu przymusowa eutanazja dla kobiet po pięćdziesiątce?

Fot. Andrzej Wiktor; Shutterstock (x5)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wszyscy jesteśmy świniami

Dominik Zdort

Nie mam osobistego zdania w sprawie dziczej. To znaczy nie jestem w stanie ocenić, czy depopulacja (jak mówią niektórzy) lub rzeź (tak nazywają to inni) dzikich świń będzie skuteczną metodą na powstrzymanie afrykańskiego pomoru. To nie polityka ani piłka nożna, o której każdy wszystko wie i ma prawo – a czasem wręcz obowiązek – się wypowiedzieć.

Kiedy słyszę, że z ok. 300 tys. dzików ma pozostać przy życiu zaledwie 30 tys., to zastanawiam się, czy skala odstrzału nie jest zbyt duża. Kiedy działacze zwierzolubni opowiadają w telewizji, że myśliwi będą strzelać do ciężarnych loch, to zaczynam się niepokoić. Tak, niektóre argumenty obrońców dzików robią wrażenie.

Jednak wielu komentatorów szybko popada w retoryczną przesadę. Czytam, że dziki zostały „skazane na śmierć", a „wyrok wydał minister ochrony środowiska". Ktoś porównuje depopulację dzikich świń w Polsce do „akcji chińskich komunistów", którzy wybili wróble (choć chyba nie tylko to mają na sumieniu). Niebawem kolejny ekolog pewnie stwierdzi, że mamy do czynienia z „holokaustem dzików".

Im groźniej brzmią oskarżenia, tym bardziej są komiczne. Oto próbka z opiniotwórczej gazety: „»Obrońcy życia« lubią zabijać. Najlepiej z przytupem i hurtowo. Pora więc na rzeź dzików", bo „prymitywny patriarchalizm żywi się cyklicznymi mordami".

To nie humor z zeszytów szkolnych, to nie manifest ze strony internetowej oszalałych anarchoterrorystów. To tekst opublikowany w piśmie podobno poważnym, bo w „Gazecie Wyborczej". Prof. Magdalena Środa zadaje w nim pytanie, skąd się biorą wojny i rzezie na świecie. I odpowiada: „Z przyzwolenia na krzywdę naszych braci mniejszych". „Każdy z nas może się stać obojętnie zabijanym zwierzęciem" – dorzuca.

Autorka domaga się, aby – na razie na poziomie empatii i godności – zrównać prawa ludzi i zwierząt. A jednocześnie straszy, że każdy z nas może skończyć jak dzik. Zadziwiający, jak na filozofa, brak logiki, ale czasem ideologiczna gorączka utrudnia zdolność analizy nawet tak mądrym osobom.

Zatem dla porządku: w historii naszego gatunku do przypadków ludobójstwa dochodziło zwykle wtedy, gdy znaczenie istoty ludzkiej zrównywano ze znaczeniem psa, szczura czy dzikiej świni. A skoro tak, to lepiej pamiętajmy, że człowiek różni się od zwierzęcia, godność ludzka zaś zasługuje na wyjątkowy szacunek, nieporównywalny z innymi Bożymi stworzeniami.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 23b1ab3917

RZECZY POSPOLITE

Jestem dzikiem

Ze zgrozą dostrzegłem wzmożoną akcję obrony dzików przez całe środowisko opozycyjno-kodowskie. Na fejsikach pojawiły się zdjęcia profilowe ludzi z wmontowanym dzikiem obok, twarz przy twarzy, ups, przy gwiździe, jak się w gwarze myśliwskiej nazywa dziczy ryj. Notabene sam nochal dzika jest zwany przez myśliwych tabakierą. Pasuje właściwie ta... tabakiera do wszystkich dworaków Schetyny i całej rzeszy bezmyślnych kodowców, odstawiających w Starbuniach sojową latte, by zająć się losem dzika, którego widzieli do tej pory na obrazku i w TV. Dziki nomen omen tłum szalał nawet pod Sejmem, drąc się niemiłosiernie, że „dzik jest dziki, a PiS jest zły", na czele stał niejaki „Kudłaty", zagrzewając do boju i potrząsając chybem, przepraszam, grzywą. Słyszalne czasem gwizdy odnosiły się, jak sądzę, do gwizda, czyli ryja.

Tomasz Łysiak

Sam nie za bardzo znam się na kwestii walki z ASF, ale spytałem pewną znajomą, co nagle rzuciła wszystko, by zająć się dzikami, jak ocenia kwestię odstrzału w Niemczech, gdzie w zeszłym roku w związku z walką z chorobą wystrzelano prewencyjnie ponad 800 tys. dzików. Przez chwilę milczała, żeby powiedzieć, że generalnie się na tym nie zna, ale Niemcy „to w ogóle co innego". Dodam że wspomniane dziewczę profil z dzikiem ma.

Doszło nawet do tego, że niektóre osoby, poza poruszającymi zdjęciami dzików, zaczęły się z nimi utożsamiać. Oto na jakiejś gali ktoś wyszedł przebrany za odyńca. Inni, poza uroczymi fotkami warchlaków, zaczęli pisać pod swoim portretem „jestem z dzikiem" lub „jestem dzikiem".

Wszystko przebił jednak Paweł Kukiz, porównując w Polsacie wytrzebianie dzików do... ludobójstwa dokonanego przez UPA na Polakach na Wołyniu. Przyznam, że gdy to usłyszałem, to szczęka mi opadła na ściółkę i musiałem długo jej szukać w igliwiu, a do tej pory odczuwam efekty zdębienia.

Zaczynam mieć wrażenie, że tajemnicza ASF jest jakąś dziwną chorobą, która przenosi się przez kontakt z Facebookiem i klawiaturą, i faktycznie za wszystkim stoją dziki. Ja sam, mówiąc szczerze, na te profile z „jestem dzikiem" patrzę i – pomimo wagi problemu i różnych faktycznie poważnych aspektów tej sprawy – zaczynam się ryć. Dopadło mnie?

Maj nejm is Mosbacher

Gdy na jednym ze szczytów UE w Brukseli szef Konfederacji Europejskiego Biznesu Francuz Ernest-Antoine Seillière zaczął wystąpienie po angielsku, prezydent Chirac demonstracyjnie opuścił salę, trzasnąwszy drzwiami. Na korytarzu zbeształ rodaka, że nie posługiwał się językiem ojczystym. Po wznowieniu obrad Seillière kontynuował przemówienie już po francusku... Następca Chiraca Nicolas Sarkozy kokietował Amerykanów, lecz po angielsku nie powiedział ani słowa. Helmut Kohl i Gerhard Schröder w ogóle nie znali języka Szekspira. Ten drugi dopiero pod koniec kadencji odbył kurs w Wielkiej Brytanii, jednak podejmując gości z zagranicy, nie silił się nawet na „How are you...?". Gdy szefowi dyplomacji RFN w gabinecie Schrödera Joschce Fischerowi pewien dziennikarz zadał na konferencji prasowej pytanie po angielsku, minister, który biegle włada tym językiem, odparł stanowczo: „Pan wybaczy, jesteśmy w Niemczech, tu mówi się po niemiecku...". Tej zasady przestrzega też kanclerz Angela Merkel. Choć zna rosyjski, w wymianie zdań z prezydentem Władimirem Putinem używa wyłącznie języka ojczystego. Nie inaczej postępuje Putin, który opanował niemiecki w szkole KGB, ale tę umiejętność wykorzystuje tylko w luźnych przegwarkach, poza zasięgiem mikrofonów.

Piotr Cywiński

Pani ambasador USA Georgette Mosbacher, o ile wiem, polskiego nie zna. Ma od tego ludzi. Jej ekscelencja woli jednak porozumiewać się sama i pisze listy różne. Po angielsku. Jeśli się nie mylę, językiem urzędowym w naszym kraju jest wciąż polski. Pominę lekceważący ton w formie i treści, literówki oraz nazywanie premiera RP „ministrem" w skierowanym do niego liście interwencyjnym. Bo Jej Ekscelencja interweniuje. To w sprawie telewizji TVN, to firmy Gentech u ministra zdrowia, której produkt nie znalazł się na liście leków refundowanych, to firmy Uber z branży transportowej, działającej w naszym kraju bezprawnie, o czym pisał m.in. „Fakt".

Deficyt dyplomatycznych szlifów nie tłumaczy zachowywania się Georgette Mosbacher niczym namiestniczki. Jeszcze tylko brakuje, by wparowywała do ministerstw, oznajmiając od drzwi, gdyby ktoś nie wiedział, wyniosłym tonem: Maj nejm is Mosbacher... Interwencja polskich władz w Białym Domu wydaje się nieodzowna. Trawestując Mikołaja Reja: Niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój honor mają.

eprasa.pl 23b1ab3917

„Polonia Restituta.

Dekalog dla Polski w 100-lecie odzyskania niepodległości”

Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości to ważny moment do refleksji nad kondycją polskiego społeczeństwa, jego analizą w aspekcie historycznym oraz najważniejszymi zadaniami i wyzwaniami w przyszłości

W ciągu 100 lat od odzyskania niepodległości, a w szczególności trzech ostatnich dekad, nasz kraj przechodził różne zmiany ustrojowe i gospodarcze. Jaki to miało wpływ na współczesnego Polaka, jego rodzinę, jakość życia czy środowisko naturalne? Czy uniwersalne wartości tworzące tożsamość narodową, jak dążenie do wolności, poszanowanie godności i praw człowieka oraz solidarność, są aktualne i nadal bliskie polskiemu społeczeństwu? Czy większej dostępności dóbr materialnych towarzyszy rozwój wartości duchowych? Jakie jest miejsce Polski w Europie w obliczu dynamicznych zmian na naszym kontynencie? Warto, aby te ważne dla Polski kwestie poddać szerokiej analizie.

Dlatego Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wraz z Radą ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski uczciło doniosły dla Polski jubileusz debatą nad kluczowymi dla polskiego społeczeństwa zagadnieniami z zakresu życia publicznego, gospodarczego, politycznego, społecznego i kulturalnego. Biorąc pod uwagę istotną rolę Kościoła w dziejach Polski, pomysłodawcy przyjęli także perspektywę Katolickiej Nauki Społecznej.

W ramach projektu „Polonia Restituta. Dekalog dla Polski w 100-lecie odzyskania niepodległości” zaplanowano cykl dziesięciu spotkań: dziewięć ogólnopolskich naukowych konferencji tematycznych w najważniejszych ośrodkach akademickich Polski oraz międzynarodowy kongres w Krakowie.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej objął debaty honorowym patronatem, a w skład Komitetu Honorowego wchodzą ze strony państwowej: marszałek Sejmu, marszałek Senatu oraz minister nauki i szkolnictwa wyższego, ze strony kościelnej: nuncjusz apostolski w Polsce, Prezydium Konferencji Episkopatu Polski, prymas Polski oraz przewodniczący Rady ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski. Koordynatorem merytorycznym jest Akademia Ignatianum w Krakowie.

W spotkaniach aktywnie uczestniczą przedstawiciele świata nauki, środowisk rządowych, samorządowych i organizacji pozarządowych, ludzie kultury, polityki i przedsiębiorczości, a także osoby zajmujące się edukacją oraz studenci.

Cykl rozpoczął się w marcu 2018 r. dyskusją o możliwościach rozwoju współczesnej polskiej rodziny, dzisiejszego kształtu właściwego jej dobra wspólnego, jakości życia oraz jej miejsca i funkcji w państwie czy społeczeństwie.

21/0119/F | 31/0119/F

Podczas kolejnych spotkań poruszane były tematy związane m.in. z pracą, przedsiębiorczością i społecznym wymiarem gospodarki rynkowej; postawą obywatelską i patriotyzmem; pielęgnowaniem i przekazywaniem kolejnym pokoleniom wartości związanych z wolnością; suwerennością i praworządnością; ekologią; solidarnością społeczną i zrównoważonym rozwojem; godnością i sprawiedliwością społeczną; Europą i pojednaniem oraz kulturą i tożsamością.

Ostatnia konferencja, zorganizowana 14 stycznia 2019 r. na Uniwersytecie Poznańskim, poświęcona jest prawom i obowiązkom człowieka jako osobie ludzkiej, a w szczególności dzisiejszemu rozumieniu człowieczeństwa i jego fundamentu – niezbywalnej, nienaruszalnej godności osoby ludzkiej; żywionym przez nas wartościom i akceptowanym wzorcom zachowań; moralności, jej źródłom i obowiązywalności; wolności i jej granicom; odpowiedzialności „wobec” i „za” drugiego człowieka; a także temu, co nas łączy lub może łączyć nie tylko jako obywateli odrodzonej Polski, lecz po prostu jako ludzi dzielących polską i europejską codzienność.

Zwieńczeniem cyklu konferencji jest międzynarodowy kongres podejmujący problematykę przyszłości Europy, który odbędzie się 29 kwietnia 2019 r. w Krakowie.

Więcej informacji o projekcie – www.polonia-restituta.pl.

2018 POLONIA RESTITUTA

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
#StrategiaGowina

eprasa.pl 23b1ab3917

NOWA STRATEGIA

KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.

KGHM Polska Miedź S.A. dokonała przeglądu strategii w celu dopasowania kierunków rozwojowych do aktualnego otoczenia rynkowego i potrzeb Grupy Kapitałowej

GLOBALNE MEGATRENDY

W wyniku analizy globalnych megatrendów, wypracowano 4 strategiczne kierunki rozwoju GK KGHM

KIERUNKI STRATEGICZNE

#4E

- ELASTYCZNOŚĆ
- EFEKTYWNOŚĆ
- EKOLOGIA
- E-PRZEMYSŁ

KGHM.COM

eprasa.pl 23b1ab3917

PRIORYTETY STRATEGICZNE

KGHM POLSKA MIEDŹ

#1 Wzrost produkcji

#2 Niezależność energetyczna

#3 Aktywa zagraniczne 2.0

#4 Finansowa strategia długoterminowa

#5 Ekosystem Innowacji dla KGHM

#6 Technologie przyszłości

#7 Nowa jakość: **bezpieczeństwo i rozwój**

GRUPA KAPITAŁOWA KGHM S.A.

KGHM jest jedną z największych polskich firm. Grupa posiada globalny zasięg działalności i odgrywa istotną rolę w światowym rynku miedzi i srebra

eprasa.pl 23b1ab3917

Sędziowie mają być apolitycznymi rozjemcami i rozstrzygać spory, nie patrząc na poglądy polityczne. Opór przed reformami, które mają to zagwarantować, jest jednak zaciekły. Pod płaszczykiem obrońców konstytucji występują dzisiaj ci, którzy nie chcą widzieć, że polskie sądy toczy choroba, która sprawia, że coraz trudniej znaleźć w nich sprawiedliwość

Rozgrzana kasta

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

„Cieszę się, że możemy się widzieć tutaj, w sądzie. Nie sądzę, żebyśmy robili jakąkolwiek demonstrację polityczną, żeby to było jasne. Tylko po prostu... otrzymujemy nagrodę..." – mówiła, nie kryjąc zadowolenia, prof. Małgorzata Gersdorf. Okazja to nie byle jaka, bo chwilę wcześniej dostała statuetkę „Stojącym w imię zasad" od Obywateli RP. To najbardziej skrajna wśród antyrządowych podmiotów organizacja, która posuwała się do ulicznych burd i prowokacji nawet podczas miesięcznic smoleńskich, gdy z zapałem blokowała trasę przemarszu modlitewnego zgromadzenia. Trudno w tym zaproszeniu zadymiarzy do gmachu sądu nie widzieć politycznego kontekstu. Można wręcz zapytać, co jest demonstracją polityczną, jeśli nie to?

POWSTRZYMANIE POTWORNOŚCI

Paweł Kasprzak podczas laudacji na cześć Małgorzaty Gersdorf wyjaśnił, że to nagroda za „obronienie Sądu Najwyższego". Przypomnijmy, że po ostat-

eprasa.pl 23b1ab3917

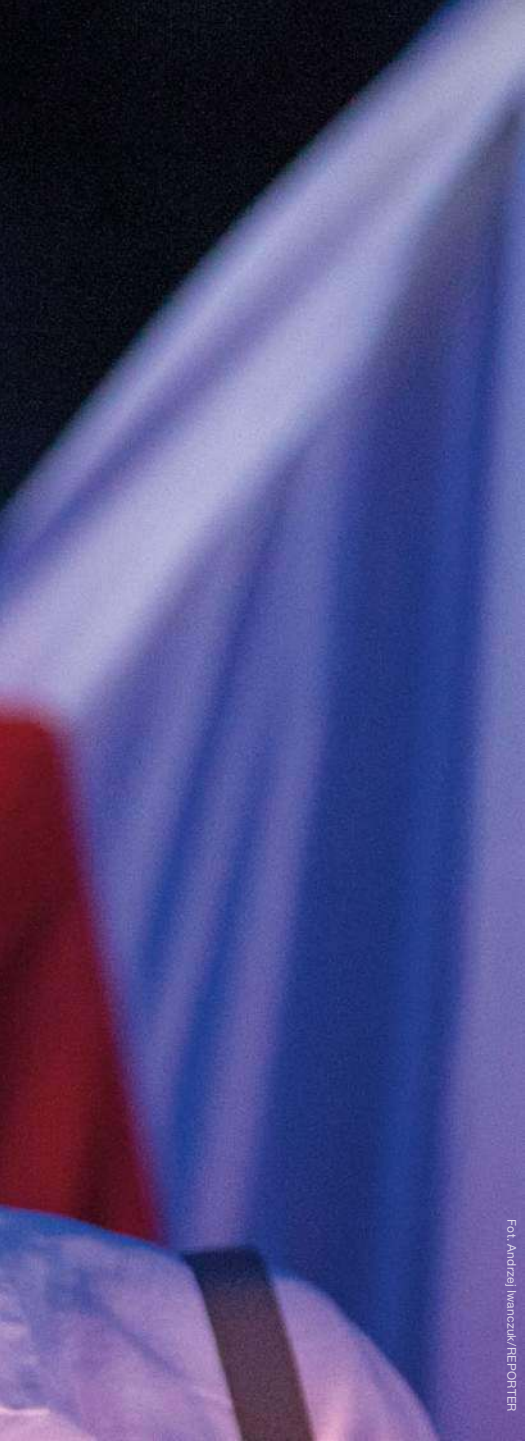

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

niej nowelizacji ustawy reforma tej izby została praktycznie odwrócona. Sędziowie, którzy odeszli w stan spoczynku, wrócili do pracy, prof. Gersdorf utrzymała stanowisko, mimo że przekroczyła wiek emerytalny, który obligował ją do złożenia urzędu.

Lider Obywateli RP podczas kuriozalnej uroczystości był rozanielony, a jego mowa niezwykle patetyczna. Najpierw mówił o historii miejsca, w którym w Warszawie stoi gmach Sądu Najwyższego, o krwawych powstańczych walkach z lata 1944 r., które się tutaj rozgrywały, i położonym nieopodal getcie, gdzie Żydzi przeżywali swój koszmar. Jak można się było spodziewać, ta rozległa opowieść historyczna miała mieć swój finał współcześnie i podkreślać bohaterstwo... sędziów. „Gdy przysięgają na wierność konstytucji, to w tym ślubowaniu słychać czasem krzyk tych ofiar, które są albo wprost, albo milcząco tutaj obecne. [...] Obrona niezawisłości sądów to nie jest obrona abstrakcji, to jest powstrzymywanie potwornego zła, czasem aż tak potwornego, jak o tym opowiada nie żadne inne miejsce jak właśnie plac Krasińskich w Warszawie".

Pani prezes Gersdorf chyba się podobało, tym bardziej że usłyszała, iż „uosabia wszystkich bohaterskich sędziów w Polsce, którzy stają na wysokości zadania". Zrewanżowała się za to równie solidną porcją komplementów. „Nie łudźmy się, gdyby nie postawa Obywateli RP, »Wolnych Sądów« i wszystkich tych, którzy wyrażali ten sam pogląd, który my wyrażaliśmy w opiniach do rządzących [...] nic by z tego nie było. [...] W jakimś sensie obroniliście naszą ojczyznę".

Wracając na chwilę do kwestii, czy owa uroczystość była demonstracją polityczną, czy nie, warto podkreślić, że na sali przypadkowo znaleźli się dwaj sędziowie, którzy – jak powiedziała pani prezes – „swoją niezłomność wykazują tak dalece, że mogą być usunięci z zawodu, z ich ukochanego zawodu". „Tu są sędziowie niezłomni, brawa dla nich! Jesteście kochani!" – wykrzykiwała podekscytowana Gersdorf, wskazując Igora Tuleyę i Wojciecha Łączewskiego. Do nich za chwilę wrócimy. Teraz warto wyjaśnić, skąd taka mięta Obywateli RP do sędziów. Trzeba przyznać, że mają im za co dziękować.

SĄD DLA OBYWATELI

27 kwietnia 2018 r. Konrad Korzeniowski brał udział w zadymie Obywateli RP przed siedzibą Krajowej Rady Sądownictwa, to był gorący okres wprowadzania ustaw i nerwowych protestów. Mężczyzna blokował wjazd do KRS, poproszony przez policjantów o odejście zareagował agresją, stawiał czynny opór i zwyzywał funkcjonariuszy. Sprawa trafiła do sądu rejonowego, który wydał wyrok uniewinniający. Sąd Okręgowy w Warszawie właśnie podtrzymał tę decyzję. Zaskoczenie? Skąd! Jak czytamy na portalu wPolityce.pl, to nie pierwsza taka decyzja tego sędziego. Krzysztof Chmielewski wcześniej m.in. uniewinniał Obywateli RP za wtargnięcie na teren Sejmu w lipcu 2017 r. W tamtym przypadku w uzasadnieniu nawiązywał do samospalenia Piotra S. przed Pałacem Kultury w połowie października 2017 r. „Ta śmierć [...] mogłaby wywołać dyskomfort u tych, którym się wymknął, i nie będą mogli mu postawić zarzutów za tę formę protestu" – mówił sędzia, jednocześnie uznając, że wtargnięcie znanego zadymiarza Rafała S. na teren Sejmu było „śmieszne".

Kolejne historie w podobnym duchu. W październiku 2018 r. sędzia Łukasz Malinowski z Sądu Rejonowego dla Warszawy Mokotowa uniewinnił Piotra Stańczaka, kolejnego, który również podczas zajść przed siedzibą KRS położył się na ulicy, blokując wjazd. Sędzia uznał, że nie doszło w tym przypadku do „społecznej szkodliwości czynu", a taka „aktywna forma ekspresji" jest całkowicie dopuszczalna. Jak widać, nie jest to przypadek jednego sędziego sprzyjającego Obywatelom RP. Kolejny przedstawiciel Temidy, Łukasz Biliński z warszawskiego sądu rejonowego, uniewinnił całą grupę, która blokowała marsz pamięci zorganizowany podczas miesięcznicy smoleńskiej w czerwcu 2017 r. „Niech nikt z was nie śmie tknąć nikogo z nas i zawlec nas do kibla. Niech nikt z was nie śmie, synkowie z polskimi orłami na czapkach" – wykrzykiwał przez megafon Paweł Kasprzak. Policja usunęła demonstrantów. „Wyniesiono również Władysława Frasyniuka. Jeśli ktoś ma wątpliwości, jaki jest związek obecnego reżimu z PRL, to tutaj ma najlepszy przykład" – skarżył się mediom jeden z Obywateli RP. Frasyniuk za naruszenie nietykalności osobistej policjanta i odmowę okazania dokumentów usłyszał potem zarzuty. W TVN24 swój opór tłumaczył tak: „Z władzą opresyjną nie rozmawia się, nie ułatwia się. Z władzą opresyjną się walczy, dąży się do tego, żeby ją usunąć". Sędzia Biliński stwierdził, że blokowanie legalnego i zgłoszonego marszu nie

eprasa.pl 23b1ab3917

było wykroczeniem, bo polecenia policjantów „nie dotyczyły opuszczenia zgromadzenia, tylko opuszczenia miejsca, w którym to zgromadzenia miało się dopiero odbyć”.

W listopadzie ubiegłego roku Sąd Rejonowy w Warszawie odrzucił wniosek MSWiA o zawieszenie zarządu Fundacji Wolni Obywatele RP – instytucjonalnie to tutaj usadowieni są Paweł Kasprzak i jego koledzy znani z antyrządowych ulicznych eskapad. Chodziło m.in. o opublikowanie i zachęcanie do podpisania tzw. deklaracji nieposłuszeństwa. Dokument zaczyna się od słów: „Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, wypowiadam posłuszeństwo państwu, które w osobach swych najwyższych przedstawicieli depcze obywatelskie swobody”. W dalszej części jest też taki wers: „Oświadczam zatem publicznie, że Andrzej Duda jest kłamcą i krzywoprzysięzcą, niegodnym sprawowania żadnej godności w Rzeczypospolitej”. Dla wspomnianego sądu nawet tak jawne nawoływanie do anarchii nie był powodem, by zastanowić się nad legalnością działania fundacji. Decyzję pochwalił Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar.

NIE PO MYŚLI WŁADZY

Takich przypadków są dziesiątki, a może nawet setki. Można się więc zastanawiać, czy plakietka Obywatele RP daje jakiś specjalny immunitet? Czy sympatie i antypatie polityczne mają wpływ na wydawane wyroki? Samo takie rozważanie dla sędziów powinno być kłopotliwie zawstydzające. Ale nie jest, co więcej, powstała nawet swoista lista chwały „sędziów, którzy wydali wyroki zgodnie z prawem, choć nie po myśli »władzy«”. Jej autorką jest Ewa Siedlecka, była dziennikarka „Gazety Wyborczej”, która zasłynęła internetowym nagraniem z cmentarza, instruowała w nim rodziny smoleńskie, jak nie dopuścić do ekshumacji. Portal OKO.press publikuje 297 nazwisk sędziów (to stan na 27 grudnia 2018 r.), wśród nich są także ci „szczególnie aktywni w środowisku” oraz – to kolejne kryterium zasług – „sędziowie w stanie spoczynku, którzy krytykują władzę”.

Fot. Jakub Wosik/REPORTER

Sędzia Wojciech Łączewski stał się bożyszczem „kasty” po tym, jak skazał na karę więzienia Mariusza Kamińskiego i jego byłych współpracowników z CBA

W kategorii „wydali wyroki w zgodzie z prawem i sumieniem, ale wbrew oczekiwaniu władzy” mamy 199 nazwisk. Są tam oczywiście wymienieni powyżej. Lista jest alfabetyczna, opisy lakoniczne, bez wątpliwości i zazwyczaj bez szczegółów. Można odnieść wrażenie, że każdy sprzeciw wobec władzy jest premiowany. Przykłady: Dominik Czeszkiewicz, SSR w Suwałkach – uniewinnienie działaczy KOD za zakłócenie spotkania z Anna Marią Anders, które odbywało się mimo ciszy wyborczej. Bartłomiej Adamczak, sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gdańsku – uchylenie zarządzenia wojewody w sprawie zmiany nazwy ulic w związku z ustawą dekomunizacyjną (zasłużonych w ten sposób jest na liście najwięcej – przyp. red.). Józef Iwulski, SSN – był w składzie odpowiadającym na pytanie prawne Sądu Apelacyjnego w Warszawie: SN potwierdził, że prezydent miasta może się odwoływać od decyzji wojewody o zakazie zgromadzenia mającego się odbyć w pobliżu „zgromadzenia cyklicznego” (miesięcznicy smoleńskiej). Władze Warszawy rejestrowały takie zgromadzenia „w pobliżu”. Sławomir Jęksa, sędzia Sądu Okręgowego w Poznaniu, 24 września 2018 r. podtrzymał uniewinnienie żony prezydenta Poznania Joanny Jaśkowiak od zarzutu użycia publicznie słów wulgarnych („jestem wkur...”) w przemówieniu podczas demonstracji w obronie konstytucji. W uzasadnieniu powiedział, że czyn obwinionej nie jest poważny z punktu widzenia przesłanek prawnych i że jego ocena jest niemożliwa bez uwzględnienia okoliczności politycznych. Marzena Ossolińska-Pleś, sędzia Wydziału Karnego Sądu Okręgowego w Rzeszowie – wraz z innymi sędziami tego wydziału zdecydowała, że podczas sądzenia, na obowiązkowej tabliczce z nazwiskiem będzie miała naklejkę „KonsTYtucJA”.

> Skąd taka mięta Obywateli RP do sędziów? Trzeba przyznać, że mają im za co dziękować i wręczać statuetki

Cała ta lista to w istocie wielkie oskarżenie „opresyjnego państwa PiS”. W komentarzach uwypuklane są frazy np. o „nieudolności Zbigniewa Ziobry” albo „niezrozumieniu istoty sprawy przez Bogdana Święczkowskiego”. Podkreślane są wyroki uniewinniające np. w sprawie manifestacji pod domem Jarosława Kaczyńskiego. Nie jest ważne, co tam się działo, ważne, że można, że „bohaterski” sędzia pozwolił. Specjalnie wyróżniono też np. sędziego, który uniewinnił blokujących Marsz Żołnierzy Wyklętych. W tym przypadku – by zagrać na emocjach – podkreślone jest, że organizatorem była ONR, a zupełnie pominięto to, że marsz był legalnym zgromadzeniem, którego zakłócanie jest niezgodne z prawem.

SĘDZIOWIE NIEZŁOMNI

Wróćmy teraz do dwóch „niezłomnych”, których podczas uroczystości w Sądzie Najwyższym specjalnie wy-

eprasa.pl 23b1ab3917

różniła prezes Gersdorf. Chodzi o Wojciecha Łączewskiego i Igora Tuleyę. Ten pierwszy stał się wręcz bożyszczem „kasty" po tym, jak skazał na karę bezwzględnego więzienia Mariusza Kamińskiego i jego byłych współpracowników z CBA. Później było o nim głośno jeszcze nieraz. Najpierw się okazało, że ochoczo rozprawiał z internautą, który podawał się za Tomasza Lisa, na temat możliwości obalenia władzy wybranej w 2015 r. Dziennikarz, który nie kryje swojej antypatii do PiS, w tej sprawie nie występował, ktoś się pod niego podszył, ale to wystarczyło, by rozgrzany sędzia podjął temat, także nie kryjąc krytyki pod adresem polityków dobrej zmiany. Później tłumaczył, że „ktoś włamał mu się na konto", ale szczegółowe śledztwo wykazało, że włamania nie było.

W tygodniku „Sieci" opisywaliśmy również okoliczności przygotowywania uzasadnienia drakońskiego wyroku dla Kamińskiego i współpracowników. Dotarliśmy do dokumentów, które dowodzą, że kipiący od politycznej złości sędzia szukał przed wydaniem orzeczenia konsultacji u Piotra Niemczyka, eksperta speckomisji z ramienia Platformy Obywatelskiej, a więc politycznego przeciwnika byłych szefów CBA. Niezłomność czy raczej nienawiść? Chyba raczej to drugie. Wrogości wobec PiS ten sędzia akurat nie potrafi ukryć, a może nawet się nie stara. Oto jego komentarz na słowa Jarosława Kaczyńskiego o ojkofobii, czyli nienawiści do własnego narodu. panującej wśród sędziów. „Powiem szczerze, że nie wiem, czy te słowa to efekt fascynacji pana prezesa Kaczyńskiego słownikiem wyrazów obcych, czy jest to – nie wiem – termin przejęty od psychiatrów, z którymi pan prezes być może w jakiś sposób ostatnio bliżej współpracuje" – drwił Łączewski.

Sędzia Igor Tuleya stał się „gwiazdą" natychmiast po tym, jak skazał za łapownictwo (ale tylko w odniesieniu do części zarzutów) słynnego kardiochirurga doktora G., ale jednocześnie w mowie końcowej oskarżył funkcjonariuszy CBA o stosowanie „stalinowskich metod". W ubiegłym roku, gdy latem najsilniej wybrzmiewały protesty pod sądami, to on był jednym z głównych zachęcających, by na antyrządowe manifestacje przychodzić. „Bycie tutaj z wolnymi ludźmi jest obowiązkiem wszystkich sędziów. 10 tys. sędziów sądów powszechnych powinno tutaj być" – mówił mediom. Do takiej formy protestu oficjalnie zachęcało także na swojej stronie Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia". Jego rzecznik, sędzia Bartłomiej Przymusiński, a także sędzia Tuleya (w koszulce z napisem „KonsTYtucJA") pofatygowali się nawet na Pol'and'Rock Festival Jerzego Owsiaka, gdzie dywagowali o zasadności reformy sądów. Debacie patronował Rzecznik Praw Obywatelskich – w relacji na jego stronie czytamy: „Adam Bodnar mówił, że prawnicy potrafią skonstruować rozwiązania, które odwrócą bieg zmian".

Fot. Andrzej Wiktor

Według Małgorzaty Gersdorf Igor Tuleya to, obok Wojciecha Łączewskiego, „sędzia niezłomny"

„Tu są sędziowie niezłomni, brawa dla nich! Jesteście kochani!" – wykrzykiwała Gersdorf, wskazując na Tuleyę i Łączewskiego

Chwaląc postawę sędziów „niezłomnych", prezes Gersdorf podczas wspominanej uroczystości z Obywatelami RP mówiła: „Sędziowie mają w sobie takie motto: niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie. I tego będziemy się trzymać. Chodzi o to, by to prawo moralne nie zostało zgięte".

GDZIE PO SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Polski system wymiaru sprawiedliwości jest od lat w głębokim kryzysie. Mówiąc wprost, ludzie sądom nie wierzą. Potwierdza to bardzo ciekawe badanie CBOS o zaufaniu do instytucji publicznych. Sądy są zazwyczaj na szarym końcu rankingu – zaufanie do nich deklaruje 33 proc. badanych, brak zaufania 50 proc. Tylko raz w historii badań – od maja 2007 r. do stycznia 2008 r. – pozytywne oceny przeważały nad złymi (59 proc. – 29 proc.). Był to efekt pracy rządu Jarosława Kaczyńskiego, którego kadencja obejmowała okres od 14 lipca 2006 r. do 16 listopada 2007 r. Ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był wówczas... Zbigniew Ziobro, tak bardzo krytykowany przez opozycję za bezwzględność w stosowaniu prawa.

Powyżej opisaliśmy tylko sprawy stricte polityczne, wynikające z oporu wobec zmian, które w obliczu przytoczonych danych, ale też społecznego odczucia wydają się konieczne. A jest przecież mnóstwo przypadków wynikających ze starych, postkomunistycznych układów, które podważają niezawisłość sądów. Słyszeliśmy historię biznesmena, który miał kilkanaście milionów i działkę budowlaną. Chciał zrobić złoty interes, ale na partnera wybrał człowieka nieukrywającego swoich znajomości w sądach. Ten często mawiał, że zna wielu sędziów jeszcze ze starych czasów i jeszcze nie przegrał żadnej sprawy. Pech chciał, że panowie się poróżnili i ich spór trafił do sądu. Nie wiadomo, na ile „znajomości" były faktyczne, a na ile był to tylko blef. Efekt jest taki, że biznesmen nie ma już

eprasa.pl 23b1ab3917

kilkunastu milionów, nie ma działki, ma jeszcze za to dopłacić wspólnikowi... kilkanaście milionów złotych.

Jeszcze jeden przykład, o mniejszej skali, ale z naszego podwórka. W rubryce satyrycznej prowadzonej do niedawna w tygodniku „Sieci" przez Roberta Mazurka i Igora Zalewskiego autorzy zamieścili wpis, że była rzeczniczka rządu Iwona Sulik „lubi sobie dziabnąć". W sprawie o „naruszenie godności poprzez żart" sąd pierwszej instancji uznał, że tygodnik powinien zapłacić 10 tys. zł na rzecz pani Sulik, a sąd drugiej instancji – podwyższył kwotę zadośćuczynienia do 50 tys. zł. To dla naszej redakcji duża suma. Nie wierzymy w przypadki, bardziej wiążemy tę gorliwość sądu z postawą redakcji, która otwarcie wyraża konieczność reformy sądów. Skłaniają nas do tego pośrednio nasi czytelnicy. W sierpniu 2016 r. w artykule „Inny wymiar sprawiedliwości" opisaliśmy pajęczynę tworzącą pomorski układ sędziowski. „W tutejszych sądach splatają się interesy wymiaru sprawiedliwości, polityki i biznesu. O tym, kto awansuje w zawodowej hierarchii, decyduje wąska grupa wpływowych sędziów. »Układ pomorski« ma się świetnie, a rozgrywają w nim postacie z karierą rozpoczętą w stanie wojennym". Skala korespondencji, jaką wciąż otrzymujemy, choć od publikacji minęły ponad dwa lata, jest porażająca. Okazuje się, że w każdym zakątku Polski działa to tak samo, a poczucie krzywdy, jakie ludzie wynoszą z rozpraw, jest obezwładniające.

Patrząc na północ kraju, nie można nie wspomnieć o wieloletniej batalii sądowej, jaką toczył Krzysztof Wyszkowski, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych, konsekwentnie oskarżający Lecha Wałęsę o agenturalną przeszłość. Gdy w kolejnej instancji usłyszał, że ma przeprosić byłego prezydenta, powiedział: „Przez kilkanaście lat byłem prześladowany przez sądy będące »rozgrzanym« aparatem represji w dyspozycji Donalda Tuska, Lecha Wałęsy i ogólnego Układu Trójmiejskiego, trafnie określanym przez dziennikarzy mianem »małej Sycylii«. Przeżyłem tak wiele świadomie mi sprawianych upokorzeń, poprzez pokrzykiwania, ostentacyjne i nieuzasadnione odbieranie głosu, uniemożliwianie wypowiedzenia się podczas rozprawy, w końcu skazywanie mnie bez przeprowadzenia postępowania dowodowego, że obecnie cieszę się choćby z takiego wyroku skazującego, który nie powtarza iście bezrozumnego orzeczenia swojego koleżeństwa o braku dowodów na agenturalną przeszłość człowieka, któremu brakuje minimum odwagi, by się do własnego życia przyznać, i który nadal żąda, by sądy upoważniły go do przybrania sobie innego, nieprawdziwego życiorysu".

> 14 stycznia współfinansowana przez Sorosa Fundacja Batorego organizuje konferencję, podczas której odbędą się dyskusje o tym, jak odwrócić wszystkie reformy sądowe wprowadzone przez PiS

Nazwisko osoby, która wydała ten wyrok, widnieje oczywiście na „liście chwały" Obywateli RP: „Magdalena El-Hagin, Sąd Okręgowy w Gdańsku, orzekła, że Krzysztof Wyszkowski ma przeprosić Lecha Wałęsę za nazwanie go Bolkiem".

CZY TO SIĘ UDA?

„Kasta" (jak tę grupę sama określiła prominentna sędzia) nie zamierza ustąpić. Upór, już nie tylko wobec reform, lecz po prostu jakichkolwiek działań wymiaru sprawiedliwości zakrawa na absurd. Prezes Iustitii prof. Krystian Markiewicz drwi np., zamiast się choćby zmartwić, po decyzji Międzynarodowej Izby Pomocy Prawnej (IRK) w Amsterdamie, która odmawia wydania Polsce 11 osób, a chodzi tutaj o regularnych bandziorów ściganych na podstawie europejskiego nakazu aresztowania. Powodem jest „troska o niezależność polskiego sądownictwa". Prof. Markiewicza stać tylko na komentarz: „Brawo PiS, oto skutki »wstawania z kolan« w sferze sądownictwa". Zatrważające.

I myli się ten, kto uważa, że spór wokół reformy sądownictwa wygasa. Że wiele już zostało zrobione, przed nami już naprawdę ostatnie szlify zmiany w tym obszarze. Po wyjątkowo niesprawiedliwym orzeczeniu Trybunału Sprawiedliwości UE polski rząd postanowił po raz kolejny znowelizować ustawę o Sądzie Najwyższym, godząc się tym samym, by wcześniej przeniesieni w stan spoczynku sędziowie wrócili do pracy. Środowiska wrogie reformie uznały to za sukces, stąd uroczystość Obywateli RP i zaproszenie ich do gmachu SN. A skoro jest jeden sukces, to czemu nie kuć żelaza, póki gorące?

14 stycznia, w dniu ukazania się tego numeru „Sieci", współfinansowana przez George'a Sorosa Fundacja Batorego organizuje w Warszawie konferencję, podczas której odbędą się dyskusje o tym, jak odwrócić wszystkie reformy sądowe wprowadzone przez PiS. W zaproszeniu na imprezę, którą zaszczyci szerokie grono sędziów, którzy „stają na wysokości zadania", czytamy m.in.: „Od 2015 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości dokonuje kontrowersyjnych zmian dotykających newralgicznych, ustrojowych instytucji demokratycznego państwa. [...] Niezmiernie ważne jest zatem, aby już teraz wyjść w przyszłość i przedstawić konstruktywne propozycje wyjścia z kryzysu ustrojowego, w którym się znajdujemy, i zastanowić się, w jaki sposób skutecznie i w zgodzie z obowiązującym porządkiem konstytucyjnym przywrócić prawidłowe funkcjonowanie głównych organów państwa, przede wszystkim Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa, Sądu Najwyższego oraz sądownictwa powszechnego". To scenariusz pisany przez środowiska sprzyjające opozycji na czas po wyborach. Dlatego rok 2019 jest w tej materii niezwykle ważny, głosy Polaków wrzucone do wyborczej urny dadzą nam odpowiedź na pytanie, czy uda się w końcu zrobić porządek w sądach. Wszystkich.

eprasa.pl 23b1ab3917

Salviniego pielgrzymka do Warszawy

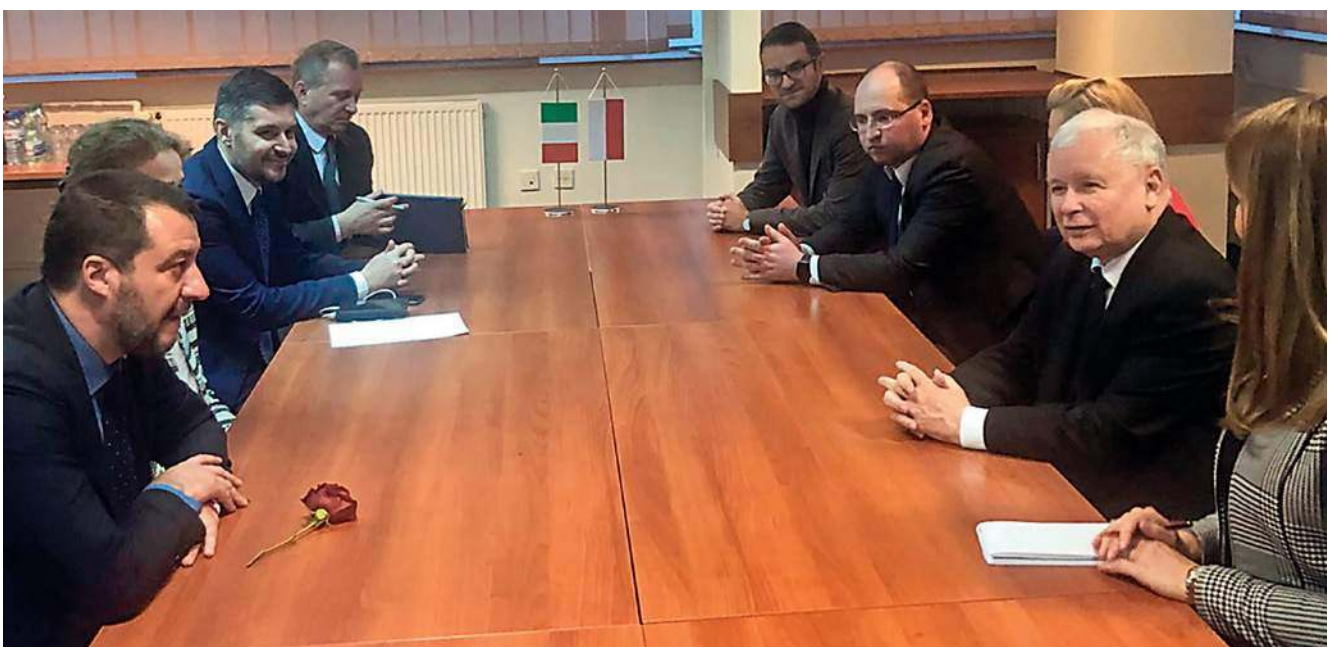

Fot. Twitter.com/Beata Mazurek

Jak nieoficjalnie słychać – wicepremier Włoch Matteo Salvini długo musiał zabiegać o możliwość bezpośredniej rozmowy z liderem PiS Jarosławem Kaczyńskim

JAN ROKITA

Kiedy 8 grudnia, w półrocze obecnego włoskiego rządu, lider Ligi Matteo Salvini wchodził na trybunę wielkiego partyjnego wiecu na rzymskim Piazza del Popolo, rozległy się dźwięki słynnej arii Kalafa „Nessun dorma" z opery Pucciniego: „Odejdź nocy, zgaśnijcie gwiazdy, bo o świcie ja będę zwycięzcą!". Kilkadziesiąt tysięcy zgromadzonych na placu zwolenników wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych nie mogło mieć wątpliwości, że ich lider nie jest już (jak ledwie rok wcześniej) szefem dość izolowanego ruchu północnowłoskich autonomistów, ale realnym przywódcą włoskiej republiki. Jeszcze przed wyborami z marca 2018 r. Salviniemu udało się przekształcić dotychczasową Ligę Północną z ruchu od lat mało skutecznie domagającego się autonomii bogatej i gospodarnej północy względem wiecznie zapóźnionego i mafijnego południa kraju w najsilniejszą ogólnowłoską partię narodową. Symbolicznym znakiem owej przemiany stało się porzucenie słówka „północna" w nazwie partii. A dowodem autentyczności owej przemiany – wynik marcowych wyborów, w których Liga stała się drugą (po lewicowym Ruchu Pięciu Gwiazd) partią włoską, zdobywając sporo głosów także na obcym sobie dotąd, by nie powiedzieć wrogim, południu i w centrum kraju.

PRZYWÓDCA ITALII

W tamtych wyborach Salvini zyskał 17-procentowe poparcie wobec 32-procentowego świetnego rezultatu Pięciu Gwiazd – nieco ekscentrycznego i antypolitycznego ruchu na rzecz demokracji bezpośredniej, założonego przez popularnego komika Beppego Grillo. Kiedy pół roku później Salvini wygłaszał mowę do tłumów na Piazza del Popolo, on sam i jego partia byli już zdecydowanymi liderami sondaży. Dzisiaj

eprasa.pl 23b1ab3917

relacje poparcia Ligi i Pięciu Gwiazd z tamtych wyborów dokładnie się odwróciły: to Salvini ma przeszło 32-procentowe zaplecze społeczne, a jego koalicyjny partner z rządu – tylko 17 proc. (to najnowsze badanie zlecone przez nieprzyjazny Salviniemu portal Politico). Na Facebooku wpisy Salviniego obserwuje 3,4 mln internautów, co (według dziennika „The Guardian") jest najwyższą liczbą pośród wszystkich czynnych polityków w Europie. Wobec takiego trendu raczej nikt nie ma wątpliwości, kto będzie w Italii zwycięzcą majowych wyborów europejskich, a po następnych wyborach (do których może dojść, jak to we Włoszech, w każdej chwili) – także następnym premierem. Ale przez ostatni rok Salvini stał się kimś więcej niźli tylko oczywistym politycznym przywódcą Italii. Wyrósł również na jednego z kluczowych polityków europejskich, u jednych budzącego lęk, u innych – wielkie i głośno wyrażane nadzieje.

Przełomem dla politycznej pozycji Salviniego we Włoszech stała się historia „Aquariusa". Ów statek, należący do zarejestrowanej w Berlinie organizacji SOS Mediterranee, próbujący wyładować w którymś z włoskich portów kolejne półtora setki murzyńskich emigrantów z Afryki, został przez Salviniego zablokowany na morzu, a w końcu zmuszony do wzięcia kursu na Maltę. Szef Ligi był wtedy raptem od dziesięciu dni ministrem spraw wewnętrznych, który obiecał nie tylko zahamować masowy przemyt ludzi z Afryki do Włoch, lecz także deportować co najmniej pół miliona z tych, którzy przybyli tam nielegalnie za poprzednich centrolewicowych rządów. Po tej bezprecedensowej we Włoszech akcji, zakończonej sukcesem Salviniego, notowania Ligi skokowo wzrosły z 17 do 30 proc. i nigdy potem nie spadły już poniżej tego poziomu. A szef MSW uparł się, iż także następnych statków z nielegalnymi imigrantami nie wpuści do Włoch. Na tym tle wszedł w cykl ostrych sporów z włoską lewicą, niektórymi biskupami, licznymi celebrytami oraz organizacjami humanitarnymi.

Wrodzy Salviniemu burmistrzowie miast portowych – Messyny, Palermo, Neapolu i Reggio Calabria – próbowali zignorować decyzje rządu i przyjmować statki w swoich portach, ale Salvini wymusił ich uległość przy pomocy Straży Przybrzeżnej. Niektórzy biskupi, po apelach papieża Franciszka (np. arcybiskup Turynu Cesare Nosiglia), zgłaszali gotowość swoich wiernych do przyjmowania imigrantów, ale Salvini odpowiadał: „Może apelować, kto chce – biskup, piosenkarz i piłkarz – ale dopóki ja będę ministrem, drzwi będą zamknięte". Wytoczono mu proces karny, zarzucając, iż swoimi decyzjami świadomie naraża ludzi na niebezpieczeństwo. Wbrew tym przeciwnościom Salvini doprowadził w listopadzie 2018 r. do przyjęcia przez parlament i podpisania przez lewicowego prezydenta Sergia Mattarellę ustawy o bezpieczeństwie, zaostrzającej postępowanie wobec imigrantów. Teraz nie wolno im np. zyskiwać legalnego prawa pobytu, a więc także jakichkolwiek świadczeń socjalnych, w toku postępowania azylowego. A to w praktyce oznacza, że większość afrykańskich imigrantów nie uzyska we Włoszech nigdy prawa do świadczeń socjalnych, co oczywiście demotywuje ludzi masowo dotąd płynących z Libii do Włoch. W odpowiedzi lewicowe władze regionów Toskanii, Emilii, Piemontu i Umbrii podniosły bunt, sugerując możliwość nierespektowania ustawy w ich regionach i wnosząc skargi do Sądu Konstytucyjnego. Salvini oskarżył je o próbę stosowania „obywatelskiego nieposłuszeństwa" wobec władz demokratycznego państwa. Burmistrz kalabryjskiego miasteczka Riasi, który postawił na nielegalnych imigrantów jako na rezerwuar pracowników, znalazł się karnie w areszcie domowym za łamanie prawa.

Polityka Salviniego przynosi widoczne efekty. Według danych ogłoszonych przez ONZ liczba imigrujących do Włoch spadła ze 120 tys. w roku 2017 do 23 tys. w 2018 r. Ciężar parcia Murzynów na Europę przeniósł się w tym czasie na Hiszpanię, w której właśnie do władzy doszła lewica; w analogicznym okresie imigracja do Hiszpanii urosła z 22 tys. do 56 tys. Warto pamiętać, że w przypadku Włoch antyimigrancka retoryka Salviniego ma zupełnie inne znaczenie i wydźwięk niźli podobna retoryka używana przez władze Węgier czy Polski. W Budapeszcie, a już zwłaszcza w Warszawie, gdzie afromuzułmańska fala imigracyjna jest abstrakcją, retoryka ta służy do politycznej mobilizacji elektoratu. W Italii Salvini próbuje radzić sobie z dużym i realnym problemem, który (jak sam mówi) „zaczął zagrażać włoskiej kulturze, społeczeństwu, tradycji i modelowi życia".

Z BIBLIĄ I RÓŻAŃCEM W RĘKU

Ale choć rewolucja we włoskiej polityce imigracyjnej i azylowej stała się znakiem rozpoznawczym i kwintesencją politycznego wizerunku Salviniego, zmiana, jaką szef Ligi wprowadził do włoskiej polityki, ma głębsze korzenie. Italia, tradycyjnie (na wzór Francji) flirtująca z sąsiadującymi przez morze krajami arabskimi, po raz pierwszy stanęła mocno po stronie Izraela. A premier Netanjahu, zazwyczaj sceptyczny wobec postawy rządów europejskich wobec Żydów (może z wyjątkiem Niemiec), uznał Salviniego za „wielkiego przyjaciela Izraela" po tym, jak ów napiętnował proirański Hezbollah jako „terrorystów". Co ciekawe, Izrael łatwo pogodził się z niezwyczajną dotąd dla Żydów diagnozą Salviniego, który wzrost antysemityzmu w Europie wiąże z „rozrostem islamskiego ekstremizmu". Przeciwstawienie się islamskiej imigracji ma więc być równoznaczne z walką z antysemityzmem. To teza wygodna dla Salviniego, choć – patrząc na dzieje Europy – dość kontrowersyjna. Jednak największe znaczenie miał bez wątpienia zwrot, jaki Salvini zaordynował we włoskiej polityce europejskiej.

Macrona nazwał na wiecu mianem „myszy laboratoryjnej, którą postawiono na czele Francji po to, aby jakoś utrzymać słabnący system elitarystyczny u władzy". Ideologiczna i polityczna zimna wojna pomiędzy Rzymem a Paryżem jest polityczną nowością, gdyż tradycyjnie włoscy premierzy zwykli maskować spory z Francją, wychodząc z założenia o bliskości kulturowej i politycznej obu narodów. Teraz Salvini wraz z premierem Orbánem ogłosił w sierpniu 2018 r. w Mediolanie, iż Macron jest najbardziej szkodliwym obrońcą europejskiego status quo i że traktują go, jako głównego wroga w Europie.

Spór rozgrywa się na kilku co najmniej polach. Salvini chce przede wszystkim rozluźnienia rygorów i nakazów unijnych

eprasa.pl 23b1ab3917

wobec suwerennych państw członkowskich, gdy Macron głosi potrzebę ich zacieśnienia. Salvini postuluje poluzowanie strefy euro tak, by znieść kontrolę Brukseli nad narodowymi budżetami, Macron, przeciwnie, chciałby wspólnego budżetu strefy euro. Kiedy w samej końcówce roku 2018 premier Conte (który robi raczej wrażenie figuranta firmującego politykę dwóch partyjnych liderów – Salviniego i Di Maio) porozumiał się w końcu z Brukselą co do poziomu deficytu we włoskim budżecie, Salvini z ironicznym uśmiechem wyraził nadzieję, że jest to ostatnie tego rodzaju porozumienie, bo następne nie będą już w Unii wymagane. Ale co charakterystyczne, mimo wielu ostrych słów wypowiedzianych przy tej okazji wobec Unii Salvini w żadnym razie nie zdecydował się na konfrontację z Brukselą na tle finansów. Doprowadził do ograniczenia planowanych wydatków, tak aby uspokoić grożący kryzys i zagranicznych inwestorów. Ale jako konsekwentny liberał gospodarczy nie dał się zmusić do postulowanej przez Unię podwyżki podatków, zwłaszcza VAT.

Jest jasne, że Salvini nie chciałby ani kryzysu, ani upadku Unii, ale marzy mu się kontrola nad jej przyszłą polityką. Dla ambitnego polityka, który doszedł niemal do szczytu w swoim kraju, to dążenie zupełnie zrozumiałe. Przy czym Salvini jako jeden z nielicznych liderów europejskich zdaje się rozumieć, iż ocalenie Unii jest możliwe tylko przez ponowne pogodzenie idei europejskiej z ideą narodową. Głównym powodem sprzeciwu Salviniego wobec obecnej elity unijnej jest ignorowanie przez nią faktu coraz silniejszego odradzania się w Europie partykularnych tożsamości narodowych. Ten sposób myślenia czyni zeń dzisiaj jednego z najbardziej wizjonerskich i przenikliwych liderów politycznych na kontynencie. W tle tego sporu sytuuje się także kwestia religii i ateizmu. Podobnie jak Kaczyński i Orbán Salvini jest nie tylko katolikiem, lecz piętnuje upowszechnianą przez instytucje unijne ideologię zwalczającą przekonania religijne europejskich chrześcijan. Na wiecu przed katedrą w Mediolanie ostentacyjnie występował z Biblią w jednym, a różańcem w drugim ręku. Z kolei na rzymskim Piazza del Popolo jako jedno ze swych wielkich osiągnięć przywoływał powrót włoskiego prawa rodzinnego do terminologii „ojciec" i „matka", zamiast wprowadzonych przez lewicę prawnych pojęć „rodzic A" oraz „rodzic B".

Salvini jako jeden z nielicznych liderów europejskich zdaje się rozumieć, iż ocalenie Unii jest możliwe tylko przez ponowne pogodzenie idei europejskiej z ideą narodową

W KONTRZE DO UNIJNYCH ELIT

Aby urzeczywistnić swe pragnienie zyskania wpływu na Europę i wymiany unijnej elity, Salvini potrzebuje mocnych zagranicznych partnerów. Do tej pory ówczesna mała Liga Północna, ze swoimi pięcioma wybranymi w 2014 r. europosłami, tkwiła w marginalnej w polityce europejskiej grupce Europy Narodów i Wolności (ENF), wraz m.in. z narodowcami flamandzkimi i francuskimi. Nowy sondaż Politico przewiduje, że tym razem w maju Salvini zdobędzie ok. 30 parlamentarnych eurofoteli, co nie pozwoli mu samodzielnie konkurować z niemieckimi chadekami czy nawet z LRM Macrona. Ratowałby go tylko przyszły sojusz z takimi potencjalnie zwycięskimi partiami w dużych krajach unijnych, których celem również jest odnowa unijnej elity oraz pojednanie Europy z narodami i religią. Zapewne najsilniejszymi sojusznikami mogliby tutaj być Francuzi ze Zgromadzenia Narodowego Marine Le Pen oraz Polacy z PiS Kaczyńskiego. Gdy idzie jednak o Polskę, to Kaczyński wykazuje daleko idącą ostrożność, a – jak nieoficjalnie słychać – Salvini długo musiał zabiegać o możliwość bezpośredniej rozmowy z liderem PiS.

Nic w tym dziwnego. Najpierw dlatego, że wobec prawdopodobieństwa, iż po majowych wyborach europejskich obóz chadecki, dowodzony de facto przez umiarkowaną i pragmatyczną kanclerz Merkel (bynajmniej nie przez Macrona), utrzyma władzę w Unii, Polska nie może stawiać na jedną kartę swoich fundamentalnych interesów państwowych. Po wtóre zaś geopolityczna retoryka wszystkich w zasadzie włoskich partii, a Ligi Salviniego nawet w szczególności, budzi w Warszawie duże wątpliwości. Jako krytyk globalizacji Salvini nie jest zwolennikiem amerykańskiej dominacji politycznej i kulturowej, która jego zdaniem była i jest motorem postępów globalizacji w ostatnich trzech dziesięcioleciach. A z kolei w wywiadzie dla „Washington Post", jaki dał przy okazji swojej lipcowej podróży do Moskwy, mówił m.in. iż „istnieją określone historycznie rosyjskie strefy z rosyjską kulturą i tradycjami, które zgodnie z prawem należą do Federacji Rosyjskiej". Miał oczywiście na myśli Ukrainę. Tego rodzaju pogląd nie jest co prawda nowością we włoskiej polityce. Podobnie myśli choćby wielokrotny premier Silvio Berlusconi, premier Renzi zaś oskarżał nawet Tuska o „chorobliwą nieufność wobec Rosji". Analogicznie jak wcześniejsze rządy włoskie Salvini krytykuje unijne sankcje wobec Rosji, ale – co charakterystyczne – rząd Ligi i Pięciu Gwiazd już dwukrotnie zgodził się na ich przedłużenie na następne półrocze. Dokładnie tak samo, jak poprzednie centrolewicowe gabinety premierów Renziego i Gentiloniego.

Wbrew tezie propagowanej przez polskie media w kwestii stosunku względem Rosji włoska polityka nie uległa w erze Salviniego żadnej realnej zmianie w porównaniu z poprzednimi rządami. Ale nie zmienia to tego, że geopolityczne wizje Salviniego, podobnie jak Berlusconiego czy Renziego, muszą budzić obawy u każdego polskiego polityka. Ciekawe, czy warszawska rozmowa z Kaczyńskim wpłynie tu jakoś na styl myślenia Salviniego, skoro przywódca Włoch potrzebuje dziś Polski jak powietrza, jeśli jego wielkie europejskie plany nie mają ulecieć z wiatrem po majowych wyborach.

eprasa.pl 23b1ab3917

Gra w premiera

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 23b1ab3917

W puli premierów Zjednoczonej Prawicy jest pięć nazwisk, po stronie opozycji – cztery

STANISŁAW JANECKI

Do wyborów parlamentarnych było jeszcze około roku, gdy w październiku 2018 r. zaczął się konkurs na przyszłego premiera. A faworytem po stronie opozycji zaczął być Władysław Kosiniak-Kamysz, bo takie podobno było życzenie Donalda Tuska. Gdyby obecny przewodniczący Rady Europejskiej miał wrócić do polskiej polityki (jako lider całej opozycji i kandydat na prezydenta), w roli szefa rządu widziałby prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego. To oczywiście były tylko plotki, choć wszystko wskazuje na to, że celowo inspirowane przez Tuska i kolportowane przez jego otoczenie. Ale te plotki sprawiły, że zaczęły rosnąć notowania Kosiniaka-Kamysza. W sondażu z 19 grudnia 2018 r., który dla „Rzeczpospolitej" przeprowadził IBRIS, Kosiniaka-Kamysza jako najlepszego kandydata opozycji na szefa rządu wskazało 26 proc. badanych. Grzegorz Schetyna był dopiero czwarty – z 10 proc. wskazań. Wyprzedzili go Robert Biedroń i Paweł Kukiz – po 16 proc. wskazań. Już wtedy Biedroń był lansowany jako przyszły premier i sam zaczął mówić, że „gra o wszystko", czyli właśnie o najważniejsze stanowisko władzy wykonawczej. W konkurs na szefa rządu wpisała się też przed świętami Bożego Narodzenia Zjednoczona Prawica, z której kręgów wyszły plotki, że premiera Mateusza Morawieckiego miałby zmienić, i to jeszcze przed końcem roku, marszałek Senatu Stanisław Karczewski. I nie było to jedyne nazwisko zmiennika obecnego szefa rządu, choć te inne dotyczyły rekonstrukcji już w nowym roku.

OSACZANIE SCHETYNY

Lansowanie Kosiniaka-Kamysza na przyszłego premiera było akcją wymierzoną w Schetynę. A skoro tak, wskazywało to na jego „wrogiego przyjaciela" – Donalda Tuska. Schetyna z Tuskiem wykonują różne gesty czy uściski rąk, ale w kręgach ich najbliższych współpracowników nikt nie ma złudzeń, że przyjaciółmi są tylko przed kamerami i w deklaracjach. Kiedy więc Schetyna od dawna usilnie lansuje Tuska jako kandydata na prezydenta w 2020 r., chce go jak najdalej odepchnąć od wpływu na opozycję i polską politykę w 2019 r. Nieoficjalnie Tusk kwestionuje nie tylko przywództwo Schetyny w całej opozycji, lecz także w PO. I, wedle moich informacji, uważa, że ze Schetyną jako liderem opozycji nie ma szans na odebranie władzy Prawu i Sprawiedliwości. A w związku z tym nawet nie ma sensu wskazywać Schetyny jako przyszłego premiera, choć sam przewodniczący PO nie dopuszcza innego wariantu. Lansowanie ugodowego Kosiniaka-Kamysza na szefa rządu było sygnałem dla tych opozycyjnych ugrupowań, które wystraszyły się koalicji z Platformą po połknięciu przez nią Nowoczesnej, że ewentualna większość rządowa byłaby partnerską koalicją, a lider PSL byłoby na tyle słabe politycznie, żeby nikomu w takiej wielkiej koalicji nie zaszkodzić ani nikogo nie zdominować.

Ustawianie Schetyny jako polityka przegranego i niemającego szans na zyskanie większego zaufania społecznego (w rankingach nieufności przewodniczący PO zajmuje pierwsze miejsce z prawie 45 proc. wskazań), choć formalnie zwycięskiego, miało prowokować go do nerwowych ruchów, które potem jego przeciwnicy mogliby dyskontować, uzasadniając, dlaczego przewodniczący PO nie powinien być liderem zjednoczonej opozycji i jej kandydatem na szefa rządu. I takie nerwowe ruchy można było obserwować, gdy PO przyjęła ośmioro uciekinierów z Nowoczesnej, co praktycznie rozbiło Koalicję Obywatelską, a pozostałe ugrupowania opozycyjne pozbawiło woli układania się ze Schetyną.

To wszystko nie oznacza jednak, że Kosiniak-Kamysz jest faktycznie liderem rankingu przyszłych premierów, także u Tuska. Jest brany pod uwagę jako kandydat wtedy, gdy żadnego szerszego porozumienia przed wyborami parlamentarnymi nie będzie i po wyborach byłaby jakakolwiek szansa stworzenia w Sejmie większości. Wtedy prezes PSL (o ile ta partia przekroczy wyborczy próg) byłby integratorem sejmowej większości na takich zasadach, jak to się działo na początku lat 90., gdy koalicje rządowe składały się z kilku partii. Tyle tylko, że takie koalicje są niestabilne i praktycznie nie wytrzymują całej kadencji. Tym bardziej że ambicje bycia takim integratorem ma także Biedroń. Ale jego pozycja przetargowa po wyborach zależy od wyniku uzyskanego przez nowe ugrupowanie. Gdyby było to około 10 proc. albo więcej, szanse Biedronia by wzrosły. Tym bardziej że taki wynik mógłby osiągnąć jedynie kosztem innych partii opozycyjnych, w tym PO, więc byłby relatywnie silnym graczem. I na to właśnie liczą doradcy Biedronia. A to oznacza, że jego ugrupowanie nie ma żadnego interesu we wchodzeniu w jakiekolwiek koalicje przed wyborami. Poza tym lansowanie Biedronia jako przyszłego premiera ma lewarować notowania jego nowej partii, a przez to zapewnić jej dobry wynik wyborczy. Stąd deklaracje samego Biedronia, że tym razem walczy o najwyższą stawkę, czyli funkcję premiera.

Kosiniak-Kamysz nie jest tajną bronią Tuska przeciwko Schetynie, gdyż w takiej roli najdłużej urzędujący premier III RP widzi prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Schetyna wystawił Trzaskowskiego do walki o prezydenturę stolicy, gdy tylko się dowiedział, że jest on faworytem Tuska (w październiku 2017 r.). Wtedy też pojawiły się sondaże wskazujące Trzaskowskiego jako najlepszego lidera PO równie często jak Schetynę (po 5 proc. wskazań). Lepsze notowania mieli Borys Budka (8 proc.) i Ewa Kopacz (7 proc.), ale to Trzaskowskiego Schetyna obawiał się najbardziej. I chyba słusznie, gdyż jego spektakularna wygrana w Warszawie

eprasa.pl 23b1ab3917

w pierwszej turze tylko go wzmocniła. I odnowiła plany Tuska, by Trzaskowskim zastąpić Schetynę na stanowisku szefa PO. Gdyby to się udało tuż po wyborach do europarlamentu (26 maja 2019 r.), a sprzyjałby temu niezadowalający wynik PO, co jest możliwe wobec podziału mandatów na kilka opozycyjnych partii, Trzaskowski byłby lansowany jako zbawca i odnowiciel PO, w dodatku mocno wspierany przez Tuska. I wtedy Trzaskowski byłby naturalnym kandydatem PO na premiera, a tym samym także kandydatem większej części opozycji. Ten plan wzmacniałaby spodziewana wtedy deklaracja Tuska, że nie tylko wspiera Trzaskowskiego, lecz też będzie kandydował w wyborach prezydenckich. Schetyna o tych planach oczywiście wie i będzie im przeciwdziałał, bo oznaczają one jego koniec w wielkiej polityce. Pożerając Nowoczesną i całkowicie uzależniając uciekinierów z tej partii od swej woli, Schetyna chciał się wzmocnić przed spodziewaną konfrontacją z Tuskiem i Trzaskowskim.

PULA PREMIERÓW PRAWICY

W przymiarki do kreowania premierów wpisała się rządząca Zjednoczona Prawica, choć nigdy oficjalnie. Plotki na ten temat wychodziły z obozu dobrej zmiany i przede wszystkim były efektem tarć między różnymi grupami wewnątrz. Nie jest tajemnicą, że pozycja premiera Morawieckiego w partii nie jest bardzo silna, a podczas posiedzeń Komitetu Politycznego całkiem otwarcie zastanawiano się, jakie cele osiągnięto po prawie roku jego urzędowania w roli szefa rządu i funkcjonowania jako głównej twarzy PiS w bieżącej polityce oraz w kampanii samorządowej.

Pod koniec 2018 r. pojawiły się w tym gremium głosy, że może trzeba by pomyśleć o zmianie premiera, skoro niektórych zakładanych celów nie osiągnięto. Miał się nawet pojawić taki wniosek formalny, jednak nie nadano mu żadnego biegu. Jarosław Kaczyński nie otworzył żadnej debaty na ten temat i nie dał żadnych sygnałów, iż nie popiera Mateusza Morawieckiego czy nie ma do niego zaufania. Wręcz przeciwnie. Co nie podważa tego, iż wewnątrz obozu władzy rozpatrywane są różne warianty optymalnego przygotowania się do dwóch kampanii wyborczych. Tym bardziej że opozycja przedstawia te wybory, szczególnie parlamentarne, jako najważniejsze od 4 czerwca 1989 r. To dlatego rozważa się, kto ma być główną twarzą Zjednoczonej Prawicy na wybory, a w wypadku kampanii parlamentarnej także kandydatem na przyszłego premiera.

Z różnych przecieków, spekulacji i plotek, w tym takich, które nie muszą odzwierciedlać tego, co się faktycznie dzieje na szczytach obozu władzy, a pojawiających się od początku grudnia 2018 r. wynika, że na giełdzie premierów Zjednoczonej Prawicy jest pięć nazwisk: Mateusz Morawiecki, Beata Szydło, Stanisław Karczewski, Elżbieta Rafalska i sam Jarosław Kaczyński. Nazwisko Karczewskiego pojawiło się pod koniec listopada 2018 r., Rafalskiej zaś w grudniu 2018 r., co by wskazywało na temperaturę debaty w obozie Zjednoczonej Prawicy po wyborach samorządowych i wobec problemów, jakie obecny polski rząd ma z Komisją Europejską oraz Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Nie oznacza to, że pod koniec 2018 r. realne szanse realizacji miałby pomysł zmiany premiera, choć takie plotki rozpowszechniano, szczególnie w ostatnim tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia. Oznacza to tylko tyle, że w obozie Zjednoczonej Prawicy mówi się o pewnej puli premierów. Gdyby miało dojść do jakiejś rekonstrukcji rządu, można by zrealizować kilka wariantów, w zależności od wyznaczonych celów oraz predyspozycji i umiejętności osób z puli premierów.

Gdyby Zjednoczona Prawica osiągnęła dobry wynik w wyborach do europarlamentu (optymalnie 27 mandatów, minimalnie – 22), najbardziej prawdopodobny jest wariant, że to Morawiecki poprowadzi Zjednoczoną Prawicę do wyborów parlamentarnych. Niekorzystny wynik skłaniałby do zmian, także na szczytach władzy. A w razie zwycięstwa Zjednoczonej Prawicy w wyborach do Sejmu i Senatu rozważanych jest kilka wariantów ukształtowania rządu. Także w zależności od tego, czy Zjednoczona Prawica mogłaby rządzić samodzielnie, czy mimo wygranej musiałaby szukać koalicjanta. I w takim scenariuszu pojawiają się – obok Morawieckiego – nazwiska Szydło i Kaczyńskiego. Prezes PiS mógłby odegrać jakąś specjalną rolę, gdyby do polskiej polityki wrócił Tusk (także w trakcie drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy). W zależności od kłopotów w sformowaniu rządu po wyborach jesienią 2019 r. rozpatrywani są też Rafalska i Karczewski.

> Lansowanie Władysława Kosiniaka-Kamysza na przyszłego premiera było akcją wymierzoną w Grzegorza Schetynę. A skoro tak, wskazywało to na jego „wrogiego przyjaciela" – Donalda Tuska

Istnienie w obozie władzy różnych scenariuszy, także dotyczących stanowiska premiera, nie musi być traktowane w kategoriach sensacji czy wewnętrznych wojen, lecz jako przygotowanie do trudniejszych scenariuszy utrzymania władzy. W tym kontekście to, co się dzieje w obozie władzy, i tak przebiega znacznie spokojniej niż po stronie opozycji, gdzie nie ma żadnego pewnego scenariusza, a kandydaci na premiera są w przeciekach ujawniani głównie dlatego, żeby ukryć stan faktyczny i ewentualnie „spalić" niektórych faworytów, w tym tych, którzy sami się lansują. Pod tym względem po stronie Zjednoczonej Prawicy widać znacznie więcej elementów planu przygotowania się na bardzo różne scenariusze. Nie po to, żeby kandydaci z puli premierów wzajemnie się wycinali, lecz dlatego, aby elastycznie, także w sensie personalnym, reagować na to, co się będzie działo w polskiej i europejskiej polityce. A łatwo nie będzie.

eprasa.pl 23b1ab3917

Nie da się wykluczyć, że w przewidywalnej przyszłości polska scena polityczna ulegnie zmianom i radykalizacji. Słabym ogniwem jest tutaj PO, która już dziś staje się zakładnikiem liberalnej lewicy. Odpowiedzią na zapateryzm tych środowisk może być gwałtowny opór prawej strony i wzrost znaczenia radykalnych ruchów na prawicy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Czas radykałów

Fot. Andrzej Wiktor (x2)

W czasie gdy ulicami Warszawy przechodził orszak trzech królów, pod Sejmem zebrała się grupka antyklerykalnych działaczy związanych ze sprzymierzonym z PO lewicowym stowarzyszeniem Inicjatywa Polska. Stojąca na czele tego ruchu Barbara Nowacka przedstawiła zarysy przygotowanej przez jej środowisko ustawy o rozdziale państwa od Kościoła. Projekt przewiduje zniesienie finansowania lekcji religii, likwidację Funduszu Kościelnego oraz komisji rządowo-kościelnych, a także wprowadzenie zasady, że duchowni sami opłacają swoje składki na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne. Nowacka stwierdziła, że „jeśli państwo ma funkcjonować poprawnie, to nie ma powodu, żeby finansować jedną konkretną religię z budżetu państwa". Dodała również, że projekt ustawy jest zaledwie „pierwszym etapem rozdziału Kościoła od państwa". A zatem – jak wynika z jej słów – będą jeszcze kolejne, zapewne bardziej radykalne.

eprasa.pl 23b1ab3917

Adam Andruszkiewicz

Stowarzyszenie Barbary Nowackiej zamierza teraz rozpocząć akcję zbierania podpisów wspierających projekt ustawy, który ma być zgłoszony w Sejmie. Jeśli się okaże, że sejmowa komisja ds. petycji nie rozpatrzy wniosku Nowackiej, to zapowiada ona przekształcenie ustawy w projekt obywatelski i wielką mobilizację wokół tego celu.

Trudno nie dostrzec, że ustawa Nowackiej jest najnowszą odsłoną licytacji na antyklerykalizm, uruchomionej na lewicy wraz z ogłoszeniem planu budowy własnej formacji politycznej przez Roberta Biedronia. Również Biedroń, choć dziś daleki od PO, zamierza wjechać do ogólnokrajowej polityki na fali rozbudzonego antyklerykalizmu. Należy się więc spodziewać, że już wkrótce wojna kulturowa w Polsce nabierze impetu.

ANTYKLERYKALNA FALA

Silna eksplozja antyklerykalizmu w Polsce stała się szczególnie widoczna po premierze filmu „Kler" oraz po ujawnieniu licznych skandali pedofilskich zamiatanych dotąd pod dywan przez wpływowe lobby homoseksualne w Kościele. Specyficzną rolę odgrywa tu antyklerykalizm ludowy związany z płytką religijnością wielu mieszkańców wsi i małych miasteczek oraz nierzadko niską jakością duchowieństwa na prowincji. Nic dziwnego, że migrująca do dużych miast ludność z mniejszych ośrodków w nowym środowisku często porzuca Kościół, postrzegając religijność jako oznakę niskiego statusu i przeszkodę na swojej drodze do awansu społecznego.

W dużych miastach postawa ta zgrabnie połączyła się z ideologicznym antyklerykalizmem liberalnej lewicy, co pozwala zwielokrotnić oddziaływanie postulatów agresywnej laicyzacji. Najlepszym przykładem tego zjawiska w ostatnich latach było ugrupowanie Janusza Palikota, które właśnie na tym fundamencie zbudowało swoją krótkotrwałą popularność.

Dziś fala antyklerykalizmu znowu wraca. Jedną z jej przyczyn jest zręczna propaganda łącząca Kościół z rządzącą prawicą, podkręcona dodatkowo przez antypisowskie wzmożenie w miastach. Inna przyczyna to przedstawienie Kościoła i duchowieństwa jako zamkniętej, zepsutej kasty, co jest do pewnego stopnia wykorzystaniem przez liberalną lewicę tego samego mechanizmu, który wcześniej stał za powszechną niechęcią warstw ludowych do bogatych kombinatorów oraz elit, biesiadujących u Sowy & Przyjaciół. Dzisiaj część tych liberalnych elit przystępuje do ofensywy, aby wykorzystując mobilizację antypisu przed wyborami parlamentarnymi, wypromować postulat przebudowy Polski na modłę postchrześcijańskich i zlaicyzowanych społeczeństw Europy Zachodniej. Programowa bezbarwność PO bardzo ułatwia to zadanie.

SLALOM SCHETYNY

Większość komentatorów zwraca uwagę, że ruch Barbary Nowackiej jest kłopotliwy dla PO, ponieważ wpuszcza tę partię w sam środek ideologicznego sporu, czego Grzegorz Schetyna i jego najbliższe otoczenie woleliby zapewne uniknąć. I to jest oczywiście prawda, biorąc pod uwagę to, że wbrew utartym schematom Platforma zachowuje bardzo poprawne relacje z częścią hierarchii kościelnej. Hierarchia unika – rzecz jasna – głośnych deklaracji, ale nie jest tajemnicą, że pewna jej część wyraźnie sympatyzuje z PO, wystarczy przypomnieć tu choćby, jak ostatnio ks. kard. Kazimierz Nycz „dziękował Bogu" za warszawską prezydenturę Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Nic zatem dziwnego, że Grzegorz Schetyna początkowo asekuracyjnie milczał w sprawie pomysłu Barbary Nowackiej. Stojący zwykle tuż za plecami Schetyny Tomasz Siemoniak lawirował, przekonując, że PO „nie pójdzie

eprasa.pl 23b1ab3917

na wojnę z Kościołem", i dodając zarazem, że mimo to Platformie nadal jest po drodze z Nowacką. Z kolei Cezary Tomczyk w rozmowie z portalem Gazeta.pl nie miał żadnych wątpliwości, że „rozdział Kościoła od państwa jest potrzebny i nie powinien być fikcją". Dodał również, że jako katolikowi jest mu „bardzo smutno", bo – jak to zgrabnie ujął – „polski Kościół działa na niekorzyść Kościoła".

Schetyna włączył się do debaty dopiero trzy dni później, obwieszczając, że „redefinicja" relacji państwo–Kościół jest jednak konieczna, i zapewniając, że dyskusja na ten temat nie jest bynajmniej elementem walki z Kościołem.

Wahania liderów PO potwierdziły, że ich partia nie ma żadnej ideowej tożsamości. Istniejącą pustkę z łatwością zaczynają więc zapełniać lewicowi sprzymierzeńcy Platformy. Oznacza to jednak, że Schetyna staje się powoli zakładnikiem radykalnego skrzydła antypisowskiej opozycji, która, wykorzystując jego koniunkturalizm, zaczyna mu dzisiaj pisać program.

NARODOWIEC W ONECIE

Podobne zjawisko, choć na znacznie mniejszą skalę, można zaobserwować również po drugiej stronie polskiej sceny politycznej. Tutaj odpowiednikiem radykalnych antyklerykałów na lewym skrzydle PO są grupki narodowców próbujące wywierać presję na obóz rządzący. Jednak ich zmagania są znacznie trudniejsze, przede wszystkim dlatego, że PiS – w odróżnieniu od bezbarwnej Platformy – jest partią o wyrazistym programie i jasno zdefiniowanych celach. Narodowcom nie jest więc łatwo narzucać swoje postulaty. Przyjęli zatem taktykę ataków na PiS, prowadzonych głównie w mediach społecznościowych, gdzie – zwykle przy pomocy anonimowych trollów – oskarżają rządzącą partię o miękkość i zdradę elektoratu. Narodowcy nie dostrzegają jednak najwyraźniej sprzeczności między wysuwanymi przeciwko PiS zarzutami chwiejności a własną elastycznością wobec drugiej strony. Antypisowska fobia i frustracja wepchnęły ostatnio prezesa Ruchu Narodowego Roberta Winnickiego do samochodu Bartosza Węglarczyka, który przeprowadził z nim wywiad dla portalu Onet.pl.

Z punktu widzenia antypisowskiej opozycji narodowcy byliby bowiem idealnym przeciwnikiem. Nigdy nie dość silni, aby objąć władzę, za to wystarczająco radykalni i politycznie niedojrzali, aby skutecznie straszyć nimi wyborców. Przy tym wszystkim – w odróżnieniu od PiS – niespecjalnie wrażliwi społecznie i pozostawiający tutaj wolną przestrzeń do zagospodarowania przez lewicę.

> Grzegorz Schetyna powoli staje się zakładnikiem lewicowego skrzydła antypisowskiej opozycji, która, wykorzystując jego koniunkturalizm, zaczyna mu dzisiaj pisać program

Nic dziwnego, że narodowcy są już dziś lansowani w liberalnych mediach jako rzekomo wielka siła zagrażająca Polsce i demokracji, a PiS przedstawiane jako zakładnik tych grup ulegający ich postulatom. Niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością, ale przecież nie o fakty tu chodzi, lecz o osłabienie PiS. To zgubna taktyka, która ma służyć eliminacji jedynego liczącego się – i co ważne – w pełni obliczalnego konkurenta obozu liberalnego do władzy.

WYNIESIENIE ANDRUSZKIEWICZA

W tym kontekście nieco zaskakująca była niedawna decyzja o nominacji Adama Andruszkiewicza na wiceministra cyfryzacji. Z politycznego punktu widzenia ta nominacja daje obozowi rządowemu niewiele albo zgoła nic. Bo możliwe straty przewyższają tutaj ewentualne zyski (zresztą trudno dla mnie dostrzegalne). Jakim bowiem zyskiem politycznym jest wciągnięcie do rządu młodego człowieka, którego dokonania są znikome? A te, o których słyszeliśmy, raczej nie wystawiają mu dobrej opinii. Kiedyś związany z Ruchem Narodowym miał się sprzeciwiać bazom amerykańskim w Polsce – wiem, niektórzy narodowcy tak mają, że chcieliby powrotu Układu Warszawskiego – ale powstaje pytanie, czy w związku z tym powinni oni piastować stanowiska państwowe w rządzie?

Oczywiście twierdzenie opozycji, że Andruszkiewicz to agentura, jest bzdurą mającą przysłonić kompromitującą wpadkę Lecha Wałęsy, który dosłownie przed chwilą chciał się układać z Putinem. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że pozwala to uruchomić kolejną propagandową nagonkę na rząd. Gdybyż jeszcze Andruszkiewicz był osobą, której obecność może istotnie poszerzyć bazę wyborczą rządu lub za którą stoi jakaś poważna formacja polityczna, ale tego też nie ma (choć i tak miałbym tu poważne wątpliwości, gdyby była to formacja narodowa). Adam Andruszkiewicz zasadniczo reprezentuje sam siebie, a ze swoimi byłymi kolegami jest – o ile mi wiadomo – mocno poróżniony.

Chyba że... Chyba że za nominacją Andruszkiewicza kryje się jakaś makiaweliczna gra. Że jego wyniesienie służyć ma budowie jakiegoś narodowego skrzydła obozu rządowego, dzięki któremu uda się spacyfikować radykalne środowiska na marginesie prawicy. Jeśli tak, to co innego. Pytanie jednak, czy Andruszkiewicz nadaje się do tej roli. I czy jego gwałtowna kariera rządowa sprawi, że stanie się dla tych środowisk bardziej wiarygodny.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że w przewidywalnej przyszłości polska scena polityczna ulegnie zmianom i radykalizacji. Słabym ogniwem jest tutaj PO, która już dziś staje się zakładnikiem liberalnej lewicy. Odpowiedzią na antyklerykalny i obyczajowy zapateryzm tych środowisk może być gwałtowny opór prawej strony i wzrost znaczenia radykalnych ruchów na prawicy. Jednak byłby to bardzo zły scenariusz dla Polski. Z takiego obrotu spraw mogą się dziś cieszyć jedynie ideologiczni fanatycy z obu stron.

eprasa.pl 23b1ab3917

Prawie 10 proc. niemieckich wyborców to nasz żelazny elektorat, który na pewno na nas zagłosuje. Jest też grupa bardziej chwiejna, którą szacujemy na 6–20 proc. Warto podkreślić, że dziś AfD ma większe poparcie wśród ludzi pracy niż socjaldemokraci. Ważną część naszych wyborców stanowią także klasyczni konserwatywni liberałowie. Ale wciąż wielu ma nadzieje, że da się nas wyeliminować, zniszczyć, sięgając po wszelkie dostępne środki

Zdjęcia: Fratria

Z czasem zaczną traktować nas jak partnerów

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Georgiem Pazderskim, niemieckim politykiem, przewodniczącym berlińskich struktur Alternatywy dla Niemiec (AfD)

Jak to się stało, że AfD zdołała się przebić w niemieckiej polityce? To przecież system bardzo stabilny, do tego silnie przechylony w lewo.

Georg Pazderski: Zawsze gdy pojawiała się jakakolwiek grupa choćby trochę bardziej na prawo od CDU, zaraz podnosiły się głosy: uważajcie, to są naziści, a przecież wiecie, jak wyglądała nasza historia. I to działało. AfD jest pierwszym przypadkiem, kiedy ta taktyka nie zadziałała. Jesteśmy obecni w Bundestagu, w 16 landowych parlamentach, w europarlamencie. Liczę na to, że w majowych wyborach do PE zdobędziemy kilkanaście, może nawet 20 mandatów. Zyskujemy poparcie, zyskujemy na znaczeniu, co także oznacza, że ktoś traci. Pojawiła się siła, która patrzy innym na ręce, która wkłada palce w rany. Dla partii głównego nurtu to jest sytuacja, z którą nie miały do czynienia od 30 lat. To jest także jedna z przyczyn niechęci do nas.

Co było główną przyczyną waszego sukcesu wyborczego w 2015 r.? Kryzys migracyjny?

Najważniejsze było przesuwanie się CDU na lewo, zauważalne od lat, ale szczególnie intensywne za rządów Angeli Merkel. Chadecja zaczęła przechodzić na pozycje socjaldemokratyczne, zielone, a częściowo nawet jeszcze bardziej lewicowe. Dzięki temu po prawej stronie pojawiła się próżnia, w którą weszła

eprasa.pl 23b1ab3917

AfD. Co ciekawe, nasz sukces nie spowodował korekty kursu CDU, ta partia wciąż wierzy, że zdobędzie więcej głosów, idąc na lewo, nie na prawo. Dla nas to dobra wiadomość, oznacza bowiem, że nasz potencjał rośnie. Ale to szansa, którą musimy wypełnić pomysłami, koncepcjami, propozycjami. Musimy być postrzegani jako ugrupowanie, które naprawdę potrafi wziąć na siebie odpowiedzialność i rozwiązać problemy.

Nadal jednak AfD jest oskarżana o skrajną prawicowość, o ekstremizm, o sympatie pronazistowskie. Również w Polsce słychać takie głosy.

Wciąż trwa bombardowanie, wciąż gazety są pełne tego typu oskarżeń, podsycanych przez partie konkurencyjne. Oczywiście zdarza się, że któryś z naszych członków powie coś takiego, że można się tylko za głowę złapać, ale to są naprawdę jednostki.

Elena Roon, kandydatka z ramienia AfD w Norymberdze, rozesłała do członków grupy sympatyków partii na Facebooku zdjęcie Hitlera podpisane: „Adolf, proszę, wróć! Niemcy Cię potrzebują!" i „Tęsknimy od 1945".

Na przykład. Mieliśmy przypadki negowania Holokaustu, noszenia kwiatowego symbolu austriackich nazistów. Reagujemy, staramy się pozbywać takich ludzi z partii, co nie zawsze jest łatwe. A trzeba pamiętać, że AfD jest pod bardzo staranną obserwacją ze strony w sumie całej Republiki. Wystarczy jeden wpis w mediach społecznościowych, żeby wywołać ogólnokrajową burzę.

Ze strony służb specjalnych także?

Jeszcze nie, na pewno nie jako całość. Być może obserwowane są poszczególne osoby.

Skoro jesteście pod stałym ostrzałem, w jaki sposób AfD komunikuje się ze swoimi wyborcami?

Ciężko pracujemy. Ja np. mam dość poprawne relacje z dziennikarzami. No i są oczywiście media społecznościowe, wciąż relatywnie wolne. W społeczeństwie narasta krytyka mediów tradycyjnych. Znam ludzi, którzy rezygnują z niemieckich gazet i zaczynają prenumerować „Neue Zürcher Zeitung", ponieważ mają poczucie, że ten szwajcarski dziennik opisuje niemiecką rzeczywistość znacznie bardziej obiektywnie niż np. „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Pojawiają się wręcz głosy, zwłaszcza w dawnym NRD, że zmierzamy w kierunku „NRD 2.0", bo do tego prowadzą krępowanie światopoglądu, polityczna poprawność, próby poddania kontroli mediów społecznościowych.

> Niemiecki rząd jest ślepy na lewe oko. Przemoc ze strony lewicowych środowisk, czasem także aktywność kryminalna – są tolerowane. Prasa, która nieustannie się ekscytuje marginalnymi grupkami neonazistów, nie reaguje na narastającą przemoc z drugiej strony. Komunikat jest jasny: dopóki walczysz z prawicą, jesteś bezpieczny

Jaki jest skład społeczny AfD? Kim są członkowie i sympatycy waszej partii?

To normalni ludzie, którzy jeszcze niedawno głosowali na CDU, SPD, na liberałów. Prawie 10 proc. niemieckich wyborców to nasz żelazny elektorat, który na pewno na nas zagłosuje. Jest też grupa bardziej chwiejna, którą szacujemy na 6 do 20 proc. Warto podkreślić, że dziś mamy większe poparcie wśród ludzi pracy niż socjaldemokraci. Ważną część naszych wyborców stanowią także klasyczni konserwatywni liberałowie.

Robotnicy mają poczucie, że SPD ich zdradziła?

Tak. Ludzie z niższych warstw społecznych czują, że to my jesteśmy ich głosem w parlamencie. To zresztą zrozumiałe. Któż bowiem ponosi koszty masowej imigracji? To nie są ludzie, którzy zarabiają 10 tys. euro miesięcznie. Cenę płacą osoby mało zarabiające, które konkurują o gorzej płatne prace, o tanie mieszkania, o zapewnienie edukacji swoim dzieciom. Oni widzą, że w Niemczech dzieje się źle, i mają poczucie, że tylko Alternatywa dla Niemiec jest w stanie to zmienić, że tylko ona mówi prawdę, nie próbując sypać piasku w oczy.

Jak pan wytłumaczy to, że AfD ma znacząco wyższe poparcie w dawnej NRD niż na zachodzie kraju? Część waszych krytyków uważa, że przejmujecie wyborców o „tęsknotach autorytarnych".

Wyjaśnienie jest proste: na zachodzie związki wyborców z tradycyjnymi partiami są bardzo silne, często od pokoleń głosuje się na to samo ugrupowanie. To jest dziedziczone poparcie. Starsze pokolenia wciąż są wierne czy to SPD, czy to CDU. Na wschodzie wyborcy traktują sprawę nieco inaczej. Uważają, że jeśli jakieś ugrupowanie się nie sprawdza, to mają prawo spróbować czegoś nowego. Moim zdaniem na wschodzie Niemiec demokracja jest prawdziwsza, pełniejsza. Tu jest większe spektrum poglądów, tu ludzie mniej obawiają się wyrażać swoje zdanie.

Wschodnie Niemcy są mniej sterroryzowane przez polityczną poprawność niż zachodnia część kraju?

Zdecydowanie tak. Niemcy ze wschodu uważają, że w 1989 i 1990 r. walczyli o prawdziwą demokrację, o prawo nieskrępowanego wyboru. To także dlatego nasze poparcie

eprasa.pl 23b1ab3917

w landach wschodnich waha się między 20 a 24 proc. i mogę obiecać, że to nie koniec. Ale trzeba też pamiętać, że również w części zachodniej mamy solidne poparcie, zwłaszcza na południu kraju. Najtrudniejsze dla nas landy to Schleswig-Holstein, Hamburg, Brema, Dolna Saksonia. W samym Berlinie poparcie dla nas jest bardzo zróżnicowane, bo stolica to taki niemiecki mikrokosmos. Na wschodzie miasta głosuje na nas co czwarty wyborca, a w niektórych dzielnicach – niemal 30 proc. uprawnionych.

Można mieć wysokie poparcie, ale nigdy nie dojść do władzy. W historii Europy nie brakuje takich przykładów.

Musimy być cierpliwi. Gdy na niemieckiej scenie pojawili się Zieloni, jeszcze w 1980 r. określano ich jako „partię terrorystów" z racji powiązań z Frakcją Czerwonej Armii. Byli w pełnej izolacji. Kilka lat później weszli do regionalnych rządów, Joschka Fischer został ministrem w Hesji, a w 1998 r. objął stery niemieckiej dyplomacji. Tak samo dość długo traktowano PDS mającą przecież totalitarne korzenie. Dziś postkomuniści współpracują w wielu miejscach z SPD. Podobnie może być z AfD. Pierwsza szansa pojawi się jesienią, w czasie wyborów do landtagów Saksonii i Turyngii. Możemy tam zdobyć między 20 a 25 proc. głosów, stając się najsilniejszą lub drugą partią. CDU stanie wówczas przed decyzją, czy nawiązać współpracę z nami, czy budować czteropartyjną koalicję z innymi siłami. A wiemy, jak trudno uzgodnić program czteropartyjnej koalicji. Nie musimy zresztą od razu wchodzić do rządu, to może być także pakt parlamentarny. Z czasem również inne partie zaczną traktować nas jako partnerów, ale na to trzeba jeszcze poczekać, bo wciąż wielu ma nadzieje, że da się nas wyeliminować, zniszczyć, sięgając po wszelkie dostępne środki.

W zeszłym tygodniu w Bremie ciężko pobito, wręcz skatowano, posła i szefa regionalnych struktur AfD Franka Magnitza. Podtekst polityczny ataku wydaje się bardzo prawdopodobny. Czy tak tragiczne zdarzenie będzie się wiązało z jakąś refleksją po stronie głównego nurtu?

W Niemczech 75 proc. dziennikarzy ma poglądy wyraziście lewicowe. Niemiecka społeczność dziennikarska nie jest więc, jako całość, obiektywna. Dziennikarze są blisko związani z rządem, z partiami lewicy, zwłaszcza w sferze mentalnej, światopoglądowej. Wielu szczerze sądzi, że służą w ten sposób dobrej sprawie, że postępują altruistycznie. To chwilami wręcz misja, przekonanie, że powinnością Niemiec jest czynienie świata lepszym. Że to lekcja, która wynika z naszej historii. Kryje się za tym ogromne poczucie winy. Zmiana postawy wobec partii prawicowej, takiej jak AfD, nie jest więc sprawą prostą.

> Obraz Polski i Węgier w niemieckich mediach jest bardzo negatywny. Wynika to z tego, że politycy w Niemczech nie są w stanie znieść myśli, że w jakimś sąsiednim kraju funkcjonuje rząd konserwatywny. Rząd, który widzi sprawy inaczej niż oni

Pobicie posła Magnitza może być także próbą zastraszenia działaczy AfD. Pan się nie boi o swoje zdrowie i życie?

Nie jest to strach, ale na pewno wsiadając do samochodu czy z niego wysiadając, uważnie się rozglądam. Przez 41 lat byłem zawodowym żołnierzem, więc jestem przyzwyczajony do życia w niebezpieczeństwie i do radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Takie informacje sprawiają, że wszyscy w AfD staliśmy się ostrożniejsi niż wcześniej, unikamy potencjalnych prowokacji, bo wiemy, że wszystko jest możliwe. Ale zagrożenie nie pojawiło się teraz. Półtora roku temu zaatakowano mój berliński dom. Użyto butelek z farbą, niszcząc elewację, okna. Uszkodzono także mój samochód, w którym wybito szyby i przecięto opony. Straty wyniosły 12 tys. euro.

Nie od dziś słychać, że państwo niemieckie przyzwala na aktywność lewicowych bojówek.

Niemiecki rząd jest ślepy na lewe oko. Przemoc ze strony lewicowych środowisk, czasem także aktywność kryminalna są tolerowane. W Hamburgu, podczas szczytu G20, radykalna lewica doprowadziła do wojny domowej na małą skalę. I nic się nie dzieje. Prasa, która nieustannie ekscytuje się marginalnymi grupkami neonazistów, nie reaguje na narastającą przemoc z drugiej strony. Komunikat jest jasny: dopóki walczysz z prawicą, jesteś bezpieczny.

Jakie jest pańskie podejście do niemieckiej przeszłości, zwłaszcza do wieku XX?

Lata 1933–1945 to bardzo ciemny okres. Wciąż nie do końca rozumiem, jak naród o tak dużej kulturze mógł upaść tak nisko. Jedyną pociechę znajduję w tym, że potrafiliśmy się zmierzyć z naszą przeszłością. Naprawdę o tym mówimy, nie zamykamy tej sprawy. I tak powinno być, bo to nie może się nigdy powtórzyć.

Czy pana zdaniem państwo niemieckie i naród niemiecki mają szczególne obowiązki w związku ze swoją przeszłością?

Tak, mamy szczególne obowiązki. Oczywiście musimy też pamiętać, że dziś w Niemczech żyje trzecia lub czwarta generacja powojenna. Ci ludzie nie są odpowiedzialni za zbrodnie, choć muszą wiedzieć i pamiętać o tym, co się zdarzyło w przeszłości.

Czy odpowiedzialność za niemieckie zbrodnie ponosi naród niemiecki, czy też – jak to ostatnio słyszymy – naziści o bliżej nieokreślonej przynależności narodowej?

eprasa.pl 23b1ab3917

Jeśli chodzi o II wojnę światową, to oczywiście odpowiedzialność za zbrodnie ponosi naród niemiecki. Rzecz jasna, jest też historyczne tło; trzeba się cofnąć do I wojny światowej i jej skutków. Wówczas wszystkie narody popełniły błędy, nie tylko Niemcy, lecz także Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy. Tamte wydarzenia w połączeniu z sytuacją ekonomiczną sprawiły, że naziści mogli dojść do władzy. W swojej głośnej biografii Hitlera Joachim Fest zauważa także, że gdyby Hitler zmarł w 1937 r., zostałby uznany za jednego z najwybitniejszych niemieckich polityków w historii. Hitler jednak przeżył i doszło do straszliwych zdarzeń. Niemcy ponoszą za to odpowiedzialność.

W Polsce duży rozgłos zdobyła wypowiedź lidera AfD Alexandra Gaulanda, który stwierdził: „Jeżeli Francuzi są słusznie dumni ze swojego cesarza, a Brytyjczycy z Nelsona i Churchilla, my mamy prawo do dumy z osiągnięć niemieckich żołnierzy w obu wojnach światowych". To brzmi jednak rewizjonistycznie.

Nie wiem, czy taka była intencja Alexandra Gaulanda. Z pewnością można być dumnym z pewnych dokonań niemieckich żołnierzy, patrząc choćby wyłącznie z technicznego punktu widzenia. Jako przykład mogę wskazać ofensywę w Ardenach w końcu 1944 r. czy to, co zaprezentowała słynna Dywizja Duchów dowodzona przez Erwina Rommla. Możemy podziwiać elementy zaskoczenia, szybkość i sprawność działania, itd. Studiowanie dawnych bitew czy operacji, także jako element kształcenia współczesnych żołnierzy, nie jest czymś nagannym. Są też żołnierskie dokonania, które należy uznać za wręcz heroiczne. Mogę wskazać na niemieckiego dowódcę czołgu, który zdołał zniszczyć 140 rosyjskich tanków. O nim można powiedzieć, że był najlepszym czołgistą.

Te czyny są jednak częścią całego obrazu, a jest to obraz zbrodniczy.

Tak, wiemy, że były to działania w imieniu zbrodniczego rządu. Wiemy, że Niemcy wymordowali niemal całą polską inteligencję. Ale zwykli żołnierze na polu bitwy nie mieli tego poczucia, zdarzało się, że walczyli po rycersku, przeprowadzali pełne sukcesów operacje wojskowe.

> Za pieniądze, które wydajemy na jednego imigranta w Niemczech, możemy skutecznie pomóc 130 ludziom w obozach dla uchodźców

Takie ujęcie rodzi jednak obawę, że nie będzie to ostatni przystanek. Pan może się zatrzyma na podziwie dla osiągnięć militarnych niektórych oddziałów, ale inni – albo kolejne pokolenia – pójdą dalej, i zaczną się zachwycać np. perfekcyjną organizacją parteitagów w Norymberdze albo rozmachem filmów Leni Riefenstahl.

Nie, tego nie można porównywać. Czy nie uważacie, że – analogicznie – polscy żołnierze powinni znać historię wojskowych dokonań wojska polskiego? Z profesjonalnego punktu widzenia trzeba studiować wojskowe operacje z przeszłości. Z historycznego punktu widzenia był to, powtarzam, zbrodniczy rząd. Co do tego nie mam wątpliwości.

Czy AfD chce więc zmieniać niemiecką tożsamość historyczną, ukształtowaną w okresie powojennym, zawierającą w sobie także liczne tabu i pewną dawkę poczucia winy?

Niemiecka historia lat 1933–1945 przyniosła Europie i światu śmierć i nieszczęście. To jest coś, co musi nam ciążyć. Z drugiej strony niemiecka historia to także Karol Wielki, Marcin Luter, oświecenie, Bach. Nie możemy mówić, że Niemcy to tylko nazizm albo że Niemcy to tylko piękne karty. Nasza historia jest całością i tak trzeba na nią patrzeć. Tymczasem to właśnie po wojnie nie mówiono o latach 1933–1945. W mojej szkole naukę historii zaczynaliśmy od starożytnej Grecji, dochodziliśmy do roku 1933, a później przeskakiwaliśmy do roku 1946. Nazizm był czarną dziurą. Ludzie nie chcieli o tym rozmawiać. Moja perspektywa była zresztą szczególna, bo dla rówieśników byłem często „Polacke", czyli „Polaczkiem". Okres powojenny był dość specyficzny.

Jakie jest stanowisko pańskiej partii w kwestii powojennych granic Niemiec?

Granice są takie, jakie być powinny. Do dziś podziwiam Willy'ego Brandta za to, że zdecydował się na uznanie granicy na Odrze i Nysie. Głosowałem zresztą na tego kanclerza, uważając, że musimy dojść do porozumienia z naszymi wschodnimi sąsiadami. Nie ma żadnej kwestii granic, absolutnie nie.

eprasa.pl 23b1ab3917

AfD zyskała na znaczeniu w rezultacie kryzysu migracyjnego z roku 2015. Dlaczego, pana zdaniem, Angela Merkel zdecydowała się wówczas na otwarcie granic?

Nie wiemy. Wnioskowaliśmy o komisję śledczą, która zbadałaby tę sprawę. Decyzja Merkel była bowiem złamaniem prawa – niemieckiego i międzynarodowego. Nikt nie zapytał obywateli Niemiec o zdanie. Pojawiło się mnóstwo problemów, u nas w kraju i w całej Europie. Dziś mamy w Niemczech dodatkowe 2 mln imigrantów. Według „Die Welt" każdy imigrant kosztuje w sumie państwo niemieckie 3,5 tys. euro miesięcznie, a więc 42 tys. rocznie. Razem daje to rocznie kwotę 84 mld euro!

Ale za to macie tysiące świetnie wykształconych lekarzy i inżynierów z Syrii, którzy wzmocnili waszą gospodarkę i załatali luki w kluczowych sektorach.

[śmiech] Ważną częścią tej operacji było oszukiwanie społeczeństwa, zwodzenie ludzi, ukrywanie prawdy. To dotyczy nie tylko kosztów, lecz całości sprawy. A dziś wiemy, że migranci z tej fali po prostu nie chcą się integrować. Jeśli stanowią tak liczną społeczność, nie muszą znać niemieckiego, by jakoś funkcjonować, wystarczy im arabski. A to oznacza, że te osoby pozostaną już na zawsze na utrzymaniu naszego systemu socjalnego. Do tego dochodzi wzrost przestępczości, zwłaszcza gwałtów i ataków z nożem w ręku. Statystyki pokazują, że jeden na dziewięciu imigrantów wchodzi na drogę przestępczości. Dla porównania – wśród reszty populacji ten wskaźnik wynosi 1 na 65.

Liberałowie powiedzą, że trzeba się bardziej starać, wydawać więcej, być bardziej otwartym.

Bardziej już się chyba nie da. Ale jedno chcę wyjaśnić: są różne grupy przybyszów. Jeśli chodzi o prawdziwych uchodźców z terenów objętych wojną, to uważam, że trzeba im pomagać. Ale najlepiej robić to, wspierając ich możliwie blisko domów, w krajach sąsiednich. Za pieniądze, które wydajemy na jednego imigranta w Niemczech, możemy skutecznie pomóc 130 ludziom w obozach dla uchodźców. Z kolei jeśli chodzi o ludzi szukających azylu, naprawdę uciekających przed zagrożeniem, przed prześladowaniem, to powinni mieć prawo pobytu w Niemczech. Ale to wiele nie zmienia, bo 95 proc. imigrantów przybywa do nas z powodów ekonomicznych. Ich nie powinniśmy wpuszczać. Oczywiście, ci ludzie szukają lepszego życia, zachowują się racjonalnie. My pewnie postępowalibyśmy podobnie w analogicznej sytuacji. Kryzys migracyjny to nie ich wina; to wina polityków.

Jaka jest polityczna odpowiedź AfD na kryzys migracyjny? Bo w tle są także dramatycznie niski przyrost naturalny w Europie, starzejące się społeczeństwa, brak rąk do pracy.

Ale kto powiedział, że koniecznie musimy mieć w Niemczech 82 mln obywateli? Może wystarczy 75 mln albo 70? Nadchodzi kolejna rewolucja przemysłowa, zniknie wiele miejsc pracy. Dziś najważniejsze jest, by nasze granice przestały być otwarte, by Niemcy odzyskały nad nimi kontrolę. Później każdy, kto nie będzie miał prawa pobytu w naszym kraju, powinien zostać wydalony. Dziś nawet nielegalni imigranci nie są niepokojeni. W Berlinie władze miasta pozwalają mieszkać każdemu, kto tylko się tu dostanie.

Jesteście za likwidacją strefy Schengen?

Tak, ponieważ Unia nie jest w stanie kontrolować granic całego kontynentu.

Co z Unią Europejską?

Chcemy ją zreformować, w kierunku wzmocnienia zasady pomocniczości. Rola państw narodowych powinna zostać wzmocniona. Unia powinna się zajmować tylko tymi dziedzinami, które rozwiąże lepiej niż poszczególne kraje, a więc np. wspólnym rynkiem. Dziś wspólnota przejmuje coraz to nowe kompetencje, nie wiadomo właściwie po co. Jeśli z kolei Unia Europejska nie będzie w stanie się zreformować, to naszym zdaniem konieczny będzie dexit, a więc wyjście Niemiec ze wspólnoty.

Dexit oznaczałby koniec Unii.

Najpierw chcemy spróbować reform, i nawet rozumiemy, że to musi potrwać co najmniej kilka lat. Na pewno nie zaakceptujemy europejskiego superpaństwa. Parlament europejski nigdy nie będzie miał w pełni demokratycznej legitymizacji.

eprasa.pl 23b1ab3917

Z polskiej perspektywy Unia Europejska to struktura przez Niemcy zdominowana, pracująca na rzecz Niemiec.

Niemcy mają jednak poczucie, że są głównym unijnym płatnikiem. Moim zdaniem nawet nasz eksport w ramach Unii nie stoi na zdrowych zasadach. Tak naprawdę bowiem w dużej mierze to my go kredytujemy, udzielając pożyczek państwom Południa. Co więcej, w ramach euro nie mamy na to już żadnego wpływu. Na marginesie mogę więc dać wam radę, byście trzymali się od wspólnej waluty z daleka. Bo to euro tak straszliwie zaszkodziło Grecji, Hiszpanii, Portugalii czy Włochom.

Jak pan ocenia ingerencje Unii Europejskiej w sprawę reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości?

To powinna być sprawa leżąca w gestii Polski. Wiem, że obraz Polski i Węgier w niemieckich mediach jest bardzo negatywny. Wynika to jednak głównie z tego, że politycy w Niemczech nie są w stanie znieść myśli, że w jakimś sąsiednim kraju funkcjonuje rząd konserwatywny. Rząd, który widzi sprawy inaczej niż oni. To samo dotyczy prezydenta Donalda Trumpa. Mieszkałem przez kilka lat w Stanach Zjednoczonych, mam tam wielu przyjaciół i wiem, że są oni bardzo zadowoleni z obecnego prezydenta. Uważają, że to pierwszy od lat polityk, który naprawdę spełnia obietnice.

Czy AfD jest partią prorosyjską?

Na pewno wschodnie Niemcy wciąż mają silne związki z Rosją, zarówno psychologiczne, jak i gospodarcze. Wiele przedsiębiorstw ucierpiało wskutek wprowadzenia sankcji. Potrzebujemy w Europie pokoju. Trzeba zbudować taki porządek, który będzie uwzględniał zarówno Rosję, Stany Zjednoczone, jak i interesy państw Europy Środkowo-Wschodniej, które zupełnie inaczej niż Niemcy patrzą na wschód.

Co jednak zrobić, jeśli Rosja po kolei atakuje swoich sąsiadów? Gruzja, Krym, wschodnia Ukraina. Teraz chce połknąć Białoruś. Ile razy można mówić: rozmawiajmy, słuchajmy?

Integralność terytorialna żadnego z państw europejskich nie podlega dyskusji. Nie można pozwolić Rosji na przesuwanie granic na zachód. NATO mówi to bardzo jasno, wskazując, gdzie leży czerwona linia. Z Rosją da się rozmawiać tylko z poziomu równego partnera. Rosja tylko taki język rozumie. Appeasement tu nie zadziała.

> Na marginesie mogę dać wam radę, byście trzymali się z daleka od wspólnej waluty. Bo euro straszliwie zaszkodziło Grecji, Hiszpanii, Portugalii czy Włochom

Czy popiera pan obecność wojsk amerykańskich w Europie?

Oczywiście. USA to kluczowy element NATO, paktu, który od tylu dekad zapewnia nam pokój. Każdy, kto to kwestionuje, tak naprawdę nie rozumie Amerykanów. Bo oczywiście to naród, który zajmuje się biznesem, chce zarabiać pieniądze, ale także naród, w którym żywy jest element altruistyczny, szczerze zainteresowany obroną wolności.

Jeśli AfD uda się dojść do władzy, jak będzie wyglądała polityka waszej partii wobec Polski i innych państw regionu?

Zarówno ja, jak i inni przywódcy AfD mamy nadzieję, że uda się zbudować bliższe relacje pomiędzy konserwatywnymi partiami w Europie. Chcemy rozmawiać i współpracować z Prawem i Sprawiedliwością. W wielu obszarach mamy niemal identyczne poglądy. Od tego trzeba zacząć.

Czy obszar tzw. wojny kulturowej jest dla waszej partii ważny?

Oczywiście. Jesteśmy jedyną partią w Niemczech, która walczy w tej sprawie. Ideologia gender, bardzo wczesna seksualizacja dzieci, polityczna poprawność – to wszystko spycha Europę w złą stronę. To także często zwykłe nonsensy. Jak można twierdzić, że człowiek może z dnia na dzień wybrać sobie inną płeć? Absurd.

Zdaniem Angeli Merkel islam stał się częścią Niemiec. Pana zdaniem również?

Nie. Europa została zbudowana na trzech wzgórzach: na Golgocie, a więc chrześcijaństwo, na Akropolu, a więc starożytna Grecja, i na Kapitolu, a więc Rzym. Europa to cywilizacja judeochrześcijańska. Co ma do tego islam? Aż do XVII w. islam dążył do podbicia Europy i może zdołałby to zrobić, gdyby nie polski król Jan III Sobieski.

Ma pan polskie pochodzenie, pana ojciec był Polakiem, który został wywieziony do Niemiec, a później tam został. To dla pana ważne?

Połowa mojej krwi jest polska, więc Polska budzi we mnie ciepłe uczucia. Moi dziadkowie byli Polakami i wiem, że bardzo mnie kochali. Przysyłali mi paczki z konserwami, z chałwą i z książkami dla dzieci, które później mój tata mi tłumaczył. Nie było to łatwe, bo nie tak prosto przełożyć „Lokomotywę" Tuwima.

Był pan wysokiej rangi zawodowym żołnierzem. Dlaczego zdecydował się pan na wejście do polityki?

Po powrocie z misji zagranicznych, gdzie spędziłem kilkanaście lat, uznałem, że kraj zmierza w złą stronę. Później dotarło do mnie, że tego nie da się zmienić, jedynie głosując, że trzeba działać. Ten kraj dał mi możliwość spełnienia marzeń. Teraz, gdy mam czworo wnucząt, obawiam się, że nie będą miały takich możliwości jak ja. Dlatego dołączyłem do powstającej AfD. Sporo osiągnęliśmy, bo nawet będąc w opozycji, wpływamy na rzeczywistość.

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Screen TVN (x2)

Tajemnice zaginionych nagrań „Superwizjera"

Gdzie się podziały wszystkie taśmy TVN z „urodzin Hitlera" w lesie pod Wodzisławiem Śląskim i dlaczego dziennikarze milczą przed prokuratorem?

WOJCIECH BIEDROŃ

Materiał o polskich wyznawcach Hitlera miał być swoistym aktem oskarżenia przeciwko rzekomo rodzącemu się na nowo polskiemu nazizmowi. „Miażdżące" ustalenia dziennikarzy śledczych „Superwizjera" TVN miały się stać materiałem dowodowym, dzięki któremu miał być zdemaskowany neonazistowski spisek. Dziś pytań jest jeszcze więcej niż kilka miesięcy temu, ale znamy już część odpowiedzi. Wiemy, że ktoś „zgubił" tzw. surówkę, czyli całość nagrań z kilku ukrytych kamer, które rejestrowały „urodziny Hitlera" w lesie pod Wodzisławiem Śląskim. To jednak nie koniec. Współautorzy reportażu nie przekazali śledczym pełnej wiedzy o okolicznościach powstania tego materiału oraz udziału w nim zarówno reporterów TVN, jak i osób trzecich. Co to oznacza i jak się ma do maskarady, w której śpiewano hitlerowskie pieśni oraz wspólnie z dziennikarzami ustawiano się do pamiątkowego zdjęcia?

TAJEMNICA DZIENNIKARSKA

Materiał emisyjny, czyli ten, który zobaczyli widzowie TVN, jest jedynie wycinkiem rzeczywistego przebiegu imprezy. Z naszych informacji wynika, że współautorzy reportażu, którzy zeznawali przed śląskimi prokuratorami, zasłonili się tajemnicą dziennikarską. Śledczy mogli więc bazować jedynie na materiale, który wyemitowano w TVN, i garści innych nagrań, które jednak nie dotyczyły maskarady w lesie pod Wodzisławiem Śląskim. Jak traktować ten materiał dowodowy? Wystarczy, by skazać uczestników szokującej ustawki, ale wyjaśnić roli dziennikarzy w tym wydarzeniu nie sposób. Dlaczego więc reporterzy zasłonili się tajemnicą? Czyż nie przygotowywali tego materiału właśnie po to, by we współpracy z instytucjami państwa wyplenić „nazistowskiego bakcyla?" Dlaczego nie zabezpieczono tak ważnych nagrań, których efekt końcowy spowodował olbrzymie straty wizerunkowe dla Polski? Co się stało z bogatą korespondencją między Mateuszem S. – organizatorem imprezy, a Joanną Sobolewską – młodą, początkującą reporterką „Superwizjera", którą – nie bacząc na brak doświadczenia – wysłano wprost do „jaskini lwa", czyli na imprezę neonazistowskiego komanda? To nie koniec pytań. Dlaczego Sobolewska i jej operator Piotr Wacowski pili alkohol z uczestnikami imprezy, a ten drugi miał namawiać znajomych Matusza S. (organizator jest rekonstruktorem historycznym mającym dostęp do hitlerowskich mundurów) do przestępstw przeciwko emigrantom?

STRACH MATEUSZA S.

Może odpowiedzią na powyższe pytania są zeznania Mateusza S., do których dotarliśmy, a z których wynika, że za zorganizowanie „urodzin Hitlera" miał przyjąć 20 tys. zł od nieznanych mężczyzn. „Sponsorzy" mieli nalegać, by na tę imprezę została zaproszona

eprasa.pl 23b1ab3917

niejaka Sokołowska. Szybko się okazało, że tajemnicza kobieta to tak naprawdę Anna Sobolewska, współautorka reportażu. Zeznania Mateusza S. wciąż są poddawane analizie przez śledczych, a w Prokuraturze Regionalnej w Katowicach toczy się postępowanie, które ma wyjaśnić udział dziennikarzy w maskaradzie na Śląsku.

A Mateusz S.? Z naszych informacji wynika, że panicznie boi się ludzi, którzy mieli mu zapłacić za organizację ustawki w lesie pod Wodzisławiem Śląskim. Dziś już nie kontaktuje się z dziennikarzami, nie chce prezentować swojej wersji wydarzeń. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie zamierza go bronić. Materiał dowodowy wskazuje, że pieniądze przyjął i szybko wydał, ale trudno uwierzyć, iż ktoś przekazał mu pokaźną kwotę na ulicy. To kto, kiedy i w jakich okolicznościach zapłacił mu za szkalującą Polskę maskaradę, musi być wyjaśnione nie tylko przez prokuraturę, lecz także przez inne służby. Szkoda, że dziennikarze TVN nie chcą ujawnić wszystkich informacji, zasłaniając się tajemnicą dziennikarską. W sprawie pojawiają się bowiem „osoby trzecie" oraz ich udział w szokującej imprezie na Śląsku. Czy dziennikarze mają wiedzę o ich wpływie na powstanie materiału? Tego dowieść dzisiaj nie można. Szkoda, bo przygotowując szokujący reportaż, autorzy musieli się liczyć z tym, że zainteresują się nim prokuratorzy, a nawet służby specjalne. Normą jest przecież archiwizowanie (przynajmniej przez jakiś czas) materiałów, które mogłyby pomóc organom ścigania w ukaraniu złych charakterów prezentowanych w reportażach śledczych. Surówka jest znakomitym materiałem dowodowym, na co wskazała sama Prokuratura Krajowa, która chciała przejąć wszystkie nagrania, by przeanalizować je na potrzeby postępowania. Na próżno.

ODPOWIEDŹ PROKURATURY

Sprawą wątpliwości wokół maskarady z „urodzinami Hitlera" zainteresowało

Kadr programu „Superwizjer" prod. TVN 2018

„Prokuratura nie posiada całości nagrania »urodzin Hitlera«, co niewątpliwie stanowiłoby obiektywny i bardzo cenny materiał dowodowy" – czytamy w piśmie Prokuratora Krajowego

się Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Dlatego jego przedstawiciele wystąpili do Prokuratury Krajowej z pytaniami. Odpowiedź zaskoczyła wszystkich i rzuciła nowe światło na sprawę reportażu.

„Prokuratura dysponuje tylko fragmentami zapisów kilkugodzinnego spotkania, wyemitowanymi w kilkunastominutowym reportażu TVN. Nie posiada całości nagrania »urodzin Hitlera«, co niewątpliwie stanowiłoby obiektywny i bardzo cenny materiał dowodowy, pozwalający odtworzyć ich przebieg »od początku do końca«. Pozwoliłoby to na wszechstronne wyjaśnienie sprawy i mogłoby być jednocześnie potwierdzeniem, że zaangażowani w tę sprawę reporterzy TVN dochowali standardów dziennikarskiej uczciwości i rzetelności. Brak całości nagrania, poza przekazanym materiałem emisyjnym, obiektywnie utrudnia zatem postępowanie karne w tej sprawie" – czytamy w piśmie skierowanym przez Prokuratora Krajowego do Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

„WYBRALIŚMY TO, CO BYŁO KONIECZNE"

Jak TVN24 tłumaczyła śledczym szokujące „zaginięcie" surówki? Tu także pojawiają się wątpliwości. Początkowo stacja zasłaniała się tym, że wezwanie do wydania nagrań trafiło do TVN w czasie ferii w roku 2018. Po feriach okazało się, że na dyskach z nagraniami z ukrytych kamer nagrano już inne materiały. O tę sprawę został zapytany autor reportażu, który został za niego nagrodzony dwiema branżowymi nagrodami – Bertold Kittel.

„Wybraliśmy to, co było konieczne do opowiedzenia historii. Abstrahując od absurdalnych zarzutów, warto zauważyć, że mimo ośmiu kamer – część z nich miał Wacowski – nie udało nam się nagrać dwóch kluczowych rzeczy: S. przemawiającego na cześć Hitlera i momentu zapalenia swastyki, w reportażu widać tylko rozbłysk na ubraniu jednego z uczestników. Zdjęć płonącej swastyki nie mielibyśmy w ogóle, gdyby Piotrek nie zaproponował »spontanicznie«: »Zróbmy sobie przy niej selfie«. Przecież gdyby to była impreza na nasze zlecenie, naprawdę mamy sprzęt do pracy w lesie, drukarkę 3D do druku elementów, w których moglibyśmy ukryć sprzęt, moglibyśmy tam okamerować każde drzewo!" – tłumaczył Bertold Kittel w wywiadzie dla miesięcznika „Press".

Gdzie się podziała surówka materiału ze słynnych już „urodzin Adolfa Hitlera", zorganizowanych w maju 2017 r.? Czy stacja ma coś do ukrycia? Czy dziennikarze przekażą całość swojej wiedzy prokuraturze, skoro – jak przekonują – materiał nie był maskaradą? Dlaczego operator TVN miał prowokować pozostałe osoby do wypowiedzi o charakterze ksenofobicznym i rasistowskim? Na te pytania stacja przy ul. Wiertniczej nie chciała nam odpowiedzieć, zasłaniając się toczącym się śledztwem.

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Zniszczyć Kościół, czyli zgasić ducha narodu

Zerwać konkordat, wyprowadzić religię ze szkół, zamknąć katolików w kruchtach kościołów. Tak totalna opozycja chce urządzić Polskę. Skąd ten histeryczny antyklerykalizm?

MARZENA NYKIEL

Żegnając ckliwie ks. abp. Tadeusza Pieronka, środowiska liberalno-lewicowe doszły najwyraźniej do przekonania, że pewna epoka w życiu Kościoła katolickiego w Polsce dobiegła końca i można na dobre rozhulać atak. „Kler" przygotował grunt, teraz pora na codzienne zohydzanie księży i kojarzenie ich działań z patologią. Za medialną nagonką poszły działania polityczne. Inicjatywa Polska Barbary Nowackiej wytacza przeciwko Kościołowi najcięższe działa, a polityczni poplecznicy wspierają lewackie zapędy.

WYRYWANIE KORZENI

„Ostatnie lata pokazują, że Polsce bardzo potrzeba rozdziału Kościoła od państwa i świeckości – uporządkowania relacji, które ewidentnie zostały zakłócone. Jeśli mamy być krajem demokratycznym, krajem równych praw i równych szans, pewne relacje trzeba przebudować i przemodelować" – rzuciła Barbara Nowacka, kierując totalną opozycję na skrajnie lewy tor. Już teraz zapowiedziała „szeroką dyskusję" na temat rozdziału Kościoła od państwa, której założenia miałby wdrożyć parlament kolejnej kadencji. Do współpracy zaprosiła wszystkie partie i organizacje. Co zakłada program Nowackiej? Likwidację Funduszu Kościelnego, wszystkich komisji rządowo-kościelnych, zniesienie finansowania z budżetu państwa lekcji religii oraz ubezpieczeń księży i duchownych. Słowem – odebranie Kościołowi i jego członkom wszelkich praw posiadanych na mocy konstytucji i konkordatu. Ot, powrót do głębokiej komuny, kultywujący

eprasa.pl 23b1ab3917

najgorsze bolszewickie wzorce. Na odpowiedź Nowacka nie musiała jednak długo czekać.

Katarzyna Lubnauer zareagowała błyskawicznie. Szefowa Nowoczesnej stwierdziła, że państwo nie może być uległe wobec Kościoła. „Polacy uważają, że za dużo jest polityki w Kościele, że to zraża Polaków do uczestniczenia w mszach, że zniechęca ich do tego, żeby należeć do wspólnoty, jaką jest Kościół" – skwitowała Lubnauer. Jakże kompetentnie.

Lewicujące skrzydła w postaci Nowackiej i Lubnauer porwały samego Grzegorza Schetynę. Lider Platformy Obywatelskiej przyznał, że jest zwolennikiem bardzo poważnej redefinicji relacji państwa z Kościołem, które należy wreszcie „ucywilizować". Co więcej, stwierdził wręcz, że projekt Nowackiej cieszy się sympatią wielu działaczy PO. „Platforma rozumie debatę i dyskusję, którą wywołała Barbara Nowacka, o finansowaniu religii w szkołach" – powiedział Schetyna. I dodał: „Jestem zwolennikiem takiej bardzo poważnej redefinicji relacji państwo–Kościół".

WYPALANIE KATOLICYZMU

Światopoglądowy skręt w lewo dużej części sceny politycznej staje się coraz bardziej agresywny. Sprzyja temu antyklerykalny przekaz medialny, zorientowany na – często zmanipulowane – zarzuty pedofilskie wysuwane a priori. Przoduje w tym „Gazeta Wyborcza". Jedna z dziennikarek „Wysokich Obcasów" stwierdziła wręcz: „To perwersyjny pomysł, żeby państwo zmuszało do łożenia na lekcje religii w szkołach, skoro Kościół krzywdzi dzieci". Lewicowi publicyści prześcigają się w argumentach na ograniczenie wiary do sfery prywatnej, jednocześnie przekonując, że co jak co, ale orientacja seksualna jest sprawą publiczną i trzeba ją manifestować na ulicznych marszach.

Marek Jurek z Prawicy Rzeczypospolitej jednoznacznie ocenia stanowisko Nowackiej. „To nie jest żaden światopogląd, to jest takie szerzenie wrogości wobec katolicyzmu" – podkreśla. „Życie religijne jest częścią życia społecznego".

Prof. Mieczysław Ryba w rozmowie z portalem wPolityce.pl wyjaśnia: „Walka z Kościołem czy – szerzej – miejscem Kościoła w życiu politycznym i społecznym to pewna presja ogólnoeuropejska lewicy, która przez różne struktury polityczne dominuje". Nowe odmiany Nowej Lewicy pojawiają się w różnych przestrzeniach życia społeczno-politycznego z coraz większą siłą. Widać wyraźnie, że światowa presja ma realne przełożenie na polską scenę polityczną.

SIŁA KOŚCIOŁA

Mimo że próby osłabienia Kościoła w Polsce podejmowane są od wielu lat, starania te nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Z ostatnich badań Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego wynika, że – wbrew staraniom środowisk antyklerykalnych – rośnie liczba praktykujących katolików. W 2017 r. w mszach świętych uczestniczyło regularnie ok. 500 tys. więcej osób, a ponad 300 tys. wiernych więcej przyjmowało komunię świętą. Religia w szkole także akceptowana jest przez większość Polaków. Według danych ze wszystkich diecezji w Polsce 87 proc. rodziców zapisało swoje dzieci na katechezę. Jak przypomina rzecznik Konferencji Episkopatu Polski, lekcje religii były obecne w polskich szkołach od początku istnienia naszego kraju, z wyjątkiem czterech dekad komuny. „Wyrzucanie religii, w taki czy inny sposób, ze szkoły jest wracaniem do czasów komunistycznych" – podkreśla ks. Paweł Rytel-Andrianik, rzecznik KEP. Dodaje, że propozycja Nowackiej uderza w konstytucyjną zasadę bezpłatnej edukacji. „W konstytucji jest napisane, że nauka w szkołach publicznych jest bezpłatna" – mówi ks. Rytel-Andrianik. „Rodzice płacący podatki mają prawo, żeby z ich podatków były utrzymane również lekcje religii" – tłumaczy rzecznik KEP.

Bałamutne są również powielane w mediach informacje, że katecheci nie podlegają takim samym rygorom jak inni nauczyciele. „Lekcja religii w polskiej szkole odbywa się na mocy przepisów konstytucji, konkordatu oraz ustawy o systemie oświaty. Religia jest przedmiotem szkolnym o charakterze konfesyjnym, prowadzić go mogą w systemie oświaty publicznej wszystkie prawnie zarejestrowane w Polsce Kościoły i związki wyznaniowe, nie tylko Kościół katolicki obrządku łacińskiego. Z możliwości tej korzysta ponad 20 podmiotów" – wskazuje ks. prof. Piotr Tomasik, koordynator Biura Programowania Katechezy przy Komisji Wychowania Katolickiego KEP.

KOMU SŁUŻY LEWICOWY SKRĘT?

Przesunięcie wajchy w lewo staje się faktem. Widać wyraźnie, że zaspokajane są w ten sposób określone oczekiwania polityczne wytyczone odgórnie. Realizowany jest plan, którego nie zdołano przeprowadzić w Polsce przez ostatnie dekady. Totalna opozycja – bezideowa, pozbawiona liderów, słaba intelektualnie i politycznie – staje się wyjątkowo pomocnym narzędziem do wdrażania kulturowej rewolucji. Jako niejednorodne ciało polityczne, skrajnie negatywnie nastawione do działań rządu PiS i zdeterminowane do przejęcia władzy, gotowe jest zjednoczyć się wokół najbardziej szkodliwej ideologii, byle tylko dopiąć swego. Wsparcie międzynarodowych organizacji i instytucji kusi totalsów, ośmielając ich do wzmożonej walki z polską tradycją, z wiarą katolicką, z myślą konserwatywną i z polityką prawicy. Atak na Kościół staje się coraz bardziej brutalny.

Czy jest na to przyzwolenie społeczne? Medialna propaganda wielkich koncernów wywoła z pewnością spore spustoszenie, ale trudno się spodziewać nagłej zmiany postaw. Duchowa rzeczywistość Kościoła ma swoje źródło w innej, nieosiągalnej dla manipulacji sferze. Tym większy będzie więc atak.

Polityczna rzeczywistość wyborcza roku 2019 oprze się nieuchronnie na sferze ducha. Walka o nowego człowieka, o osłabienie ducha narodu i zgaszenie obywatelskiej świadomości wchodzi w etap daleko posuniętych rozstrzygnięć. Kościół ma w tej rozgrywce kluczowe znaczenie. Dokładnie tak jak za zaborów, za obu wojen i za komuny. Jego przeciwnicy doskonale wiedzą, że Polska albo będzie katolicka, albo nie będzie jej wcale. I właśnie dlatego walczą z Kościołem. Brutalnie i na oślep.

eprasa.pl 23b1ab3917

Uczmy dzieci oceniać zagrożenia

Wydarzenia w Koszalinie to potworny dramat, ale nie straszmy dzieci, że cały świat to jedna wielka pułapka

Z Januszem Wardakiem, jednym z założycieli Akademii Familijnej, ojcem dziesięciorga dzieci, rozmawia Dorota Łosiewicz

Słyszał pan o escape roomach przed koszalińską tragedią?

Janusz Wardak: Tak. Moje dzieci kilkakrotnie były w tych miejscach, o mały włos i mnie udałoby się im wyciągnąć. Zawsze wracały bardzo zadowolone i uważają, że to ciekawy sposób spędzania czasu. Na tle innych ogłupiających rozrywek, będących ucieczką od rzeczywistości, ta jest intelektualna, wymaga wiedzy, myślenia.

Co ciekawe, to zabawa przeniesiona ze świata wirtualnego w realny.

To tym bardziej cenne. Także to, że do zabawy potrzebna jest grupa osób, a więc młodzież czy też dorośli spotykają się naprawdę, a nie w świecie wirtualnym. To taka nowoczesna wersja podchodów. Zabawa stała się nieoczekiwanie szalenie popularna, a to

eprasa.pl 23b1ab3917

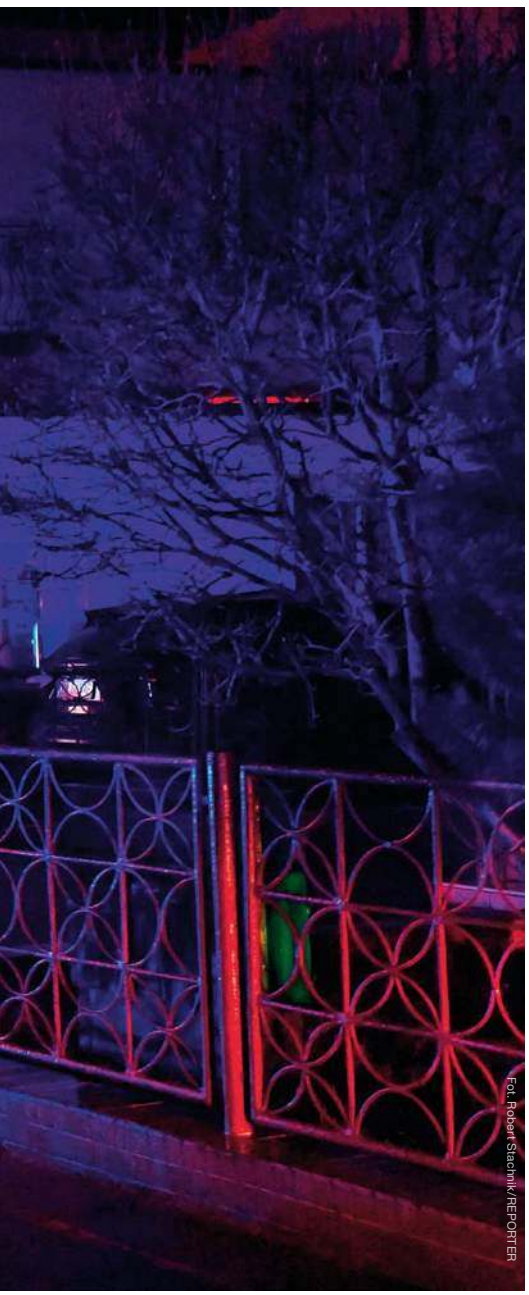
Fot. Robert Stachnik/REPORTER

znaczy, że to dobry pomysł. Podoba mi się polska nazwa tego miejsca – pokój zagadek. Dobrze oddaje istotę tego, o co chodzi.

Skoro zabawa sama w sobie nie jest niebezpieczna, czemu musiało zginąć pięć nastolatek?

Bo w przypadku wszystkich nowości na rynku jest tak, że natychmiast pojawiają się ludzie żądni szybkiego zysku, którzy chcą zarobić w krótkim czasie w nieuczciwy sposób, czyli np. ignorując względy bezpieczeństwa, co oznacza zmniejszenie kosztów inwestycji. Nieraz budynki w wątpliwym stanie technicznym przerabia się na potrzeby pokojów zagadek. Byle szybciej, byle taniej. I to się kończy nieszczęściem. Dramat w Koszalinie polegał na tym, że pokój zagadek zamienił się w śmiertelną pułapkę. Oczywiście sama zabawa polega na tym, żeby nie móc wyjść z takiego pomieszczenia do czasu rozwiązania zagadki, ale musi być możliwość opuszczenia pomieszczenia w przypadku zagrożenia. Władze szybko zarządziły kontrole w całym kraju, i dobrze, bo się okazało, jak duża jest skala niedociągnięć. Ale, jak w życiu, nie wszystko da się przewidzieć, nie wszystkie problemy da się rozwiązać, a wypadki się zdarzają.

Ale można jakoś ochronić dzieci przed niebezpieczeństwem?

Sęk w tym, że pokojów zagadek nigdy nie zakwalifikowałbym jako zabawy niebezpiecznej. Wydawało mi się to do tej pory tak bezpieczne, że trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do spędzania wolnego czasu. Jedyne zagrożenie, jakie przychodziło mi do głowy, to takie, że to może być po prostu nudne. Większe zagrożenie skłonny jestem widzieć w zwykłej dyskotece. Gdy dzieci zapraszały mnie do takiej zabawy, pytałem je, skąd znają to miejsce. Dowiedziałem się, że to rekomendacja przyjaciół. Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzać takie miejsca pod kątem bezpieczeństwa. Większe moje obawy budzą np. parki trampolin, które na pierwszy rzut oka wydają się groźniejsze, bo bardziej urazogenne. Gdy dzieci jechały do takiego pokoju zagadek, wystarczyło mi, że wiem, gdzie i z kim są.

W przypadku Koszalina rodzice, młodzież ostrzegali się na forach, że to miejsce nie spełnia wymagań bezpieczeństwa.

Pewnie nie każdy przed pójściem w takie miejsce czyta wszystko, co na ten temat napisano w internecie. Ludzie raczej nie szukają niebezpiecznych wrażeń dla swoich dzieci. Dla mnie w przypadku różnych wyjść moich dzieci w grupie znajomych najważniejsze było to, czy młody człowiek nie ulega presji rówieśniczej. To znaczy, czy robi coś z własnej woli, czy dlatego, że robią to inni. I to jest już temat do rozmowy. Widząc, że dziecko nie bardzo chce gdzieś iść, ale robi to, bo inni to robią, wówczas zapytałbym: „Co cię niepokoi", „Co innego wolałabyś/wolałbyś robić w tym czasie"? To jest moment, by uczyć dzieci zdrowej asertywności. Jeśli nie rozmawiamy z dziećmi, nie mamy z nimi kontaktu, wówczas różne zagrożenia możemy przegapić. Nawet te w szkole. Jednak nie możemy sprawdzić za dzieci wszystkich typów rozrywek, wszystkiego. Przecież piętnastolatki to już prawie samodzielne dzieci. One w tym wieku chcą już dużą część odpowiedzialności brać na siebie i trzeba im na to pozwolić. Musimy przecież nauczyć dzieci dokonywać świadomych wyborów, robienia świadomych zakupów i całej masy rzeczy, które przygotują młodych ludzi do dorosłości. Jak moja córka chce kupić buty, to przecież nie sprawdzam wszystkich opinii na temat tychże butów. Podobnie w przypadku koszalińskiej tragedii, trudno mi sobie wyobrazić, żeby rodzice sprawdzali, czy tamten pokój zagadek był bezpieczny. Natomiast jeśli czytali ostrzeżenia lub te dziewczyny czytały, a je zignorowały... Ale jeszcze raz podkreślę – nie możemy wszystkiego zrobić za dzieci, jeśli będziemy próbować – wychowamy ludzi, którzy nie będą gotowi do samodzielnego życia nawet w wieku 30 lat.

Wróćmy do tej zdrowej asertywności. Dlaczego to takie ważne?

Bo jeśli dziś nasze dziecko idzie ze znajomymi w jakieś miejsce, choć wcale tego nie chce, ale „wszyscy tam chodzą", lub gra w grę, bo „wszyscy grają", wówczas za parę lat nie będzie umiało odmówić alkoholu, papierosów czy używek, bo przecież „wszyscy piją, palą i ćpają". Dziecko musi umieć samo ocenić sytuację. Warto uczyć dzieci, by umiały same ocenić ryzyko, np. kiedy powrót autobusem jest bezpieczny, a kiedy już nie, musimy

eprasa.pl 23b1ab3917

uczyć je myślenia. Przewidywania potencjalnych zagrożeń i, w miarę możliwości oczywiście, unikania ich. W przypadku tragedii w Koszalinie szkoda, że komuś nie włączyło się myślenie: „Czemu tu śmierdzi gazem?", „A jeśli ktoś w tym pokoju zasłabnie, jak wówczas wyjdziemy?" itp. Jednak tam bez wątpienia zawiodły względy bezpieczeństwa. Widziałem escape roomy, w których klucz do drzwi wisiał na ścianie podpisany: „Skorzystanie z klucza oznacza koniec gry", była więc możliwość wyjścia. Tu jej zabrakło.

Jest ryzyko, że po tej tragedii część rodziców pomyśli: „Może lepiej nigdzie dziecka nie puszczać, wówczas nie dojdzie do tragedii".

Takie myślenie byłoby wielkim błędem. Przecież pożar może wybuchnąć nawet w domu, a największym zadaniem rodziców jest przygotowanie dzieci do dorosłego życia, czyli poza domem właśnie. 15 lat to taki wiek, w którym dziecko powinno mieć już sporą dozę samodzielności, tymczasem niektóre dzieci w tym wieku nigdy nie nocowały poza domem czy nie jeździły komunikacją miejską. Nie trzymajmy dzieci pod kloszem, wmawiając im, że świat jest pełen zasadzek, tylko uczmy je, jak te zasadzki przewidzieć i ominąć.

A jak być na bieżąco z nowinkami, którymi żyją dzieci?

Po pierwsze, z nimi rozmawiać. Po drugie, mieć otwarty umysł połączony z rozsądkiem. Nie wszystko to, co jest nowe, jest głupie, choć wielu rodziców tak myśli. Często mówią więc, że muzyka jest głupia, filmy są głupie, gry są głupie itd. Dziecko słysząc takie komunikaty, nie będzie miało ochoty wpuszczać rodziców do swojego świata, bo będzie się obawiało, że i tak usłyszy, iż jego zainteresowania są głupie. W ten sposób rodzice odcinają się sami od budowania relacji na bazie tego, czym żyje ich dziecko. Dziecko nie zrezygnuje ze swoich zainteresowań, co najwyżej przestanie o nich mówić. Nie będziemy więc mogli nauczyć naszej pociechy rozpoznawania potencjalnych zagrożeń, gdy w ogóle zostaniemy z jej świata usunięci. Przecież nie cały internet jest zły, choć jest w nim mnóstwo zagrożeń, np. pornografia czy instrukcje samookaleczenia. Musimy mieć możliwość nauczyć dzieci rozpoznawać zagrożenia. Nawet jeśli nie rozumiemy pasji dziecka, to nie znaczy, że są one złe. Dlatego potrzebna jest otwartość na to, co niekoniecznie nam się podoba. Świat się zmienia, ale trzeba za nim podążać, by móc mówić o obawach. Gdy relacja będzie właściwie zbudowana, wówczas rodzic może powiedzieć: „Słuchaj, trochę się martwię, jak to czy tamto wyjdzie", a dziecko albo go przekona, bo ma pewność, albo samo zacznie myśleć nad potencjalnym ryzykiem.

> Pokojów zagadek nigdy nie zakwalifikowałbym jako zabawy niebezpiecznej. Wydawało mi się to do tej pory tak bezpieczne, że trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do spędzania wolnego czasu

A jak mówić o zagrożeniach, żeby jednocześnie nie tworzyć klosza?

Na pewno sami musimy poznać dany temat, żeby móc zdefiniować zagrożenia, bo inaczej dzieci uznają nas za bezpodstawnych panikarzy. Nie powiemy przecież: „Słuchaj, te pokoje zagadek to mi się nie podobają, to jakaś głupota, nie chodź tam". Możemy powiedzieć jednak: „Jeśli idziesz do pokoju zagadek, to upewnij się, że jest droga ewakuacyjna lub że będziesz mógł wyjść, gdy się przestraszysz". Żeby jednak tak powiedzieć, rodzic musi wiedzieć, czym jest miejsce, w które wybiera się jego dziecko. Ta zasada jest uniwersalna i dotyczy każdej aktywności naszych latorośli. Gdy np. dziecko idzie na dyskotekę, możemy uprzedzić: „Nie zostawiaj swojego soku bez kontroli, bo ktoś może ci wrzucić pigułkę gwałtu" itd., itp. Dobrze też, żeby wspólnota rodziców mogła się wymienić spostrzeżeniami, doświadczeniami, wówczas łatwiej przewidzieć potencjalne ryzyka czy po prostu uzyskać wiedzę o miejscu czy aktywności. No i ważna jest jednomyślność obojga rodziców w wychowaniu, wspólne podejmowanie decyzji, krótka narada przed wyrażeniem zgody na coś. Unikanie wszelkich sytuacji ryzykownych sprawi, że dziecko będzie nieprzygotowane do życia, które samo w sobie jest ryzykowne. A dziś żyjemy w czasach, w których rodzice mają tendencję do straszenia dzieci światem. Boją się je np. posłać na obóz, bo się skaleczą. Odbierają im wtedy szansę na nauczenie się, jak uniknąć zagrożeń. Wcale nie jest dobrze, gdy dzieci siedzą w domu, bo wybierają wówczas komputer, sieć, a to jest z założenia antyrozwojowe. Lepiej wypychać dziecko z domu, by miało kontakt z rówieśnikami, niż bać się, że wpadnie pod samochód, kazać mu siedzieć w domu, często skazując je na samotność, a nawet depresję. Dziś to częsta przypadłość młodzieży. Lepiej wiedzieć, z kim dziecko wychodzi i gdzie idzie, niż trzymać je w domu.

Jakie obszary dzisiejszego świata powinny budzić szczególny niepokój?

Jeśli wziąć pod uwagę bezpieczeństwo fizyczne, to współczesny świat jest coraz bardziej bezpieczny. Histeryczna próba ochronienia dziecka przed zagrożeniami może się w efekcie okazać dla niego największym zagrożeniem. Na pewno świat cyfrowy ciągnie za sobą liczne zagrożenia. Problemy ze zdrowiem: z otyłością, z kręgosłupem ujawnią się z opóźnieniem, a będą skutkiem zbyt długiego wysiadywania przed komputerem. Media cyfrowe są swego rodzaju konkurentem rodziny, a mimo to my sami dofinansowujemy tego konkurenta.

eprasa.pl 23b1ab3917

„Hamlet” na jubileusz

„Być albo nie być...”. Tym razem tę słynną kwestię wypowie Krzysztof Szczepaniak. I to w wyjątkowych okolicznościach. Premiera „Hamleta” zainauguruje obchody 70-lecia jednej z najważniejszych polskich scen. Wcześniej na deskach Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy duńskiego księcia grali: Gustaw Holoubek, Piotr Fronczewski i Mariusz Bonaszewski

Fot. Katarzyna Chmura/Teatr Dramatyczny

eprasa.pl 23b1ab3917

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. kasia chmura-cegielkowska/teatralna.com

Jaki będzie nowy Hamlet? Wcielający się w niego aktor jest jak dynamit. I perpetuum mobile. Działa na 200 procent. Potrafi eksplodować zewnętrzną ekspresją, wypełnić energią całą scenę (i nagranie na YouTube'owym kanale też), a jednocześnie zanurzyć się po najdalszy nerw w grane postaci. Sposób, w jaki analizuje kolejnych bohaterów, ile o nich wie, jak się w nich wpasowuje, co jest w stanie na ich temat powiedzieć... porusza. Trudno go w potoku zdań zatrzymać, czasem niełatwo za nim nadążyć, ale efekt tego artystycznego ADHD powoduje, że stale rośnie grono widzów, którzy są Krzysztofa Szczepaniaka aktora ciekawi.

Nie mógł zobaczyć wcześniejszych realizacji wystawionych na jego macierzystej scenie. Z racji wieku (urodził się w roku 1989) i braku filmowych rejestracji. Pierwszy był „Hamlet" z 1962 r. Gustaw Holoubek reżyserował i grał tytułową rolę. 17 lat później znów podjął się reżyserii, a jako księcia obsadził Piotra Fronczewskiego. Trzecią inscenizację, z Mariuszem Bonaszewskim, zrealizował w 1992 r. Andrzej Domalik.

Reżyser najnowszej premiery Tadeusz Bradecki nie ukrywa, że jednym z kluczowych powodów, dla których podjął się jubileuszowego wystawienia (poza nowym tłumaczeniem dramatu, którego autorem jest Piotr Kamiński), był aktor. Dwa lata wcześniej dał mu rolę Arlekina w „Słudze dwóch panów". – Niezmiernie trudną – podkreśla, a Krzysztof Szczepaniak wywiązał się z niej niezwykle skutecznie. Zresztą i wcześniej zdążył pokazać, że potrafi „pociągnąć" spektakle, w których gra. Można go więc zobaczyć, w różnych (i różnorodnych) repertuarowych tytułach Dramatycznego (dziś obejmującego kilka scen, w tym dwie w PKiN). Aktor jest z tym teatrem związany od pięciu lat, kiedy (w roku ukończenia warszawskiej Akademii Teatralnej) zadebiutował tu rolą Klitandra w „Mizantropie".

Zapewnia, że nigdy nie marzył o zagraniu Hamleta, ale oczywiście jest wdzięczny, iż dane mu będzie w duńskiego księcia się wcielić. Jaki będzie jego bohater? Kiedy o nim rozmawiamy, do premiery (18 stycznia) jest jeszcze 10 dni. Postać wciąż się buduje, ale w tej kreacji Krzysztof Szczepaniak ma ważne punkty odniesienia. Jest wśród nich „Studium o »Hamlecie«" Wyspiańskiego. To dla aktora rodzaj przewodnika po dramacie, ale też baza do własnych interpretacji. Inspirują do nich również wcześniejsze przekłady, wystawienia, kreacje...

Co dziś znaczy „być albo nie być..."? – Tyle, ile chciał przekazać w swoim tłumaczeniu Barańczak: „działać czy trwać" – uważa aktor. – Trwanie też może być śmiercią. To wybór, czy podjąć jakieś kroki, bo to postać, która przez pięć aktów szamocze się z kluczową decyzją: pomścić ojca, mordując stryja, czy też nie. Niuansów jest w Hamlecie bardzo dużo. Można stawiać mu setki pytań i są one właściwie na nic. Każdy Hamlet będzie inny. W zależności od czasów, okoliczności, osoby, która go odgrywa... Ja rozpatruję w nim nie tyle charakter, ile świadomość, strumień myśli wstawiony w bardzo trudny dla niego kontekst.

Krzysztof Szczepaniak przywołuje ważne dla niego nagranie „ze świetną panią profesor Teresą Budzisz-Krzyżanowską". I telewizyjny spektakl Łukasza Barczyka, z Januszem Gajosem jako Klaudiuszem oraz Michałem Czerneckim. Wymienia Hamletów Benedicta Cumberbatcha, Davida Tennanta i Kennetha Branagha. Najbliższa jednak jego wyobrażeniom, co do emploi bohatera, okazuje się kreacja z lat 30. ubiegłego wieku – Johna Barrymore'a (dziadka Drew Barrymore). Zachowały się krótkie testy telewizyjne z jego interpretacją (w tym czasie to medium dopiero raczkowało).

– Niezwykle przenikliwy, piekielnie inteligentny, a przede wszystkim niebezpieczny, nieobliczalny. Odpowiada w końcu za osiem śmierci. W tym za swoją – komentuje Szczepaniak. – To inteligencja wrzucona do świata żmij, w którym nie jest w stanie egzystować, więc broni się rękami i nogami, koniec końców niszcząc świat wokół, a świat niszczy jego. I wtedy, po zagładzie, po trupach całego dworu, wkroczy do tego świata Fortynbras, który najprawdopodobniej rozpocznie nowe koło tej rywalizacji i śmierci.

Nowy Hamlet wyjdzie na deski Dramatycznego już za chwilę. Za sprawą grającego go aktora intryguje dziś także szerszą publiczność – Teatru TV, w którym w minionym roku Szczepaniak pojawił się czterokrotnie, tworząc m.in. tytułową postać w spektaklu „Fryderyk"; fanów, których przysporzył mu telewizyjny show „Twoja twarz brzmi znajomo", i tych, których porywa jego dubbingowa oraz wokalna ekspresja, co jakiś czas przypominana w krótkich nagraniach internetowego kanału Studio Accantus.

Działający na 200 procent aktor (– Nie wyobrażam sobie, że można inaczej – mówi) ma też pasję: podróże „w miejsca niezadeptane". Kilka lat temu wyruszył w pojedynkę do Nowej Zelandii, przez Japonię. W ubiegłym roku trafił na Białoruś i Maltę. – Taka droga pozwala dobrze poznać siebie (a to jest niezbędne dla aktora). Uczy też gotowości działania, dając zarazem szansę wyciszenia, resetu, na który trzeba sobie umieć pozwolić.

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Mariusz Malec

Aktor Pana Boga

91. urodziny Franciszka Pieczki

Gdybym miał obsadzić scenę spotkania Pana Boga z dobrym aktorem, w obu rolach widziałbym Franciszka Pieczkę – mówi Mariusz Malec, reżyser dokumentalnego filmu, który TVP Kultura pokaże premierowo 18 stycznia o godz. 19.25, w dniu 91. urodzin jednego z najwybitniejszych polskich aktorów filmowych i teatralnych.

Dysponując kadrami z filmów, zarówno fabularnych, jak i dokumentalnych, reżyser zaprosił jubilata w wielowymiarową podróż. „Obsadził" go w niej szkatułkowo – jako odtwórcę kolejnych znaczących ról, uczestnika zdarzeń wspominającego po latach tło przywoływanych scen; komentatora i zarazem widza konfrontowanego z dawnymi kadrami i wypowiedziami. Przede wszystkim jednak współczesnego bohatera, który z perspektywy lat patrzy na swoje doświadczenia i dokonania, dając im nowy kontekst. Widz dostaje jeszcze jedną perspektywę: może obserwować twarz aktora oglądającego na ekranie siebie z różnych okresów i artystycznych ról.

Malec zatytułował swój film „Aktor Pana Boga". Taką też interpretacyjną ścieżką starał się poprowadzić bohatera. I Franciszek Pieczka nie stanął wbrew intencjom dokumentalisty, a jednocześnie poszedł własną drogą. Tak, jak to robił wcześniej – wpisując się w wizje kolejnych reżyserów i trwając w zgodzie z samym sobą.

Wśród filmów, które zostały na ekranie przywołane, obok m.in. „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Wojciecha Hasa, „Ziemi obiecanej" i „Wesela" Andrzeja Wajdy, „Perły w koronie" Kazimierza Kutza, pojawiają się obrazy odsłaniające głębszą sferę życia bohaterów granych przez Pieczkę.

Aktor przypomina m.in. scenę z „Żywota Mateusza" Witolda Leszczyńskiego. Mateusz, człowiek o niezwykłej wrażliwości na otoczenie, przyrodę, zafascynowany przygląda się w niej ptakowi, który chwilę potem zostaje zestrzelony, spada na ziemię. – Kamera skupia się na zamykającym się powoli oku. Życie się kończy – komentuje.

Wyjątkowy kontekst łączy się z inną sceną. Trwało nagranie, w którym Jańcio Wodnik z filmu Jana Jakuba Kolskiego finalizował swoją prośbę: „Panie Boże daj deszcz... deszczyk... kapuśniaczek... Panie Boże, parę kropel...". Po ostatniej kwestii do akcji miała wkroczyć stojąca w pogotowiu straż pożarna. Słowa padły, gdy nagle – jak wspomina aktor – „Ni stąd, ni zowąd, błyskawica, piorun i ulewa taka, że trzeba było uciekać. Potem mówili, że mam drugi zawód. Gdzie jest susza, przyjeżdża Jańcio Wodnik, tylko poprosi i od razu jest deszcz".

W „Konopielce" Witolda Leszczyńskiego zagrał dwie role: Dziada, ale i Pana Boga ze snu Kaziuka. – To była, jeśli chodzi o postaci duchowne, najwyższa hierarchia – podsumowuje. W „Quo vadis" Jerzego Kawalerowicza wcielił się w św. Piotra. Wspomina dwie sceny. Tę, w której padają sakramentalne słowa: „Quo vadis, Domine?" oraz kazanie w grocie. Słuchali go w wielkim skupieniu miejscowi statyści. – Szczera ekspresja przekonuje nawet tych, którzy nie rozumieją słów – uważa Pieczka. – Dlatego myślę, że kiedy przyjdzie mi odchodzić z tego padołu płaczu, będę miał protekcję u św. Piotra. Chyba że go źle zagrałem...

W pamięci pozostała mu audiencja po watykańskiej premierze filmu. Emocje tak zadziałały, że całując pierścień Jana Pawła II, zdołał wykształcić: „Ojcze Święty wybacz moją nieudolność". Papież, kręcąc głową, odpowiedział: „Dziękuję, dziękuję". – Wielka satysfakcja – komentuje dziś aktor. – Kto by wtedy pomyślał, że rozmawiam z przyszłym świętym.

W serialu „Chłopi" Jana Rybkowskiego zagrał księdza proboszcza. Ze sceny nad grobem Boryny, w której statystowali mieszkańcy reymontowskich Lipiec, zapamiętał bardziej społeczny niż duchowy kontekst. Jego bohater grzmiał: „Narodzie chrześcijański... Wszędzie łajdus na łajdusie! I łajdusem pogania! Gorzałkę piją, rozpustę czynią.... i to w lipieckiej parafii". Po ujęciu usłyszał od statystów: „U nas tak przecież nie ma...".

Kiedy rozmawiałam z Franciszkiem Pieczką przy okazji jego 90. urodzin, potwierdzał: kino to wciąż „kwintesencja jego bytu i aktorskich peregrynacji". Dziś jednak, jeśli miałby wybierać, zagrałby w... radiu.

– Kiedy się przeżyło troszeczkę na tym świecie, nie ma już obaw, że coś się kończy – mówi w filmie „Aktor Pana Boga".

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl 23b1ab3917

Początek końca poprawności politycznej?

Legendarny amerykański komik i pięciokrotny zdobywca Grammy George Carlin twierdzi, że poprawność polityczna jest faszyzmem przebranym w strój dobrych manier. A ponieważ te fałszywe maniery rządzą dziś Hollywood, nikt nie wie, kto poprowadzi tegoroczną galę oscarową

Kto poprowadzi tegoroczną galę Oscarów? Nie wiadomo. Zrezygnować musiał czarnoskóry komik Kevin Hart, któremu wytknięto homofobię. Przeprosin nie przyjęto. Poprawność polityczna kosi faworytów

Fot. Shutterstock

ŁUKASZ ADAMSKI

Cytat z Carlina, który od dawna walczy z normami poprawności politycznej, wrzucił na Twittera komik Rob Schneider. Po kilku dniach wpis skasował, potwierdzając tym samym słowa Carlina. Jednak reakcja Schneidera i innych znanych komików na kolejne ofiary politpoprawnej ofensywy pokazuje, że ludzie Hollywood zaczynają dostrzegać, na jaką potworność pozwolili, zgadzając się, by poprawność zdobywała kolejne przyczółki.

Ale żarty się skończyły. Dlaczego? Bo pierwszy raz na początku roku nie wiadomo, kto prowadzi nadchodzącą galę Oscarów w Hollywood. A zostało do niej kilka tygodni. Rozdanie Oscarów to precyzyjnie wyreżyserowany show. W poprzednich latach prowadzący byli znani kilkanaście miesięcy przed rozdaniem najbardziej pożądanych statuetek w show-biznesie. A jak jest teraz? Od kilku miesięcy kolejni komicy odmawiają prowadzenia gali, nie chcąc wchodzić w ciasny mundurek uszyty przez kapłanów poprawności politycznej.

CZARNOSKÓRY „HOMOFOB" I ŚNIEŻYNKI

W końcu prowadzenie zaproponowano czarnoskóremu komikowi i aktorowi Kevinowi Hartowi. Ten po kilku dniach zrezygnował. Dlaczego? Bo kilka lat temu na Twitterze żartował z homoseksualistów, co wyciągnęli mu tęczowi inkwizytorzy. Hart przeprosił środowiska LGBTQ, oddał pokłon politpoprawnemu „Bałwanowi" i uciekł do swojej, bezpiecznej złotej klatki. Początkowo niewielu zdecydowało się odnieść do tego skandalu. W końcu legendarny komik Jerry Seinfield powiedział, że Akademia strzeliła sobie w stopę, bo po takim potraktowaniu Harta nikt nie będzie chciał już współpracować z tak konstruowanym show. Twórca hitowych w latach 90. „Kronik Seinfelda" i prowadzący bijący dziś rekordy popularności show na Netflixie „Comedians in cars getting coffee" powiedział, że nie zbliża się ze swoim stand-upem do amerykańskich uniwersytetów, gdzie polityczna poprawność przeżera dusze młodych Amerykanów. W ostatnich latach wyjątkowo mocno wyśmiewają to twórcy „South Parku", porównując studentów PC (political correctness) do ryczących i rozkapryszonych bachorów.

„Moja córka ma 14 lat. Moja żona mówi do niej: »Wiesz, w następnych latach będziesz pewnie chciała więcej się kręcić w weekendy po mieście, by po-

eprasa.pl 23b1ab3917

znać jakiś chłopaków«. Wiesz, co moja córka powiedziała? »To seksizm!«. Oni używają właśnie takich słów. »To rasizm. To seksizm. To uprzedzenie«. Nie wiedzą nawet, o czym mówią" – opowiadał w jednym z wywiadów Seinfeld. Czy nawet jego dzieci zamieniły się w wyśmiewane w „South Parku" „śnieżynki"?

Doskonale „śnieżynki" opisała kiedyś na łamach tygodnika „Sieci" Aleksandra Rybińska: „Młodzi, emocjonalnie niedojrzali narcyzowie o lewicowo-liberalnych poglądach i postawie roszczeniowej, których łatwo urazić. Trudno znoszą krytykę oraz opinie odbiegające od ich własnych. Dąsają się, płaczą, popadają w histerię. Uczucia oraz ciasny gorset poprawności politycznej, w którym zostali wychowani, biorą przewagę nad racjonalnością. Każda, nawet najłagodniej przedstawiona krytyka, to osobisty afront. »Uznajcie nasze subiektywne odczucia, bo jeśli nie...« – wydają się krzyczeć. A ponieważ żyją w epoce powszechnego dostępu do informacji, wciąż pochyleni nad tabletem czy smartfonem, mają wrażenie, że wszystko ich dotyczy. Od huraganów w Alabamie po połowy dorsza w Szkocji".

Te same „śnieżynki" zaprotestowały przeciwko „seksizmowi i homofobii" hitowego w latach 90. serialu „Przyjaciele", który zaczął emitować na swojej platformie Netflix. Jeszcze kilka lat temu wszyscy brali tę produkcję za zupełnie niewinny show. Ale wychowane w bańce poprawności politycznej śnieżynki wpadły w popłoch i wystosowały protest do Netflixa. Ich zdaniem serial łamie elementarne normy PC. Nic nie pokazuje lepiej spustoszenia, jakie wywołała poprawność polityczna, jak reakcja na „Przyjaciół". Czy można się więc dziwić, że Kevin Hart został zmiażdżony za swoje żarty sprzed lat?

PRZEPROSINY JUŻ NIE WYSTARCZĄ

Do niedawna złamanie norm poprawności politycznej skutkowało krótkotrwałym potępieniem. Wystarczyło złożyć pokłon konkretnym mniejszościom i uzyskać od nich glejt uczciwości. Worek pokutny był jedyną karą od tęczowych inkwizytorów. Teraz sytuacja się zmieniła.

Kevin Hart udał się do programu Ellen DeGeneres, również świetnej stand-uperki, komiczki i aktorki, która jest też otwartą lesbijką. Hart mówił w programie, że bardzo chciał prowadzić galę i jak wielka byłaby to dla niego szansa. Ale przyznał, że sprawa jest zamknięta. DeGeneres ujawniła, że dzwoniła do ludzi z Akademii, przekonując, by przywrócili Harta jako prowadzącego. Nie udało się.

„Dorosłeś. Przeprosiłeś. Przepraszasz ponownie teraz. Zrobiłeś to. Nie pozwól, by ci ludzie wygrali. Poprowadź Oscary" – powiedziała w patetycznym tonie prowadząca show. Hart przepraszał, że w latach 2009–2011 pozwalał sobie na żarty z gejów oraz za jeden tweet, który i tak szybko wykasował. „Yo, gdyby mój syn w domu próbował się bawić lalkami moich córek, tobym mu nimi przyłożył w głowę i powiedział: »Przestań, to gejowskie«" – to właśnie ten wpis spowodował jego dzisiejsze problemy.

Ani publiczne przeprosiny środowisk gejowskich, ani wstawienie się czołowej działaczki LGBT nie pomogły czarnoskóremu komikowi.

Hart przeprosił, ale inni komicy nie zamierzają tego robić. Nie chodzi już tylko o libertariańskich twórców „South Parku", od 20 lat wyśmiewających każdy przejaw poprawności politycznej. Lewicę oburzyła reakcja dzisiejszych gwiazd stand-upu.

Rob Schneider, zanim wykasował wpis porównujący poprawność polityczną z faszyzmem, napisał, że komicy są od tego, by mówić „okropne rzeczy". Coraz głośniej przeciwko poprawności zaczął się też wypowiadać powracający na scenę po skandalu #MeToo Louis C.K. (za karę, że masturbował się przed kobietami, które uznały to za molestowanie, dystrybutor rok temu wycofał z kin jego film, a jego show zdjęto z Netflixa). Odpór był natychmiastowy.

„Śnieżynki" i „bachory PC" rzuciły się na niego w mediach społecznościowych za niepoprawne żarty. W obronę wziął go brytyjski gwiazdor komedii Ricky Gervais, który w swoim stylu napisał: „Jak wiecie, nie jestem religijną osobą, ale moim ulubionym fragmentem Biblii jest zdanie: »Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, który jest bez winy«. To znaczy: »O, zamknij się. Jesteś również pi... i to samo robisz«. Dzięki, Jezu". Louis C.K. podpadł przez żarty (rzeczywiście mało smaczne) ze strzelaniny w szkole w Parkland. Lewicowi filmowcy, np. Judd Apatow, nie mogli wyjść z oburzenia. Komika bronił ocalały ze strzelaniny w Parkland Cameron Kasky, który napisał: „Nie jestem fanem Louisa C.K., ale uważam, że komedia powinna być obraźliwa".

JAK U ORWELLA

Oczywiście ci sami, którzy potępiają komików za homofobię czy brak wrażliwości społecznej, nie widzą nic złego w żartach z Donalda Trumpa, prawicy czy chrześcijan. Porównywanie Trumpa do Hitlera (Michel Moore), nazywanie go „motherfucker" (Samuel L. Jackson) nie wzbudzają oburzenia. Trey Parker i Matt Stone od dwóch dekad równie mocno wyśmiewają mniejszości (odcinek o „Obozie koncentracyjnym tolerancji" z 2002 r. oburzył i gejów, i żydów, i chrześcijan; dziś pewnie nie mógłby być nakręcony). Ale mimo licznych naśladowców nie udało im się zaszczepić w Hollywood libertariańskiego pojęcia wolności słowa.

Sprawa Kevina Harta jeszcze bardziej obnaża obłudę i hipokryzję piewców poprawności, która zupełnie otwarcie demoluje dziś komedię i wolność artystyczną. Terry Gilliam, wybitny reżyser i członek legendarnej grupy Monty Python, rok temu doskonale wyśmiał politpoprawne szaleństwo establishmentu: „Nie chcę być już białym mężczyzną. Nie chcę być obwiniany za całe zło świata. Od teraz będę mówił, że jestem czarną lesbijką. Na imię mam Loretta i jestem BLT – czarną lesbijką w okresie przejściowym". Jego kolega z pythonów John Cleese nieraz podkreślał, że poprawność polityczna zaprowadzi świat do wizji Orwella z „Roku 1984". Gilliam w kilku wywiadach powiedział wprost, że poprawność polityczna to jego największy wróg. Czy inni komicy zaczną bez lęku powtarzać to samo? Może sprawa Harta będzie momentem przełomowym?

eprasa.pl 23b1ab3917

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Zodiak", czyli o nieuchwytności zła

Od dawna chciałem napisać o tym filmie i się nie składało. Ale „Zodiak" Petera Finchera sprzed 12 lat wraca, ostatnio na kanale Metro.

Fincher jest fachmanem. Nie wszystkie jego filmy, zwykle pełne przemocy, lubię jednakowo, niemal wszystkie doceniam. Nawet gdy temat jest niespecjalnie oryginalny, coś znajduję. Ot, „Wojna Z". Ileż było opowieści o zombie niszczących świat. A przecież tu już pierwszą scenę, panikę wybuchającą bodaj na ulicach Filadelfii, pamięta się jako klasę samą w sobie. Zróbmy kiedyś listę takich scen.

Na jego koncie są i ambitniejsze dzieła: „Siedem" czy niebudzący mojej sympatii, ale chwytający ducha czasów, „Fight Club". „Zodiak" jest jednak wyjątkowy. Trzygodzinny, niemal paradokumentalny zapis zdarzeń związanych z zabójcą z Kalifornii, którego nie ujęto. Podawał się za sprawcę śmierci 37 osób, zdaje się, że zabił pięć i ciężko ranił jeszcze dwie. Zasadzał się na zakochane pary, co nie przeszkodziło mu zastrzelić taksówkarza i obiecywać zamach na autobus pełen dzieci. Jego listy, często pisane szyfrem, to oddzielny nurt jego działalności.

To niezwykłe, że można nakręcić coś tak fascynującego, nizając – po początkowych scenach zabójstw – mnóstwo szczegółów, często technicznych. Że można komplikować maksymalnie obraz rzeczywistości, mnożąc wątki, kiedy w popkulturze wszystko na potęgę się upraszcza. Że można odtwarzać tak wiernie coś, co aż się prosi o podkoloryzowanie, podszycie fantazją, i jednak wygrać grę o naszą uwagę. No i znów trzeba napisać o duchu czasów. Jest nawet „Brudny Harry" z Clintem Eastwoodem. Policja nie złapała „Zodiaka", ale Eastwood – „Skorpiona" owszem.

Dwa wątki – policyjnego śledztwa i prywatnego dochodzenia rysownika z „San Francisco Chronicle" Roberta Graysmitha (który opisał ustalenia w dwóch książkach) – to oddalają się, to nachodzą na siebie. Pulsując emocjami galerii postaci: policjanta Toschiego (Mark Ruffalo), staczającego się dziennikarza Emery'ego (Robert Downey Jr), wreszcie niepozbieranego, a w przedziwny sposób przenikliwego, Graysmitha (kapitalny jak zawsze Jack Gyllenhaal). Z tej łamigłówki, a właściwie kompozycji łamigłówek, wyłania się przerażająca konkluzja. Idziemy za kolejnymi wersjami i żadna nie okazuje się na bank prawdziwa.

Także ta, w której zgadza się już prawie wszystko. A przecież nie badania grafologiczne ani wspomniane na końcu filmu testy DNA. Więc czy prawda była niedostępna? Jak w „Człowieku, którego nie było" braci Coen, im mocniej wpatrujemy się w punkt, tym mniej widzimy? Ale tu jest sporo dobrych chęci. Czy na którymś etapie błąd ludzki (niektóre z nich są otwarcie roztrząsane) wypaczył obraz? Giniemy w natłoku szczegółów, biurokratycznych barier i fałszywych wrażeń. To powinno nas nauczyć pokory.

Rzadko się zdarza, aby nawet pewna rozwlekłość filmu była jego atutem. Bo czujemy daremność ludzkich wysiłków rozciągniętych na kilkadziesiąt lat. Zarazem to studium obsesji ścigających. Policjanta, ale przede wszystkim amatora. W wytrzeszczonych oczach niezgrabnego Gyllenhaala możemy szukać głodu sukcesu. Ale pojawia się też motyw idealizmu, wiary, że „ktoś to powinien zrobić". Graysmith jest skautem, to pada wprost. W pragmatycznej amerykańskiej cywilizacji ta szczypta harcerskiego idealizmu to coś dopełniającego. Na dokładkę rysownik lubi czytać w bibliotece. Amerykański mit czy jego delikatne podważenie?

Piotr Zaremba

eprasa.pl 43b1ab3917

Moniuszko – wielkość wciąż odkrywana

„Halka" w wykonaniu słynnej orkiestry Europa Galante z międzynarodową stawką solistów pod batutą Fabia Biondiego zainaugurowała w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej program ustanowionego przez Sejm Roku Stanisława Moniuszki

ADAM CIESIELSKI

Pretekstem jest przypadające 5 maja 200-lecie urodzin naszego narodowego kompozytora. Obchody są nie tylko krajowe, bo na wniosek Polski, Litwy i Białorusi UNESCO ogłosiło międzynarodowy Rok Moniuszki.

Melomanów przywykłych słuchać „Halki" po polsku mógł dziwić wybór akurat włoskiej wersji językowej. Wszakże trzeba pamiętać, że powstała ona na życzenie kompozytora, a tłumaczenia libretta podjął się Achille Bonoldi, ceniony baryton, przyjaciel Moniuszki. Jeszcze za życia twórcy „Halka" śpiewana była m.in. w Pradze po czesku, w Moskwie i Petersburgu po rosyjsku, po jego śmierci zaś także w Lublanie po słoweńsku, we Wrocławiu po niemiecku. Kompozytor nie doczekał pierwszego wykonania włoskiego w Mediolanie w 1905 r. Nader udana koncertowa prezentacja opery po włosku na festiwalu „Chopin i jego Europa" w 2018 r. przez zespół Europa Galante, pod batutą Fabio Biondiego, stawiającego Moniuszkę na równi z Bellinim, Donizettim i Verdim, była więc niejako spełnieniem marzenia wielkiego romantyka.

Wydane przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina płytowe nagranie „Halki" w tym ujęciu trafia właśnie do sklepów muzycznych, ale z przyjemnością ponownie wysłuchałem teraz znakomitej interpretacji na żywo w Teatrze Wielkim. Grająca na instrumentach historycznych orkiestra lepiej niż olbrzymie składy operowe oddaje urodę XIX-wiecznego brzmienia. Na słowa uznania zasłużył współpracujący z Biondim Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej. Sprawdzili się soliści: Monika Lendzion-Porczyńska (Zofia), Robert Gierlach (Janusz), Rafał Siwek (Stolnik), zaś Hiszpanka Tina Gorina (Halka) i Brazylijczyk Matheus Pompeu (Jontek) – jak podczas sierpniowego prawykonania w Studiu im. Lutosławskiego – zbierali spontaniczne owacje.

Inauguracja Roku Stanisława Moniuszki. Opera „Halka", wersja warszawska z 1858 r. z librettem Włodzimierza Wolskiego we włoskim przekładzie Giuseppe Achille Bonoldiego. Wykonanie koncertowe: Europa Galante, Fabio Biondi – dyrygent. Soliści: Tina Gorina, Monika Lendzion-Porczyńska, Matheus Pompeu, Robert Gierlach, Rafał Siwek, Karol Kozłowski. Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej pod kier. Violetty Bieleckiej. Teatr Wielki – Opera Narodowa, 5 stycznia 2019 r.

Na widowni znalazło się wiele znaczących postaci życia muzycznego. Był m.in. Krzysztof Penderecki oraz legendarny angielski reżyser operowy David Pountney. Ten ostatni, komandor Orderu Imperium Brytyjskiego, odznaczony także m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP, przy współpracy Instytutu Adama Mickiewicza od lat pokazuje światu dzieła polskich twórców, takie jak „Straszny dwór" Stanisława Moniuszki (akurat ukazał się zapis warszawskiej realizacji z 2015 r.), „Król Roger" Karola Szymanowskiego, „Pasażerka" Mieczysława Wajnberga czy „Kupiec wenecki" Andrzeja Czajkowskiego. Jego związki z naszym krajem jeszcze się zacieśniły: w dniu koncertu artysta z rąk wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego odebrał akt nadania polskiego obywatelstwa, przyznanego przez prezydenta Andrzeja Dudę. Został też dokooptowany do Komitetu Honorowego Roku Moniuszki.

Jak zapowiedział Waldemar Dąbrowski, dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, pełnomocnik ds. Roku Stanisława Moniuszki, obchody obejmą w 2019 r. ponad 200 wydarzeń w kraju i na świecie. M.in. w maju wypada X Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Moniuszki. Symbolicznym nawiązaniem do obecnej warszawskiej inauguracji będzie premierowe wykonanie „Halki" w reżyserii Mariusza Trelińskiego z udziałem Piotra Beczały w partii Jontka w grudniu na scenie Theater an der Wien w Wiedniu. Spektakl obejrzy potem Warszawa.

eprasa.pl 23b1ab3917

Wojciech Stanisławski

Wielowymiarowa Ameryka

Kolejne tomy „Dziejów politycznych Stanów Zjednoczonych" Piotra Zaremby utwierdzają mnie w przekonaniu, że jest to lektura obowiązkowa dla każdego, kto usiłuje zrozumieć sprawy wielkiego ludzkiego mrowiska, czyli politykę

Kiedy humaniści usiłują opisać jakieś zjawisko jako nadzwyczaj złożone, niepoddające się prostemu podziałowi góra–dół, czarne–białe, nieraz sięgają, bez szczególnego może zrozumienia, po termin „wielowymiarowe". Każdy intuicyjnie czuje mniej więcej, o co chodzi: trzy wymiary porządkują przestrzeń wokół nas, ale skądinąd wiadomo, że są jeszcze inne, po których, jak po asfodelowych łąkach, wędrują topolodzy. To niejasne wyobrażenie „dodatkowych wymiarów" przeniknęło głęboko do popkultury: w sezonie letnim na nadmorskich deptakach pojawiają się pawilony oferujące filmy „w rozmiarze 10D". Ich właściciele rozumieją te dodatkowe wymiary jako połączenie przyciasnych gogli, silnych wstrząsów fotela oraz dodatkowych bodźców dla zmysłu węchu, co z kolei prowadzi do odkryć tak nieoczekiwanych jak to, że na pokładzie „Gwiazdy śmierci" mocno pachniało fryturą; być może jednak dzieje się tak tylko wówczas, gdy „Ostatni Jedi" wyświetlany jest na ulicy Nadmorskiej w Łebie.

Dworuję sobie trochę, usiłując ukryć bezradność, jakiej doświadczam, czytając kolejny już tom „Dziejów politycznych Stanów Zjednoczonych" Piotra Zaremby. Znam przecież trochę podobnych prac, syntezy polityczne wybranych panowań, prezydentów czy wieków to w końcu chleb powszedni historyka: niewiele pamiętam jednak tytułów, w których pojawiałoby się tylu aktorów politycznych, tłum osób obdarzonych pewną sprawczością i wolą działania, które – co charakterystyczne – nie pojawiają się jedynie „z nazwiska": każda bez wyjątku postać, nawet pojawiająca się tylko na moment, opisana jest kilkoma zdaniami, charakteryzującymi jej usposobienie, temperament polityczny, poglądy na dyskutowaną w danym momencie kwestię, ba, jak w dobrej karykaturze – najbardziej swoisty rys wizerunku, czy będą to wąsy, tusza czy dewizka.

Przede wszystkim jednak – i tu pojawia się pokusa mówienia o wielu wymiarach – autor „Ameryki FDR" ukazuje, na jak wielu płaszczyznach osadzić można każdą z tych postaci, jak wiele osi rozciągniętych jest w amerykańskiej przestrzeni politycznej. Prosty podział na republikanów i demokratów, którym posiłkują się do dziś fejsbukowi komentatorzy (o ileż bardziej dufni od swoich praprzodków, bywalców kawiarni!), nie znaczy niemal nic wobec wewnętrznej niejednorodności obu tych gigantycznych partii, wobec zróżnicowania geograficznego, sporów i lojalności wewnątrzstanowych. Na to zaś nakładają się różnice stanowisk w wielu kwestiach: od przywiązania do konstytucyjnej spuścizny USA (jak różne były jej interpretacje!) lub parytetu złota po koncepcję relacji między prezydentem, Kongresem a poszczególnymi stanami, stosunek do izolacjonizmu, Starego Świata, barier między społecznościami etnicznymi Stanów, do mediów czy plutokratów. Każdy z polityków charakteryzowany jest przez postawę w większości tych spraw: nie ma więc (pod piórem autora „Dziejów...", ale pewnie i w rzeczywistości) dwóch jednakowych. Do tego procedury: Zaremba, jak dramaturg i analityk polityczny zarazem, rozkłada „procesy polityczne" na części pierwsze, ukazuje na dziesiątkach przykładów, jakie zależności, działania i decyzje składają się na każdy z nich, niczym w karambolu dziesiątków bil na rozciągającym się na całe akry zielonym suknie.

Piotr Zaremba, „Demokracja na krawędzi. Ameryka Franklina Delano Roosevelta". Dzieje polityczne Stanów Zjednoczonych od roku 1900, Wydawnictwo Neriton, 2018

Podobne przemyślenia miałem przy poprzednich trzech tomach „Dziejów...": uważam, że stanowią one jedno z lepszych wprowadzeń w materię tak złożonego procesu, jakim jest polityka i podejmowanie decyzji we współczesnych państwach. Rzesze absolwentów politologii marzących o posadzie asystentki więcej by skorzystały na szczegółowej lekturze Zaremby niż na wkuwaniu abstrakcyjnych definicji i słu-

eprasa.pl 23b1ab3917

chaniu przaśnych ploteczek. „Dzieje..." to współczesna „Cyropaedia" Ksenofonta, która dała początek zapomnianemu gatunkowi „speculum principis", czyli podręczników dla następców tronu. Tak myślałem już wówczas, gdy czytaliśmy o Ameryce Theodore'a Roosevelta, Williama Tafta, Woodrowa Wilsona. Czwarty tom jest jednak pod tym względem szczególny: wkraczamy wraz z nim w nowoczesność, w epokę Stanów, które czeka mocarstwowa przyszłość (choć nie są jeszcze tego świadome), a jednocześnie stają przed wyzwaniem, jakim jest najpotężniejszy jak dotąd kryzys nowoczesnej gospodarki. Dylematy i decyzje prezydenta USA, możliwa skala interwencji państwa oraz jej dalekosiężne konsekwencje – to kwestie, w których przemyślane i wyrobione zdanie ma dziś zarówno każdy odpowiedzialny wyborca, jak i każdy poważny polityk, niezależnie od swych poglądów czy afiliacji. Albo – powinien mieć.

Bohaterem tej książki jest Franklin Delano Roosevelt – pierwszy prezydent, jak zauważa sam autor, do którego Polacy mają osobisty stosunek, pamiętając mu przede wszystkim Jałtę (choć, jako żywo, nie była to najbardziej brzemienna w skutki decyzja FDR; będziemy zresztą jeszcze o niej czytać, IV tom „Dziejów..." kończy się na Pearl Harbor). Ale nie tylko, i na tym także polega novum: opisywana przez Zarembę Ameryka lat 30. to nie tylko dojrzewające supermocarstwo, lecz również, w coraz większym stopniu (za sprawą mocarstwowości, ale i dorobku, i kina), Ameryka naszych marzeń i wyobrażeń. Stany początku XX w. w wyobraźni Polaków są mocno zredukowane – ot, kilka scen westernowych, kilka melodramatycznych, z Wielkim Gatsbym na czele.

Tymczasem Ameryka FDR, choć Zaremba z pasją i konsekwencją skupia się na polityce oraz jej ramifikacjach, to przecież Ameryka Chaplina i Faulknera, jazzu i Disneya, „złotych lat Hollywood" i złotych lat radia – i książka, o której pisze, dostarcza nam tła do dziesiątków fabuł i wyobrażeń (szczególnym przypadkiem jest wielki populista lat 30., demokratyczny gubernator Luizjany Huey Long, prymitywny pierwowzór bohatera najlepszej chyba powieści o polityce – „Gubernatora" Roberta Penna Warrena). Mam nadzieję, że doczekamy czasów, gdy kolejne tomy Zaremby naszkicują tło Ameryki Jamesa Deana i Marilyn Monroe, Sylvii Plath i Johna Berrymana, Edwarda Hoppera i Woody'ego Allena.

Prześwietlanie Piłsudskiego

Bojowiec, Ziuk, szlachcic, Marszałek, katechon, błazen. Nie warto ryzykować odpowiedzi na pytanie, czy Józef Piłsudski był najwybitniejszym Polakiem XX w. lub czy najbardziej wpłynął na dzieje Polski w tamtym stuleciu (choć konkurentów do tych tytułów, dalipan, nie ma wielu). Z dużą dozą pewności twierdzić można, że o żadnego innego z rodaków nie spierano się tak długo, tak żarliwie i prezentując taką rozpiętość ocen: tych odsłon (a może raczej wcieleń?) komendanta Legionów było tyle, że starczyłoby go na pasjansową talię kart. I kilka jest dat lub momentów, w których postać tak przemienia się na naszych oczach: Piłsudski na katordze i pod Bezdanami, na manewrach Związku Walki Czynnej i pod Kostiuchnówką, na placu Trzech Krzyży roku 1920 i na moście Gdańskim w sześć lat później.

Mikołaj Mirowski, historyk i animator wielu debat, zorganizował cykl rozmów historyków akademickich, architektów polskiej pamięci zbiorowej i zapalczywych publicystów o tych kilku najważniejszych rolach Piłsudskiego (socjalista, strateg, zamachowiec) i jego obecności w różnych sferach życia, od literatury do popkultury. Ich zebrany w książce zapis ma za tło serial Andrzeja Trzos-Rastawieckiego przypomniany na dołączonej do książki płycie.

Rozmowy, wiadomo, nie służą z reguły prezentacji nieznanych faktów czy nowatorskich, całościowych interpretacji: idzie w nich bardziej o iskrzenie, o zaprezentowanie i zderzenie różnych odmiennych punktów widzenia. To się powiodło, trafnie dobrani dyskutanci (a kwestia obsady jest dla Mirowskiego ważna, kilkakrotnie wraca w książce pytanie o ekranowe inkarnacje Piłsudskiego) krzyżują anegdoty i cytaty (w tym świetny, szerzej nieznany, z „Nienasycenia" Witkacego, ukazujący rozmach, niemożność i dramat Piłsudskiego-Kocmołuchowicza). Czasem zaskakują czytelników: Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej" stara się być obrazoburczy, ale uniemożliwia mu to duża wiedza i rzetelność badawcza, pocieszny, tym bardziej że nieświadomie, okazuje się za to prezentysta i progresista Krzysztof Król, przed laty działacz KPN, który upiera się, że dziś Piłsudski kroczyłby w proaborcyjnym „czarnym proteście".

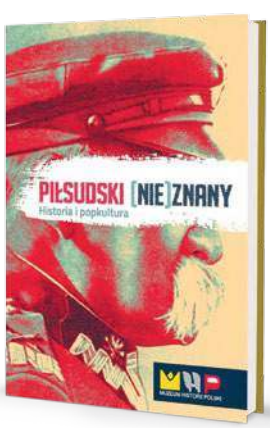

Mikołaj Mirowski (rozm.), „Piłsudski [nie]znany. Historia i popkultura", Muzeum Historii Polski, 2018

Klucz do Piłsudskiego oferował przed laty Cat-Mackiewicz, wytrychy – tuzin paszkwilantów. Rozmówcy Mikołaja Mirowskiego nie mają takich ambicji, tworzą raczej „portret zwielokrotniony", złożony z licznych ujęć-stopklatek, niczym w „Pojedynku" Leona Chwistka czy niedawno przypomnianej „Szarży" Jerzego Hulewicza – dwóch z wielu artystów, którzy malowali w II RP, w cieniu wstrzymanego na chwilę przez Naczelnika koła historii.

eprasa.pl 23b1ab3917

Adamski poleca

Kino

Siła matczynej miłości

Pisałem tydzień temu w tej rubryce o wspaniałym filmie „Mój piękny syn" Felixa van Groeningena, który w subtelny i jednocześnie przeszywający sposób opowiada o walce rodziców z uzależnieniem od narkotyków ukochanego dziecka. „Powrót Bena" opowiada o tym samym. W znacznie bardziej schematyczny sposób. Jeżeli więc musicie wybrać jeden film, dotykający tak powszechnego dziś problemu uzależnienia młodych ludzi (w USA przedawkowanie to pierwsza przyczyna śmierci Amerykanów przed czterdziestką), szukajcie w pierwszej kolejności „Mojego pięknego syna".

Nie oznacza to, że film Petera Hedgesa jest niewartościowy. Siła tego obrazu tkwi jednak nie w scenariuszu, ale aktorstwie Julii Roberts. Ben (Lucas Hedges) wraca do domu na Boże Narodzenie. Nie powinien się pojawić w rodzinnym domu, gdyż przebywa na odwyku. Chłopak przekonuje, że jest gotowy, by w gronie rodzinnym ostatecznie pokonać demona narkomanii. Jego mama Holly (Julia Roberts) mimo obaw przyjmuje Bena z otwartymi rękoma. Dwójka małych dzieci Holly raduje się z powrotu starszego brata. Ojczym i jego siostra są znacznie ostrożniejsi. Ben w przeszłości dowiódł, że dla strzykawki posunie się do każdego kłamstwa. Najbliższe 24 godziny pokażą, że chłopakowi łatwo nie będzie się oderwać od przeszłości. Pomóc może mu tylko oddana matka. Kochająca go bezgranicznie i jednocześnie świadoma otchłani, w jakiej jej syn się znalazł.

Julia Roberts tworzy wybitną kreację. Holly to kochająca matka, która musi się wykazać niezwykłą siłą, by uchronić syna przed autodestrukcją. Ona chce wierzyć, że Ben ma za sobą problem uzależnienia. Jednocześnie stawia mu twarde ultimatum pozwalające pozostać w domu. Nie odstępuje syna na krok, wchodząc w mroczny świat narkomanii, dilerki i upodlenia tych, którzy wpadli w sidła uzależnienia. O ile w „Moim pięknym synu" problem oplatania człowieka uściskiem wiedźmy o imieniu heroina rozgrywa się na płaszczyźnie psychologicznej, o tyle w „Powrocie Bena" mamy nieznośnie wyświechtane wątki sensacyjne. Obniżają znaczącą temperaturę filmu popadającego momentami w banalność narracyjną. Szkoda, choć wielka kreacja Julii Roberts poruszy każdego rodzica i zrekompensuje mankamenty scenariusza.

„POWRÓT BENA" REŻ. PETER HEDGES, DYSTR. BEST FILM

VOD

Samotność

To ciekawe, że tak przenikliwą opowieść o współczesnych kowbojach nakręciła chińska reżyserka Chloé Zhao. Wcześniej sztuki tej dokonał pochodzący z Tajwanu Ang Lee w „Tajemnicy Brokeback Mountain". Czy twórcy z tego kręgu kulturowego czują w jakiś specjalny sposób klimat tej specyficznej części Ameryki? „The Rider" opowiada inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami historię życia kowboja i gwiazdy rodeo. W rolę Brady'ego Blackburne'a, kowboja, który podczas ujeżdżania wierzchowca doświadcza fatalnych obrażeń głowy, wciela się Brady Jandreau. On również doznał kontuzji głowy niepozwalającej mu na dalszą karierę. Mieszkająca w Dakocie Południowej Zhao podjęła ogromne ryzyko, obsadzając amatora, który musi grać w pewnym stopniu samego siebie. Opłaciło się. Jandreau perfekcyjnie oddaje samotność, zagubienie i rozdarcie prostego kowboja, stającego przed końcem ukochanego stylu życia. Niezrozumienie otoczenia, dla którego jest lokalnym bohaterem, zmierzenie się z kowbojskim maczyzmem, konflikt z twardym ojcem ranczerem – wszystko to porażająco wybrzmiewa w minimalistycznej grze amatora. „The Rider" to mądre, piękne i subtelne kino o dojrzewaniu i samotności.

„THE RIDER" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 23b1ab3917

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

DVD

Gniewny Spike Lee

Spike Lee od dawna nie jest w wysokiej formie. W latach 80. i 90. przecierał szlak dla czarnoskórych reżyserów. Odkrył też najważniejszych afroamerykańskich aktorów ostatnich dwóch dekad. „Czarne bractwo. BlacKkKlansman" to z jednej strony jego najlepszy film od „25 godziny" (2012). Z drugiej strony obraz pokazuje, jak bardzo gniewnym reżyserem wciąż pozostaje twórca „Malcolma X" i „Crooklynu".

Tym razem Spike Lee wziął na tapetę historię absolutnie zdumiewającą. Na początku lat 70. Ron Stallworth (John David Washington) był pierwszym czarnoskórym detektywem w Departamencie Policji w Colorado Springs. Nieufnie traktowany przez większość policjantów i nienawidzony przez rasistów w mundurach próbuje udowodnić swoją wartość. Przez przypadek trafia do niego sprawa ekstremistów związanych z Ku Klux Klanem. Ron wpada na szalony plan zinfiltrowania rasistowskiej organizacji. Z uwagi na kolor skóry nie może tego zrobić sam, więc proponuje akcje detektywowi Flipowi Zimmermanowi (Adam Driver). Policjant, mimo że jest Żydem i ma wyraźne semickie rysy twarzy, zgadza się przystąpić do KKK.

Spike Lee odkurza swój dawny ironiczny humor, doskonale odwzorowuje lata 70. i świetnie się czuje w klimacie policyjnego kina. „BlacKkKlansman" sprawdza się jako kino sensacyjne najwyższych lotów i autentycznie bawi jako opowieść o napuszonych i pełnych nienawiści rasistach zwodzonych przez Murzyna oraz Żyda. Bardzo dobrą główną rolę gra też syn Denzela Washingtona dowodzący, że jego mający dwa Oscary na koncie ojciec może być dumny.

Co jednak z tego, skoro w finale Lee przykrywa go nieznośnym moralizatorstwem i kanciastą, łopatologiczną publicystyką. Zestawianie okropnego rasizmu z czasów segregacji rasowej z latami 70. XX w. i zamieszkami w Charlottesville w 2017 r. jest publicystyką na poziomie lewicowego oszołoma Michela Moore'a. Oczywiście wszystko kończy się ujęciami największego „upiora" dla lewicy, czyli Donalda Trumpa, którego wizerunek w filmie o Ku Klux Klanie lat 70. nie mógł się nie pojawić, nieprawdaż? No ale skoro Moore zrównał obecnego prezydenta USA z Adolfem Hitlerem, to dlaczego Lee miałby nie umieścić go w filmie o rasizmie sprzed 40 lat. Rozumiem, że Lee uważa, iż w USA wciąż szaleje rasizm. Nawet po prezydenturze Baracka Obamy. Ma prawo uważać, że jest za niego odpowiedzialna amerykańska prawica. Czy jednak musi przy tym być tak prostacko łopatologiczny? Szkoda, że obaj filmowcy z niekwestionowanym talentem nie widzą, jak szkodzą swojej sztuce. Mógł być wybitny film sensacyjny. Wyszła szeleszcząca publicystyka.

„CZARNE BRACTWO. BLACKKKLANSMAN"
REŻ. SPIKE LEE, DYSTR. UIP

DVD

Ależ to głupie!

Trwa fatalna passa Johna Travolty, który od dekady (nie licząc świetnej roli w telewizyjnym „American Crime Story. Sprawa O.J. Simpsona") trwoni własną legendę i wizerunek niemal w tak zastraszającym tempie jak Nicolas Cage. „Szybki jak śmierć" powinien mieć tytuł „Wyłącz szybko, bo czeka cię śmierć z zażenowania". Travolta wciela się w biznesmena, który handluje szybkimi łodziami. Niestety sprzedaje je handlarzom narkotyków i mafii. Bawi się przy tym przednio. Seks, szampan i kokaina to jego sproszkowany chleb powszedni. Jak to bywa w takich opowieściach, Travolta będzie musiał uciekać szybciej, niż biegnie goniąca go kostucha. Nasz milioner musi zapłacić cenę za deale z gangusami! Wow! Ależ odkrycie i nowatorska akcja! Dziury logiczne, schemat goniący schemat, scenariusz wyjęty z kina VHS ze Stevenem Seagalem i Travolta o twarzy coraz bardziej nieruchomej od liftingu – oto, co was czeka, jeśli popełnicie mój błąd i obejrzycie ten film. Gdzie te czasy, gdy Travolta błyszczał u De Palmy? Eh...

„SZYBKI JAK ŚMIERĆ" REŻ. JOHN LUESSENHOP, DYSTR. DASAN

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 23b1ab3917

Reparacje.
Próba bilansu

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Około połowy 2018 r. perspektywa reparacji była bardziej niepewna niż kiedykolwiek przedtem. W obliczu najnowszych komplikacji oddolne niemiecko-greckie inicjatywy skapitulowały lub się podzieliły, a grecki rząd trwał w pozycji wyczekującej. W Polsce w sumie nie było inaczej: zespół parlamentarny [ds. oszacowania wysokości reparacji wojennych należnych Polsce od Niemiec – przyp. red.] poczynił wprawdzie godne uwagi postępy, ale rząd nie wyszedł poza deklaracje i powstrzymywał się od oficjalnych kroków. Nie powołano do życia nawet rozważanej w styczniu 2018 r. dwustronnej komisji ekspertów, nie mówiąc już o wdrożeniu skoordynowanej z Grecją i innymi zaangażowanymi rządami interwencji na płaszczyźnie multilateralnej. Wszystko było więc w stanie zawieszenia. Ale też wszystko w kwestii odszkodowań wydawało się nadal możliwe: zarówno uzgodniony na płaszczyźnie transnarodowej nowy początek, jak i całkowity zastój lub nawet ciche zniknięcie całego problemowego obszaru, na co niemiecka biurokracja zajmująca się reparacjami wytrwale czeka od ponad 70 lat.

Ta niepewność ma w sobie coś osobliwego. Oto od kilku lat w sprawie reparacji szczególnie aktywne są dwa kraje, które – każdy na swój sposób – symbolizują głęboki kryzys europejskiego procesu integracji. Grecja to przykład peryferyjnej Europy Południowej i Południowo-Wschodniej. Region ten padł ofiarą dyktatu mocarstwa hegemonicznego, które po załamaniu się spekulacyjnego ekspansyjnego boomu narzuciło mu twardy kurs oszczędnościowy. Podczas gdy większość społeczeństwa greckiego dramatycznie ubożeje, niemieckie instytucje finansowe rok w rok uzyskują miliardowe dochody, które osiągają z odsetek od swoich pakietów pożyczek; jednocześnie przede wszystkim niemieccy inwestorzy bogacą się na najlepszych kąskach pochodzących z przymusowej prywatyzacji majątku publicznego.

Polska stanowi natomiast najważniejszy dla Niemiec kraj środkowo-wschodnioeuropejskiej Grupy Wyszehradzkiej (Polska, Czechy, Węgry i Słowacja). Także te kraje mają jeszcze otwarte rachunki reparacji w stosunku do Niemiec, ale tylko Polska aktywnie występuje na rzecz ich wyrównania. Polska jest jednak również tym krajem Grupy Wyszehradzkiej, który Niemcy od lat 90. najintensywniej przeniknęły pod względem społeczno-gospodarczym i kulturalnym. Jak wszyscy inni partnerzy „rozszerzenia Unii na wschód" z 2004 r. Polska otrzymuje pokaźne środki z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej, na które składają się przede wszystkim Niemcy. Znacznie wyższą sumę wyciągają jednak niemieckie przedsiębiorstwa jako sowite

eprasa.pl 23b1ab3917

Porównanie świadczeń odszkodowawczych na rzecz osób prześladowanych przez narodowy socjalizm w Niemczech, Grecji i Polsce (liczby absolutne dla ofiar narodowego socjalizmu oraz robotników przymusowych), obliczenia własne K.H. Roth, H. Rübner (tłum. M. Bainczyk)

Pochodzenie uprawnionych	Liczba uprawnionych	Kwota całościowa (wartość podstawowa – euro)	Kwota całościowa (wartość na 2018 r. w euro)	Udział na osobę w wartości podstawowej	Udział na osobę w wartości na 2018 r.	Relacje udziału na osobę Grecja/Polska/Niemcyna 2018 r. (w proc.)
Niemcy	2 100 000	64 523 000 000	109 689 100 000	30 725	52 232	100
Grecja	1 010 000	89 490 000	301 770 000	88,6	290,8	0,56
Polska	15 370 000	1 865 140 000	3 950 000 000	121,3	257	0,49

zyski ze swoich polskich oddziałów, w których pracownicy mimo takiego samego nakładu pracy i produktywności otrzymują średnio tylko 40 proc. wynagrodzeń płaconych w Niemczech. W różny, ale pod względem efektu identyczny sposób oba kraje są przez to – reprezentując swój region – degradowane do rangi obiektów nierównego rozwoju – Grecja od niespełna dziesięciu lat, Polska zaś już od trzech dekad. W obu przypadkach niezbędne są zasadnicze korekty, aby zatamować arogancję niemieckiego hegemonicznego mocarstwa i przezwyciężyć destabilizującą nierównowagę. Końcowe rozwiązanie reparacyjne ze swoimi adresowanymi do krajów peryferyjnych świadczeniami transferowymi mogłoby się tu przyczynić do stabilizacji i wyrównania europejskiego rozwoju.

* * *

Społeczno-gospodarczy wymiar reparacji ma jednak również komponent etyczny. Dotyczy on bezpośrednio odpowiednich grup społecznych, a mianowicie z jednej strony ofiar nazistowskiego terroru i ich potomków, z drugiej zaś dzieci i wnuków pokolenia sprawców. Kto razem z ofiarami i ich potomkami domaga się świadczeń odszkodowawczych, ten podejmuje próbę postawienia ich na równej stopie ze sprawcami i ich spadkobiercami. Prawo do świadczeń odszkodowawczych za zbrodnie wojenne i łamanie praw człowieka jest gwarantowane przez prawo międzynarodowe. Kto o nie walczy, konstytuuje się jako równorzędny podmiot prawa. Dochodząc tego roszczenia prawnego, wychodzi ze stanu heloty, do którego zepchnęły go lub poszkodowanych przodków rządy nazistów. Elementem realizacji tego budującego równość aktu prawnego jest to, że wynikające zeń materialne świadczenia odszkodowawcze pozbawiają zobowiązanych do nich dłużników przychodów, które są redystrybuowane na rzecz poszkodowanych. Tylko w ten sposób bowiem możliwe jest odszkodowanie, za którym może (ale nie musi) pójść uznanie przeprosin lub nawet pojednanie. Chodzi właśnie o ten proces: o uznanie równouprawnionej relacji, której warunkiem jest transfer aktywów w celu zrekompensowania zniszczeń materialnych i szkód humanitarnych.

Właśnie dlatego do dziś polityczni przedstawiciele niemieckiego pokolenia sprawców i ich spadkobierców się wykręcali. Ponieważ totalna odmowa naraziłaby ich na międzynarodową izolację, wypracowali przez dziesięciolecia postawę o dwubiegunowej strukturze. Brak zgody na odszkodowania połączono z symbolicznym uznaniem cierpień, które były udziałem ofiar nazistowskiej dyktatury i okupacyjnego terroru. Ofiary są obecnie honorowane w wymiarze medialno-muzealnym i historiograficznym, a jeśli ocaleni ulegli traumatyzacji aż po inwalidztwo psychiczne lub fizyczne, to także oni, podlegający przez dziesiątki lat wykluczeniu, otrzymywali dobrowolną „pomoc humanitarną" z „funduszy nadzwyczajnych". Płatności te nie stanowią jednak podstawy do jakichkolwiek roszczeń prawnych i utrwalają status odbiorców jako podporządkowanych petentów.

W efekcie tego bipolarnego procesu powstał wreszcie przemysł upamiętniania, określany mianem „kultury pamięci". W jego centrum znajdują się z jednej strony coraz silniej różnicowane i odmiennie wartościowane grupy ofiar, które otrzymują zapomogi odpowiadające ich odnośnemu wartościowaniu. Wciąż niewidzialnym przeciwległym biegunem tego centrum jest zaś potężne tabu związane z zakazem reparacji i odszkodowań. Ikony cierpienia nie powinny się w żadnym wypadku wynosić ponad swój status ofiar ani występować na zasadzie równouprawnienia w stosunku do sprawców oraz ich zarządców pamięci z kolejnego pokolenia.

A zatem wynaleziona przez Niemców „europejska kultura pamięci" w ostatecznym rozrachunku nie narusza asymetrii między ofiarami a sprawcami, spowodowanej przez skrajną okupacyjną przemoc. Tam, gdzie przed 75 laty szalał niemiecki terror okupacyjny, panuje dziś finansowana i regulowana przez Niemców „kultura pamięci". Jest ona głęboko hierarchiczna, protekcjonalna i nieszczera. I usiłuje pozbawić gruntu pod nogami wszystkich tych w Europie i w samych Niemczech, którzy od dziesięcioleci zabiegali o pozbawienie grup ofiar statusu helotów w stosunku do pokolenia sprawców, tak aby można było budować suwerenną pracę nad pamięcią.

Karl Heinz Roth
(tłum. A. Peszke)

Autor jest historykiem i lekarzem, pracownikiem Fundacji Historii Społecznej XX w. (SfS) w Bremie, autorem publikacji na temat historii nazizmu i niemieckiej polityki okupacyjnej

Fragment artykułu opublikowanego przez Instytut Zachodni w serii „IZ Policy Papers" nr 27 (I) pt. „Nowa debata w Polsce o reparacjach"

eprasa.pl 23b1ab3917

„Dług reparacyjny jest otwarty i Niemcy mają obowiązek spłaty” – mówi niemiecki historyk Karl Heinz Roth. „Polska, Grecja i inne państwa muszą działać wspólnie”. Wywiad przeprowadzony dla stacji Deutsche Welle 3 października 2018 r. i opublikowany przez Instytut Zachodni w serii „IZ Policy Papers” nr 27 (I) „Nowa debata w Polsce o reparacjach”

Największy niespłacony

W swojej książce poświęconej reparacjom skupia się pan na Grecji. A co z reparacjami dla Polski?

Karl Heinz Roth: Zwróciłem uwagę na reparacje dla Grecji w związku z kryzysem zadłużeniowym w latach 2010–2011, ale już wtedy było dla mnie jasne, że reparacje są generalnym problemem. Grecja to tylko jedno studium przypadku. Przygotowujemy angielskojęzyczne wydanie, w którym przypadek Grecji uzupełnimy o przypadek Polski.

W styczniu ukaże się greckie wydanie książki. Ma pan w planach także polskie?

Rozmawiamy o tym z Instytutem Zachodnim. Niebawem w „Przeglądzie Zachodnim” ukaże się mój obszerny artykuł na temat niemieckiej polityki reparacyjnej ze szczególnym uwzględnieniem Polski.

Jakie są najważniejsze różnice w polityce reparacyjnej i długu reparacyjnym między Polską a Grecją? Bo przecież stopień zniszczenia obu krajów był różny.

Zniszczenia w Polsce miały bez wątpienia największy rozmiar. Tam też Niemcy działali według systematycznego planu – Generalnego Planu Wschodniego. Chcieli zgermanizować Polskę. To był systematyczny plan zagłady. Grecji natomiast Niemcy nie chcieli germanizować. Chodziło tylko o bazy dla floty i lotnictwa w Salonikach i na Krecie, poza tym szukali możliwości kolaboracji. W Grecji zostali nieoczekiwanie skonfrontowani z siłą oporu. To łączy obydwa kraje. Wtedy rozpoczęli masakry, ale nie krył się za tym żaden plan zniszczenia. Różnica dotyczy też liczb. W Polsce poprzez akty przemocy nazistowskiego okupanta zginęło 5,4 mln ludności cywilnej. W Grecji – 330 tys. Ta ilościowa różnica widoczna jest także w innych obszarach. Zarówno Polska, jak i Grecja podzieliły los tzw. małych aliantów. W polityce reparacyjnej zostały zepchnięte na margines. I tak jest do dziś.

Zaczął pan badać przypadek Grecji na początku kryzysu zadłużeniowego, wychodząc z propozycją, by wyrównać zadłużenie za pomocą nigdy niezwróconej „pożyczki”, do której Niemcy zmusiły grecki bank centralny. Czy to realistyczna propozycja?

Zdystansowałem się od tego pomysłu, ale miał on dobre strony. Propozycja ta pochodziła m.in. od ekonomistów, którzy przypomnieli, że w różnych przypadkach darowano Niemcom długi, np. umowa londyńska z 1953 r. przewidywała redukcję wszystkich długów o 50 proc.

eprasa.pl 23b1ab3917

dług

Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Teraz jestem przekonany, że mamy do czynienia z odmiennymi problemami. Kwestia odszkodowania to problem etyczny. Jest oczywiście uzasadniona ekonomicznie i przez prawo międzynarodowe, ale nie powinno się tego łączyć z aktualnymi problemami ekonomicznymi. W nowym wydaniu mojej książki polemizuję z ekonomistami, którzy przy swoich obliczeniach długu reparacyjnego zamienili wyliczoną wartość zniszczeń i strat w fikcyjną pożyczkę i oprocentowali ją. Przez to dług reparacyjny został skomercjalizowany. We własnych obliczeniach zrezygnowałem z oprocentowania, co nieraz jest mniej korzystne dla wierzycieli, ale za to niepodważalne. Chodzi o to, by otwarcie i szczerze rozwikłać ten spór, bez taktycznych manewrów. To ostatnia szansa uporania się z reparacjami. Powinniśmy grać w otwarte karty.

I co pan wyliczył?

Przypomnijmy, że Ateny mówią o 380 mld euro, Mularczyk [Arkadiusz Mularczyk, poseł PiS, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej] mówił swego czasu o 1 bln dolarów, teraz sumę tę zredukował.

Instrument bazowy wszystkich zniszczeń i strat ludzkich spowodowanych przez Niemcy w czasie II wojny światowej to prawie 500 mld dolarów w warunkach z 1938 r. Obecnie to prawie 7,5 bln euro. Bez oprocentowania. Dla Polski straty materialne, ludzkie i za niewynagrodzoną pracę przymusową wyceniliśmy na 78 mld dolarów w roku 1938. Dzisiaj to ponad 1 bln euro. W przypadku Grecji suma, którą wyliczyliśmy – bez oprocentowania – jest niższa niż komisji parlamentarnej i wynosi 190 mld euro.

Nigdy nie będzie możliwe spłacenie całego długu i zawsze będzie chodziło tylko o niewielką część. Może jedną dziesiątą, może jedną piątą. Niemcy mają obowiązek spłaty odszkodowania. Dla Polski ta sytuacja jest ewidentna. Trzeba też uwzględnić, jaką sumę odszkodowania i reparacji Niemcy zapłaciły już Polsce.

Wielu ekspertów odróżnia reparacje od indywidualnych odszkodowań.

Nie podzielam tego stanowiska. Również indywidualne odszkodowania należą do kompleksu reparacji i są rekompensowane umowami dwustronnymi.

Niektórzy proponują, by zamiast o reparacjach mówić o łatwiejszych do przeforsowania odszkodowaniach dla poszczególnych grup ofiar czy renowacji określonych budynków. Czy to dobry postulat?

Można to uznać za propozycję. Na niedawnej konferencji w Warszawie szef Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie mówił, że w Polsce żyje jeszcze ok. 40 tys. byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy nie dostali odszkodowania, bo nie są Żydami. Większość z nich żyje w ubóstwie i jest schorowana. RFN musiałaby okazać dobrą wolę i wypłacić im dodatek do emerytury. To samo dotyczy remontu budynków czy środków na utrzymanie miejsc pamięci w Polsce. To byłby pierwszy krok.

Karl Heinz Roth, Hartmut Rübner, „Reparationsschuld. Hypotheken der deutschen Besatzungsherrschaft in Griechenland und Europa" („Dług reparacyjny. Hipoteki niemieckiej władzy okupacyjnej w Grecji i Europie"), Metropol Verlag 2017

Na początku ubiegłego roku szefowie MSZ Polski i Niemiec oświadczyli, że dyskusją na temat reparacji muszą się zająć eksperci. Czy zorganizowana we wrześniu konferencja w Warszawie była tego początkiem?

Mam taką nadzieję. Organizatorem był Instytut Zachodni. Początkowo miałem duże zastrzeżenia, czy wziąć w niej udział, bo różni historycy ostrzegali mnie przed instrumentalizacją. Mamy teraz do czynienia z polityczną dyskusją na temat reparacji, ale przez moje kontakty z polskimi historykami od lat 80. wiem, że kwestia ta jest niezależna od nastawienia obecnego rządu. Dlatego zdecydowałem się pojechać. Była to po części bardzo turbulentna, ale otwarta naukowa dyskusja. Stworzyliśmy grunt do dalszych.

Nie miał pan wrażenia, że jest postrzegany jako Niemiec, który przyjechał już z konkretną propozycją?

Być może było to tak postrzegane, ale myślę, że raczej dominowało

eprasa.pl 23b1ab3917

zdziwienie, że w ogóle Niemiec przyjeżdża z taką postawą. Ja nie czuję się Niemcem. Czuję się kosmopolitą, a jeśli gdzieś zakotwiczonym, to Europejczykiem.

Rząd Niemiec poczuwa się do odpowiedzialności za zbrodnie nazizmu, ale sprawę reparacji uznaje za zamkniętą. Odpowiedź na roszczenia jednego kraju to jak otwarcie puszki Pandory.

Przykro mi, ale tę puszkę trzeba otworzyć. To mogą być tylko pierwsze kroki w kierunku Grecji czy Polski. Są jeszcze inne kraje, w których przez lata były podobne inicjatywy: Czechy, Węgry, Włochy, była Jugosławia. Obecnie w mediach słyszymy o Polsce i Grecji. Moim zdaniem chodzi o multilateralne rozwiązanie. Tylko w ten sposób może zostać spłacony ten ogromny dług reparacyjny. Optymalna byłaby zatem wspólna inicjatywa Grecji, Polski, krajów byłej Jugosławii, Włoch i innych państw odnośnie do multilateralnej konferencji w nawiązaniu do traktatu dwa plus cztery. Traktat ten był faktycznie traktatem pokojowym i kwestia reparacji została w nim pominięta. Była to decyzja niekorzystna dla państw, które nie były sygnatariuszami traktatu, i w takim przypadku nie jest on dla nich wiążący. Rząd Niemiec o tym wie, jak i o tym, że dług reparacyjny nie ulega przedawnieniu i jest w dalszym ciągu otwarty. Według ekspertów prawa międzynarodowego sytuacja jest jednoznaczna. Niemiecki rząd najbardziej obawia się wspólnego postępowania mniejszych państw alianckich, czyli tych, które bezpośrednio ucierpiały pod niemiecką okupacją w Europie Wschodniej, Środkowej, Południowej itd. Istnieje nawet odpowiednie gremium – to Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. OECD ma komisję rozjemczą, która najwyraźniej nigdy jeszcze nie została zwołana. Miałoby to tę zaletę, że kraje, które nie są w UE, jak Białoruś czy Ukraina, mogłyby uczestniczyć w negocjacjach. To moja propozycja.

Na razie chcą współpracować z sobą komisje parlamentarne Grecji i Polski, ale mówił pan kiedyś, że Syrizie opadły już ambicje odnośnie do reparacji...

Wszystko wskazuje na to, że teraz rzeczywiście ruszy inicjatywa w sprawie reparacji. Najpierw zostanie opublikowany raport komisji parlamentarnej i – mam nadzieję – wkrótce po nim ukaże się polski raport, a oba parlamenty będą się domagać negocjacji. To byłby ważny krok, bo Polska i Grecja są promotorami w tym postępowaniu. Inne kraje zrezygnowały. Czechy na przykład oświadczyły, że nie będą popierać Polski. Zresztą po wizycie niemieckiego polityka. A Syrizą byłem naprawdę rozczarowany. Do ustępstw miało dojść pod wpływem dużego nacisku. I dla mnie jest jasne, że żaden kraj samodzielnie – czy to Polska, czy Grecja – nie jest w stanie wywrzeć presji na potęgę hegemonialną, jaką są Niemcy, aby wyraziła gotowość do takich dyskusji. Tylko skoordynowane działanie ma szansę.

Nie obawia się pan, że otworzy to dyskusje terytorialne, np. o ziemie zachodnie albo będzie pożywką w Niemczech dla populistycznej AfD?

Musimy wyłożyć na stół wszystkie karty. Do nich należy też kwestia ziem zachodnich i obszarów na wschód od Odry i Nysy. Transfer ziem na wschód od linii Odra–Nysa był według prawa międzynarodowego świadczeniem reparacyjnym. Znalazłem na ten temat sowieckie i polskie dokumenty, które nie są w Polsce tak dobrze znane, a które zawierają też liczby. Można się nimi posłużyć – a zatem Polsce spłacono już 10–12 proc. roszczeń reparacyjnych. Populistom można przekazać, że uwzględnione jest nawet wyrównanie obciążeń, czyli straty majątku m.in. na Górnym Śląsku. Pójdźmy krok dalej – na konferencji poczdamskiej Polsce jako pośrednie świadczenie przyznano teren na wschód od Odry i Nysy, ale jednocześnie Polska straciła swoje tereny na wschodzie, co też trzeba uwzględnić. I w tym przypadku istnieją oficjalne dane, które Bierut wymienił już w sierpniu 1945.

Nie obawia się pan, że zaszkodzi to polsko-niemieckiemu pojednaniu?

Dotychczasowa praca na rzecz polsko-niemieckiego pojednania jest niezwykle ważna, ale – proszę mnie źle nie zrozumieć – jest bez prawdziwej podstawy. Podstawa będzie wtedy, jeśli zostanie uregulowany dług reparacyjny, nawet jeśli stanowi on tylko niewielką część. Dotyczy to także Grecji.

Rząd Niemiec w ostatniej umowie koalicyjnej zapisał intensyfikację inicjatyw Polsko-Niemieckiej Wymiany Młodzieży, towarzystw polsko-niemieckich czy działań w miejscach pamięci. Kultura pamięci ma zostać wzmocniona, ale tylko po to, by zneutralizować problem reparacji. Uważam to za niewłaściwe, a nawet cyniczne. Grać jednym na koszt drugiego jest bardzo niebezpieczne. Uważam, że prawdziwy fundament pojednania jeszcze nie istnieje i o tym świadczy polityczny rozwój w Polsce ostatnich lat, ale i w RFN.

Dyskusja na temat reparacji przebiega w Polsce bardzo emocjonalnie. W niemieckich kręgach eksperckich również?

Byłem atakowany, denuncjowany, w sieci pojawiały się recenzje zawierające fejki. Z drugiej strony na prezentacjach mojej książki spotkałem się z dużym odzewem. Dominuje jednak milczenie.

Z obawy, że tych pieniędzy będzie brakować w Niemczech?

Republika Federalna Niemiec od czasu zjednoczenia w 1990 r. dokonała transferu do byłej NRD w wysokości 1,2 bln euro i ten transfer nie zaszkodził, wprost przeciwnie. Taką sumę można uiścić w ciągu 10–20 lat bez uszczerbku dla społeczeństwa, kas socjalnych, a nawet systemu podatkowego. To ekonomicznie możliwe.

Rozmawiała Katarzyna Domagała

Dr Karl Heinz Roth
jest historykiem i lekarzem, pracownikiem Fundacji Historii Społecznej XX w. (SfS) w Bremie, autorem publikacji na temat historii nazizmu i niemieckiej polityki okupacyjnej

eprasa.pl 23b1ab3917

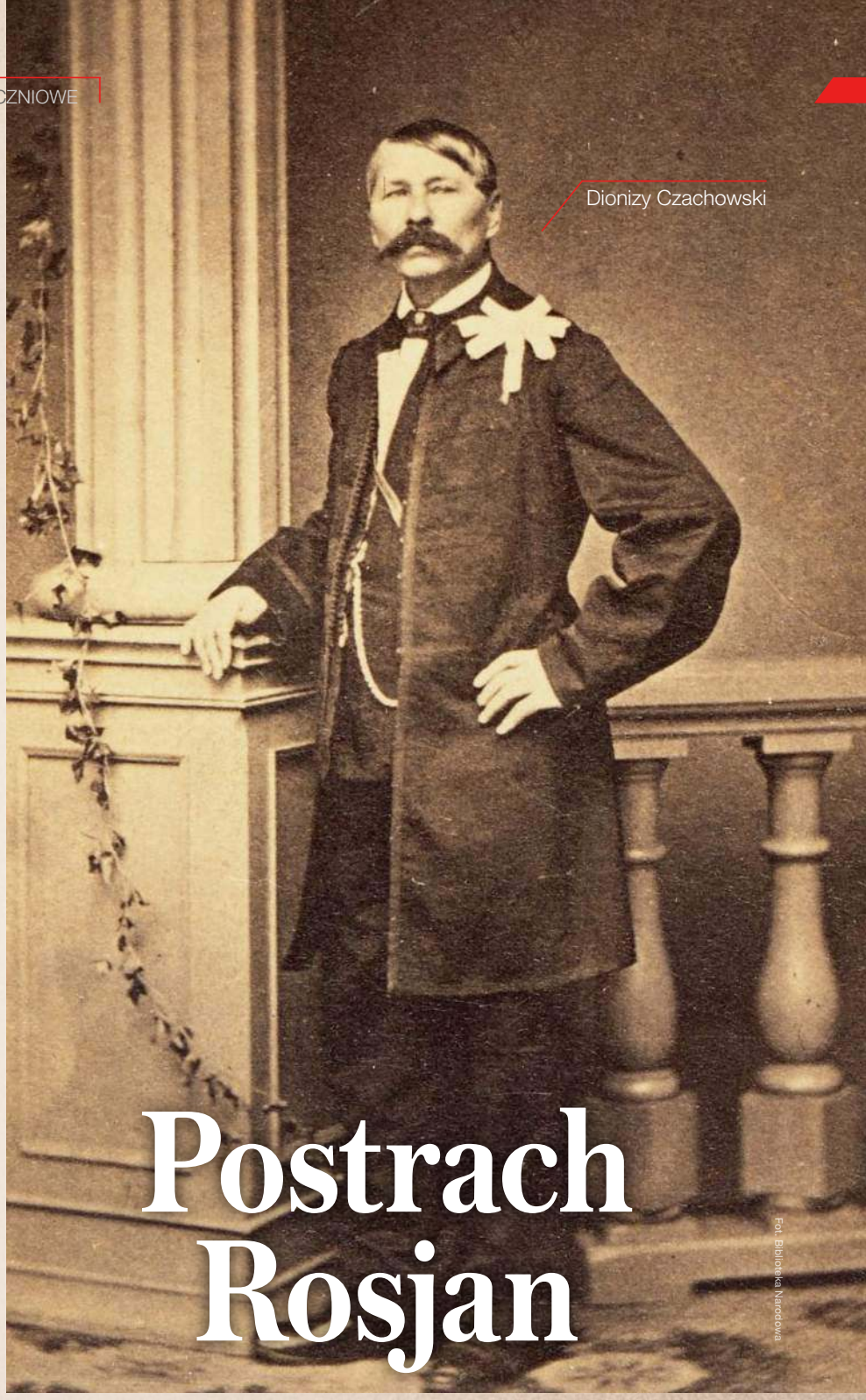

Dionizy Czachowski

Fot. Biblioteka Narodowa

Postrach Rosjan

Dionizy Czachowski to jeden z najbardziej legendarnych dowódców powstania styczniowego. Konsekwentnie utrzymywał ruch insurekcyjny w jego najtrudniejszych momentach. Najpierw był ważnym ogniwem korpusu gen. Mariana Langiewicza, a potem ostoją polskiej sprawy w Sandomierskiem. Działania wojskowe partii Czachowskiego pozwoliły przetrwać powstaniu na południu Królestwa Kongresowego najtrudniejszy okres i dały podstawy do jego rozwoju wiosną i latem 1863 r.

ARTUR JAGNIEŻA

Dionizy Czachowski urodził się 5 kwietnia 1810 r. w Niedabylu, miejscowości położonej 8 km na północny wschód od Białobrzegów nad Pilicą. Pochodził z bardzo zubożałej szlachty. Dzieciństwo prawdopodobnie spędził w dworku w Gutowie. Uczył się w Gimnazjum Pijarów w Radomiu, które ukończył w 1829 r. Przekazy źródłowe wskazują, iż w czasie nauki opiekował się nim stryj, co może potwierdzać jego trudną sytuację materialną. Zagadką pozostaje udział Dionizego Czachowskiego w powstaniu listopadowym. Co prawda jego żołnierze w pamiętnikach pisali o swoim dowódcy jako byłym oficerze z czasu tamtego powstania, ale brak na to jednoznacznych dowodów. Ponadto we wrześniu 1831 r., kiedy powstanie jeszcze trwało, wziął ślub z Eufemią Kaliszówną. Założenie rodziny spowodowało, że zamieszkał jako dzierżawca z żoną w Dąbrówce Nagórnej. W 1837 r. wystąpił do Heroldii

eprasa.pl 23b1ab3917

Królestwa Polskiego o potwierdzenie przynależności do stanu szlacheckiego, co po długich perturbacjach zostało potwierdzone w 1843 r. Jego trudną sytuację materialną poprawiło otrzymanie spadku po babce w postaci majątku Worobijówka na Ukrainie, którym dotychczas zarządzał stryj Piotr Czachowski. Małżeństwo Dionizego Czachowskiego zaowocowało pojawieniem się na świecie siedmiorga dzieci. Niestety przy urodzeniu ostatniej córki Eufemia umarła. Żona z pewnością była bezgraniczną miłością Dionizego, ponieważ będąc 39-letnim wdowcem, nie zawarł już potem nowego związku małżeńskiego. Prawdopodobnie ok. 1858 r. po sprzedaży Worobijówki i śmierci stryja Czachowski wrócił z dziećmi w rodzinne strony i zamieszkał w Jankowicach, wsi położonej 15 km na północny zachód od Radomia.

Powrót na ziemię radomską zbiegł się w czasie z odrodzeniem aspiracji narodowych. Czachowski od początku musiał się zaangażować w działalność patriotyczną, skoro w marcu 1861 r. brał udział jako delegat województwa sandomierskiego w pogrzebie pięciu poległych w Warszawie (zginęli w starciu z wojskami rosyjskimi podczas manifestacji politycznej z 27.02.1861 r.). O jego wysokiej pozycji wśród spiskowców świadczyć też może to, że w początkowym okresie organizacji wojsk Mariana Langiewicza pełnił funkcję jego szefa sztabu.

POD KOMENDĄ LANGIEWICZA

Nie jest do końca potwierdzone, czy Dionizy Czachowski brał udział w nocy 23 stycznia 1863 r. w nieudanym ataku na Szydłowiec zorganizowanym przez Langiewicza. Faktem jest jednak, że już następnego dnia był obecny z synami w obozie naczelnika województwa sandomierskiego i przystąpił do prac organizacyjnych. Langiewicz, widząc jego zdolności wojskowe, powierzył nowo mianowanemu majorowi wojsk powstańczych dowodzenie III batalionem jego zgrupowania oraz zadanie zajęcia Suchedniowa i przecięcia komunikacji między wojskami rosyjskimi. Z zadania tego wywiązał się znakomicie, staczając 1 lutego zwycięską potyczkę pod Błotami. Następnego dnia z zaskoczenia rozbił rosyjskich dragonów pod Bzinem i wykonał odwrót w stronę Parszowa. Pozwoliło mu to połączyć się z Marianem Langiewiczem, a następnie 3 lutego stoczyć bitwę pod Wąchockiem. W trakcie walk batalion Czachowskiego poczynał sobie bardzo dzielnie, niemniej w wyniku załamania się batalionu kosynierów strona polska przegrała bitwę. Odwrót podległych sobie oddziałów Czachowski przeprowadził wzorowo, co zaczęło stanowić jego znak firmowy i pozwalało mu w przyszłości unikać najgorszych konsekwencji przegranych starć.

12 lutego wojsko Czachowskiego wzięło udział w ciężkiej bitwie zgrupowania Langiewicza u podnóża Świętego Krzyża, odpierając skutecznie ataki płk. Ksawerego Czengiery, tym samym walnie przyczyniając się do pokrzyżowania rosyjskich planów zniszczenia zgrupowania naczelnika województwa sandomierskiego.

Związany losem żołnierskim z Langiewiczem wziął udział w kolejnej dużej bitwie 24 lutego pod Małogoszczą. Batalion Czachowskiego tym razem osłaniał walkę i manewr wojsk powstańczych, walnie przyczyniając się do sukcesu strony polskiej. Zarówno żołnierze naszego bohatera, jak i ich dowódca wykazali się kolejny raz poświęceniem i zachowaniem zimnej krwi, co pozwoliło we względnym porządku znowu wykonać odwrót i uniknąć rozbicia wojsk powstańczych.

Z kolei 4 marca Czachowski bił się pod Pieskową Skałą, gdzie przyszedł z odsieczą zagrożonym wojskom Langiewicza, co pozwoliło następnego dnia odnieść połączonym siłom Langiewicza i Antoniego Jeziorańskiego zwycięstwo pod Skałą. Rozbiwszy kolumnę Rosjan dowodzoną przez mjr. Stolzenwalda, powstańcy znowu odzyskali swobodę działania. W międzyczasie Czachowski awansował, zostając dowódcą II pułku zgrupowania Langiewicza. W tej roli brał udział 17 marca w dużym zwycięstwie Polaków pod Chroberzem, gdzie zdobyto na Rosjanach dwie armaty i dużą liczbę karabinów z amunicją. Następnego dnia w bitwie pod Grochowiskami strzelcy płk. Czachowskiego razem ze słynnymi żuawami śmierci przyczynili się do pięknego zwycięstwa.

SAMODZIELNY ZAGOŃCZYK

Po bitwie pod Grochowiskami Langiewicz, nominowany na dyktatora powstania, postanowił zdać dowodzenie nad swoimi wojskami i udać się do zaboru austriackiego, aby w Krakowie uporządkować sprawy organizacyjno-polityczne powstania i wrócić na pole walki. Decyzja ta okazała się niefortunna, ponieważ dyktator, rozpoznany na granicy przez austriackiego żołnierza, został internowany. W tym czasie płk Czachowski, który na czele 300-osobowego oddziału opuścił pole bitwy w okolicach Grochowisk, pobił 20 marca Rosjan pod Potokiem i przebił się w stronę Gór Świętokrzyskich oraz na ziemię radomską. Pozwoliło to jego żołnierzom na dłuższą, jak na warunki powstania styczniowego, chwilę odpoczynku.

Do następnej potyczki doszło dopiero 16 kwietnia w Grabowcu, którego Czachowski nie próbował dłużej bronić w obawie przed okrążeniem. Znowu instynkt partyzanta go nie zawiódł, czego pośrednim dowodem są porażki pod Brodami i Grzybową Górą okolicznych oddziałów powstańczych, które zaczęły ściągać pod jego komendę. Trudno zatem nie zgodzić się z opinią, że działania płk. Czachowskiego walnie się przyczyniły do podtrzymania ruchu powstańczego. Józef Kajetan Janowski w swoim pamiętniku podał, że „na przełomie marca i kwietnia powstanie ożywiał tylko pułkownik Czachowski". Z kolei ksiądz Serafin Szulc, pisząc wspomnienia w sierpniu 1866 r., zaznaczył: „Jemu się cześć należy, że ze znacznego oddziału langiewiczowskiego przynajmniej część uratowana została od zmarnienia". W pełni zrozumiała jest więc nominacja Rządu Narodowego na stanowisko naczelnika województwa sandomierskiego, jaką otrzymał płk Czachowski w okolicach 15 kwietnia 1863 r. Trudno byłoby obiektywnie wskazać wtedy kogoś bardziej godnego na to stanowisko po gen. Langiewiczu.

Determinacja, zmysł organizacyjny i talent dowódczy pozwoliły płk. Czachowskiemu pobić mocno Rosjan 22 kwietnia pod Stefanowem, a także w trakcie pogoni kawaleryjskiej pod

eprasa.pl 23b1ab3917

Gielniowem. Wtedy też w odwecie za dotychczasowe rosyjskie okrucieństwo na rannych jeńcach polskich i ludności cywilnej Czachowski rozkazał powiesić ośmiu rosyjskich jeńców na czele z oficerem. W sukcesie wojskowym z pewnością pomogły pułkownikowi siły nowego 250-osobowego oddziału pod dowództwem Andrzeja Łopackiego, który przybył wesprzeć powstanie z Galicji.

Dwa dni potem, 24 kwietnia, żołnierze podlegli Czachowskiemu stoczyli szczęśliwą potyczkę z rosyjskimi dragonami pod Michałowem. Pozwoliło mu to zająć opuszczone przez Rosjan Puławy, a potem dokonać przemarszu przez Zwoleń, Lipsk, Tarłowo i Ożarów i wszędzie wzmacniać cywilną władzę powstania oraz budować zaplecze logistyczne dla insurekcji.

W pierwszym tygodniu maja płk Czachowski odniósł kolejne sukcesy. Najpierw 3 maja zniósł drobne oddziały nieprzyjaciela pod Limierzem, a następnego dnia podległy mu oddział płk. Kononowicza rozpędził dwie rosyjskie roty pod Magnuszewem. Sam Czachowski pod Jeziorkami pobił kolumnę mjr. Klewcowa, zadając jej ciężkie straty. 5 maja musiał co prawda ustąpić w obliczu marszu kolumny mjr. Gołubiewa pod Rzeczniowem, niemniej nadal zachował zdolność do prowadzenia uciążliwych dla wojsk zaborcy działań nieregularnych, a co najważniejsze, strona rosyjska pozostawiła go na blisko dwa tygodnie w spokoju.

Dzieląc swoją partię powstańczą na mniejsze oddziały celem lepszej organizacji aprowizacji, 26 maja pod Smardzewem i Pierzchnią został zaatakowany przez przeważające siły rosyjskie. Tracąc 23 podkomendnych, w tym dwóch oficerów, znowu umknął obławie. Przewaga liczebna Rosjan w polu była jednak coraz bardziej odczuwalna. Klucząc po lasach, stoczył jeszcze 8 czerwca szczęśliwą walkę pod Rusinowem, gdzie mimo przewagi nieprzyjaciela wyprowadził z groźby zniszczenia swój blisko 400-osobowy oddział. Podobnie było dzień później w walce z rosyjską pogonią pod Przysuską, Niekłaniem i Czarną. W miejscowości Bobrza 10 czerwca stoczył nietypową dla siebie walkę, broniąc się przed przeważającymi siłami nieprzyjaciela w oparciu o opuszczone gmachy fabryki Banku Polskiego.

Marian Langiewicz

Fot. Biblioteka Narodowa

Pierścień rosyjskiej obławy zaczynał się jednak zaciskać. Z tego względu w czasie nocnej narady podjęto dramatyczną decyzję, że gdyby potwierdziły się obawy całkowitego okrążenia oddziału, na umówiony sygnał wystrzałów ze strony straży przedniej i tylnej cały oddział miał wykonać komendę „rozsypać się". W konsekwencji tej decyzji następnego dnia pod Ratajami w wyniku naporu przeważających rot smoleńskich oddział płk. Czachowskiego uległ czasowemu rozproszeniu. Sam naczelnik województwa sandomierskiego szczęśliwie umknął rosyjskiemu polowaniu.

Wielu historyków wojskowości uznaje, że sposób prowadzenia działań przez doświadczonego partyzanta był wręcz wzorcowy. Czachowski potrafił znakomicie wykorzystywać znajomość terenu, z dużym wyczuciem przemieszczał podległe sobie oddziały z miejsca na miejsce, manewrował niezwykle sprawnie między obławami Rosjan i, co wszyscy podkreślają, zachowywał żelazną dyscyplinę w swojej partii powstańczej. Ocenę płk. Czachowskiego dopełnia jego determinacja w krzewieniu idei powstania na terenach prowadzonych działań.

Płk Czachowski miał dość jasne kryterium oceny własnych rodaków – dzielił ich na tych, którzy sprzyjają powstaniu, oraz na tych, którzy są mu niechętni lub wręcz przeciwni. Z tego względu potrafił karać śmiercią chłopów, którzy ostentacyjnie działali przeciw powstaniu lub przekazywali Rosjanom informację o przemarszach partii powstańczych, innych chłopów zaś bronić przed niesłusznymi rekwizycjami. Potrafił też konfiskować majątki szlachty, której stosunek do powstania był przeciwny lub obojętny. Niewątpliwie te 58 dni samodzielnej walki Czachowskiego nie były okresem straconym dla sprawy narodowej.

POWRÓT DO WALKI

Prawdopodobnie 17 czerwca 1863 r. płk Czachowski pojawił się w Krakowie. W oczach pamiętnikarzy jawi się jako osoba niezwykle zdeterminowana. Cel miał jeden: jak najszybsze odtworzenie własnej partii powstańczej oraz powrót na pole walki. W połowie 1863 r. Dionizy Czachowski był już żywą legendą powstania. Z racji 53 lat i noszonej brody był postrzegany jako człowiek wręcz stary. Tymczasem jego energia, polot i spryt nakazywały widzieć w nim dowódcę z młodzieńczą fantazją. Mimo utrzymywanej we własnych oddziałach żelaznej dyscypliny żołnierze darzyli go zaufaniem, a Rosjanie po prostu się go obawiali.

Po odpoczynku w zaborze austriackim w ramach nowej ofensywy zaplanowanej przez stronę polską 20 października pułkownik na czele oddziału liczącego 500 żołnierzy piechoty i 150 jazdy wkroczył z powrotem do Królestwa. Znosząc strażnicę austriacką, pokonał w Rybnicy stojących na osi jego marszu Rosjan, zadając im duże straty. Następnego dnia

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Biblioteka Narodowa

Potyczka oddziału ks. A. Mackiewicza z Rosjanami, rycina Godefroya Duranda

jego oddział został jednakże dosłownie osaczony w Jurkowicach. Wojska Czachowskiego stoczyły tu krwawy bój z Rosjanami, ponosząc niezwykle ciężkie straty. W wyniku walk poległo blisko 90 Polaków, 140 zostało rannych, a 50 dostało się do niewoli. Zbudowany z takim trudem w Galicji oddział uległ w praktyce zniszczeniu. Zrzucanie jednak odpowiedzialności za to na płk. Czachowskiego jest nieporozumieniem. Od momentu przekroczenia granicy przez Polaków widoczne było bardzo dobre przygotowanie Rosjan do odparcia polskiego uderzenia. Przed takim obrotem sprawy przestrzegał Czachowski jeszcze w Krakowie, sugerując inny pomysł na wkroczenie w granice Królestwa celem zmylenia rosyjskiej czujności. Niewielu jednak chciało go słuchać, stąd klęska planów polskiej ofensywy.

OTOCZONY W WIERZCHOWISKACH

Czachowski nie zamierzał wzorem cieplarnianych generałów i pułkowników z Krakowa wrócić bezpiecznie na teren zaboru austriackiego. 23 października na czele niewielkiego oddziału jazdy, który nie uległ zniszczeniu w bitwie pod Jurkowicami, odwiedził księdza Jana Dąbrowskiego na plebanii w Kunowie. Świadkowie tej wizyty mieli nieodparte wrażenie, że płk Czachowski wybrał świadomie walkę do końca. Stąd jego zachowanie w okolicach 1 listopada sprawiało wrażenie, że przygotowywał się do śmierci. Wybrał marsz ku swojemu przeznaczeniu.

Ranek 6 listopada 1863 r. nie wróżył niczego dobrego. Wiadomo było, że Rosjanie poprzez swoich donosicieli wpadli na trop pułkownika i już 3 listopada wysłali za nim pościg w składzie 54 dragonów, 10 kozaków i 75 strzelców. Całością dowodził por. Assijew. Większość oddziału jazdy, z którym poruszał się polski pułkownik, dotarła do wsi Krępa i tam została zaatakowana przez Rosjan. Ustępując przed rosyjskim natarciem, Czachowski w towarzystwie ok. 10 kawalerzystów wycofał się do wsi swojej córki – Wierzchowisk. W samych Wierzchowiskach został otoczony przez rosyjskich dragonów oraz piechotę. Tu tym razem opuściło go żołnierskie szczęście. Próbował się konno przedrzeć przez szeregi rosyjskie, lecz w trakcie walki został ciężko ranny. Leżącego na ziemi pułkownika dobili dwaj carscy oficerowie. Tak sponiewierane ciało Rosjanie położyli na wozie i wieźli triumfalnie w kierunku Radomia, zatrzymując się w każdej wsi przed karczmą. Tam pokazywali jego ciało z okrzykiem: „Oto wasz Czachowski! Oto wasz król Polski!". Aż trudno uwierzyć, że człowiek, który potrafił wybrnąć z tak nieprawdopodobnie trudnych sytuacji na polu walki, poległ w takich okolicznościach.

Dopełnieniem całego dramatu było to, iż Rosjanie odmówili najbliższym pochowania ciała Czachowskiego na cmentarzu radomskim. W drodze wyjątku zgodzili się, aby ostatecznie pochować bohatera powstania na cmentarzu w Bukównie bez krzyża i jakiegokolwiek pomnika. Pogrzeb pułkownika odbył się w nocy z 10 na 11 listopada 1863 r. w obecności kozaków i trojga Polaków.

PAMIĘĆ

Dionizy Czachowski zapisał się godnie na kartach historii oręża polskiego. Pamięć o jego czynie zbrojnym na ziemi radomskiej i terenach województwa sandomierskiego była żywa. W okresie II Rzeczypospolitej stacjonujący w Radomiu 72. pułk piechoty w związku z uroczystym przeniesieniem szczątków bohatera powstania styczniowego z Bukówna do Radomia postanowił przyjąć płk. Czachowskiego za swojego patrona. Fakt ten został potwierdzony w Dzienniku rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych (Rok XX, nr 12) z 25 września 1937 r. Dziś można oddać mu hołd w kompleksie klasztornym oo. Bernardynów w kościele pw. świętej Katarzyny w Radomiu, gdzie znajduje się sarkofag z prochami pułkownika.

eprasa.pl 23b1ab3917

Zbieranie ziemi ruskiej

Fot. Shutterstock, Fot. Andrzej Skwarczyński

PIOTR SKWIECIŃSKI

Czy za rok liczba naszych sąsiadów się zmniejszy, a na wschodniej granicy Rzeczypospolitej pojawi się to coś, co zawsze wywoływało traumę Polaków, czyli „ruskie tanki”?

Jeszcze rok temu takie pytanie mógł postawić tylko wielbiciel fantastyki politycznej. Dziś problemem tym zajmują się czołowi eksperci ze światowych think-tanków. I raczej unikają jednoznacznych odpowiedzi.

TEN IRYTUJĄCY BAĆKA

Nie da się zrozumieć tego, co dziś się dzieje między Białorusią a Rosją, bez przypomnienia tego, co między nimi działo się niegdyś.

Otóż teraz Moskwa powołuje się na rosyjsko-białoruski traktat z 1999 r. przewidujący zacieśniającą się integrację i utworzenie – mającego stać się realnym podmiotem międzynarodowym – związkowego państwa Rosji i Białorusi. Na traktat podpisany wówczas pod wpływem i, o czym dziś się często zapomina, przede wszystkim z inicjatywy samego prezydenta Białorusi, „Baćki” Aleksandra Łukaszenki, mającego wtedy, w końcówce rządów przygotowującego się do odejścia Borysa Jelcyna, nadzieję na zostanie ni mniej, ni więcej, tylko głową całego państwa, będącego czymś w rodzaju zreintegrowanego ZSRR.

Ten traktat był bardzo śmiały. Został podpisany, ale Łukaszenka nie stał się następcą Jelcyna. Przestał więc być zainteresowany integracją, a raczej zaczął mieć interes w tym, żeby ta nie następowała. W ciągu niemal już 20 lat rządów Władimira Putina Moskwa już kilkakrotnie próbowała zmusić Mińsk do wykonania zapisów traktatu. Za każdym razem Białoruś trochę ustępowała, ale generalnie ocalała niezależność.

Bronią Moskwy w tej rozgrywce była i jest gospodarka. Białoruś jest uzależniona od sprzedawanej jej po preferencyjnych cenach rosyjskiej ropy, którą przerabia w swoich rafineriach. Choć jest to oręż niemal masowego rażenia, ale dotąd nie był stuprocentowo skuteczny. Łukaszence zawsze udawało się przeczekać kolejne przypływy rosyjskiej woli politycznej.

eprasa.pl 23b1ab3917

Co więcej, nie tylko unikał integracji, lecz prowadził też politykę w wielu aspektach Moskwę drażniącą. Choć w sensie wojskowym jest sojusznikiem Putina, to nie potępił Ukrainy po Majdanie, nie podtrzymał narracji o „banderowskiej, kijowskiej juncie", przestrzegał neutralności i upominał obie strony. Parokrotnie pozwalał sobie na aluzje, że obawia się próby pozbawienia Białorusi niepodległości w sposób podobny do tego, jaki Rosjanie zastosowali na Ukrainie. Białoruś zaczęła zarabiać na statusie pośrednika pomagającego zachodnim producentom omijać rosyjskie gospodarcze kontrsankcje. Rzecz jasna Mińsk nie uznał też niepodległości separatystycznych „ludowych republik" w Donbasie, podobnie jak przedtem nie uznał za niepodległe innych kontrolowanych przez Rosjan tworów parapaństwowych – Abchazji i Osetii.

Wszystko to oczywiście irytowało Kreml. Ale nie to było głównym powodem obecnej politycznej ofensywy Moskwy.

NOWA KORONA DLA CARA?

Tych głównych powodów jest kilka. Chyba najważniejszym z nich jest konieczność ratowania image'u Władimira Władimirowicza jako zwycięzcy.

Od krymskiego sukcesu minęło bowiem już kilka lat, Ukraina jako całość jest dla Rosjan ewidentnie porażką i świadomość tego rozpowszechnia się wśród obywateli Federacji Rosyjskiej. A dla Rosjan podstawowym kryterium akceptowania bądź nieakceptowania władzy jest odpowiedź na pytanie, czy za granicą wzbudza ona strach, czy nie. Czy zwiększa mocarstwową potęgę, czy też ją osłabia. Nie bez przyczyny wśród ekspertów panuje zgoda co do tego, że najlepszym sposobem na obalenie rosyjskiej władzy (zakładając, że chce się to zrobić) byłoby doprowadzenie do sytuacji, w której zwykli Rosjanie musieliby dostrzec, że ich państwo jednoznacznie przegrało jakiś poważny konflikt międzynarodowy. Wtedy sami ją obalą.

Rosyjska władza oczywiście o tym wie. Anszlus Białorusi (używam tu tego określenia umownie; formalny status niepodległej stolicy zostałby najprawdopodobniej Mińskowi pozostawiony) bardzo wzmocniłby ją wewnętrznie. Jest to potrzebne również dlatego, że popularność rządzących Kremlem i Putina osobiście bardzo ucierpiała na skutek kryzysu gospodarczego i będącej jego konsekwencją konieczności obniżenia wieku emerytalnego. Nimb „zbierającego ziemię ruską" niezwykle pomógłby Władimirowi Władimirowiczowi.

Dochodzi coś jeszcze. Otóż Rosja wydaje się bliska zawarcia historycznego porozumienia z Japonią dotyczącego m.in. statusu Kuryli. Zapewne Moskwa oddałaby Tokio dwie najbardziej południowe z wysp w zamian za ogromne japońskie inwestycje. To byłoby bardzo korzystne porozumienie, ale związane ze zbezczeszczeniem rosyjskiego świętego artykułu narodowej wiary mówiącego, że ojczystej ziemi nie oddaje się nikomu ani za nic. Rosyjskie społeczeństwo nie przyjmie tego, eufemistycznie rzecz ujmując, entuzjastycznie. Jednoczesny anszlus Białorusi przykryłby propagandowo ten niemiły fakt.

Wreszcie – w 2024 r. (niby to data dość odległa, ale polityka rosyjska tym różni się od zachodniej, że zdarza się w niej myślenie perspektywiczne; nie bez przyczyny Patrick Buchanan wypowiedział słynne zdanie o tym, że „specyficzny urok Rosji polega na tym, iż jest poważna – w świecie zaludnionym przez błaznów") zgodnie z konstytucją skończy się prezydentura Putina. Władimir Władimirowicz zaś władzy oczywiście oddać nie chce. Jedną z metod mogących temu służyć jest stworzenie do tego czasu nowego formalnie bytu – państwa związkowego, z osobnym prezydentem na czele. Zostałby nim rzecz jasna Putin. Taki wariant może być dla niego wabiący również dlatego, że jako „nadprezydent" mógłby kontrolować władzę, samemu zajmując się jedynie sprawami strategicznymi. Taka perspektywa bywa pociągająca dla przywódców, którzy tak jak on rządzą już swoim krajem bardzo długo, w jego ramach osiągnęli już wszystko i czują się znudzeni rutyną polityki.

ROSJANIE ZE ZNAKIEM Q

Z tych czy innych powodów Kreml tym razem bardzo na serio usiłuje zmusić Łukaszenkę do podpisania umów, których dalszym rezultatem byłoby – co jest oczywiste – realne wchłonięcie Białorusi przez gigantyczny organizm kierowany z Moskwy. Bo ustanowienie wspólnej waluty (wraz ze wspólnym bankiem centralnym), wspólnej kontroli granic, systemów bezpieczeństwa, ceł, podatków, wraz z pogłębieniem integracji wojskowej (Moskwa od lat chce ustanowić na Białorusi bazę swojego lotnictwa) byłoby w istocie wchłonięciem. Tzw. manewr podatkowy, polegający na zamienieniu ceł na eksport ropy na podatki od jej wydobycia, oznacza, że Białoruś za niezbędną jej ropę zapłaci dużo więcej niż dotąd.

Dyktator z Mińska się broni. Jest to paradoksalne, to on sam bowiem przedtem długo ewidentnie zdążał do rusyfikacji Białorusi. „Białorusini to Rosjanie ze znakiem jakości [czyli tacy lepsi – przyp. P.S.]" – powiedział kiedyś. W okresie jego rządów odsetek dzieci uczących się w języku białoruskim spadł do niewiarygodnie niskiego poziomu.

Tylko że zarazem w efekcie samego faktu istnienia białoruskiej państwowości przywykały do niej kolejne wchodzące w życie pokolenia Białorusinów. Uznawały, że jest sytuacją naturalną, gdy to w Mińsku (a nie np. w Moskwie) istnieje ośrodek decydujący o tym, co się dzieje od Grodna po Witebsk.

Miało to paradoksalny efekt. W latach 90. białoruskość była czymś, co na Białorusi uważano za śmieszne. Dziś jest inaczej, nawet wśród (przeważających liczebnie) Białorusinów mówiących na co dzień po rosyjsku.

Nie należy jednak przeceniać politycznego znaczenia tego faktu. Owe narodotwórcze procesy postępują, ale nie są zaawansowane. Wprawdzie wejścia Białorusi w skład Rosji życzyłaby sobie jedynie mniejszość obywateli, ale zarazem odsetek Białorusinów jedynie w małym stopniu uważających się za coś odmiennego od Rosjan jest wciąż ogromny.

Sam Łukaszenka przez całe dekady robił wiele dla petryfikacji tego stanu. Charakterystyczne, że eksperci unikają formułowania jednoznacznych opinii na temat tego, czy w wypadku rosyjskiej inwazji białoruskie wojsko walczyłoby. I to, że zdarza im się zadać pytanie: na-

eprasa.pl 23b1ab3917

wet jeśli założymy, że część oficerów chciałaby stawić opór, to czy posłuchaliby ich szeregowi? Zresztą ogromna większość białoruskich oficerów, nawet tych młodszych, którzy nie zdążyli służyć w Armii Radzieckiej, kształciła się w rosyjskich podchorążówkach. Dopiero ostatnio, po Ukrainie, władze białoruskie zaczęły redukować liczbę wysyłanych do Rosji kadetów. Rosyjskie służby specjalne zaś działają na Białorusi swobodnie – potrafią np. na terytorium tego państwa porywać i wywozić do Moskwy obywateli Ukrainy.

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

RATOWAĆ DYKTATORA?

Ale nawet w tej – wydawałoby się beznadziejnej – sytuacji Łukaszenka jak dotąd się nie ugina. Osoby obecne przy dwukrotnych, przedsylwestrowych turach rosyjsko-białoruskich negocjacji mówią rosyjskim mediom, że delegacja z Mińska zachowała się do końca bardzo twardo. Ostatecznie negocjacje zakończyły się klasycznie – powołaniem wspólnej grupy mającej się zająć nieuzgodnionymi problemami. Dziwaczne i znamienne enuncjacje obu stron – o utracie zaufania, o wzajemnym zmęczeniu sobą Putina i Łukaszenki, odmowa tego drugiego zagrania w sylwestrową noc z Władimirem Władimirowiczem w hokeja – pokazują, że i Mińsk, i Moskwa dalekie są od porozumienia i toczą naprawdę twardą wojnę pozycyjną. A manewr podatkowy działa od 1 stycznia, czyli od tej daty Białorusi naliczane są nowe opłaty za ropę. Mają one być dalej podwyższane. Kreml z ufnością patrzy w przyszłość.

Na co liczy Łukaszenka? Przede wszystkim na to, co uratowało go już parokrotnie. Czyli że będzie przewlekał, aż w końcu zajdzie coś takiego, co spowoduje, że na biurku Putina wyrośnie sterta spraw ważniejszych i pilniejszych od inkorporacji Białorusi. Inkorporacji związanej przecież z dużym ryzykiem i politycznymi kosztami.

I możliwe, że prezydent z Mińska się nie myli, choć jak dotąd Rosja objawia w tej sprawie daleko posuniętą determinację. Charakterystyczne, że latem nowym ambasadorem w Mińsku został Michaił Babicz – znany jako twardy człowiek Putina do specjalnych poruczeń. Weteran KGB i wojsk powietrznodesantowych, w bogatym CV ma m.in. stanowisko premiera opanowanej już przez Rosjan Czeczenii. Zanim pojawił się w Mińsku, miał zostać ambasadorem w Kijowie, ale Ukraina odmówiła zaakceptowania tej kandydatury. Jako poseł na Białorusi otrzymał też plenipotencje do koordynowania polityki innych poza MSZ rosyjskich instytucji wobec tego państwa; tego rodzaju uprawnienia Rosja nadaje szczególnie zaufanym ambasadorom w krajach mających dla Moskwy szczególne znaczenie.

Jeśli jednak nie nastąpi jakiś korzystny dla Białorusi zbieg okoliczności, to ocalić jej niezależność mogłoby tylko jedno. Mianowicie polityczna decyzja Zachodu, czyli zapewne wspólne postanowienie USA i Unii Europejskiej o podtrzymaniu Mińska, niewyrażającego zgody na pogłębioną integrację drogą rekompensowania mu ogromnych finansowych strat powodowanych wzrostem kosztów ponoszonych przez Białoruś przy nabywaniu rosyjskiej ropy. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne.

A to z kilku powodów. Po pierwsze, system łukaszenkowski pozostaje brutalną dyktaturą, antydemokratyczną zarówno w sensie klasycznym, jak i obowiązującej na Zachodzie religii praw człowieka. To w zachodnich warunkach niezwykle utrudnia pomaganie komukolwiek, nawet jeśli byłaby ku temu wola polityczna.

A tę nie bardzo widać. M.in. dlatego, że Zachód nie bardzo wie, jak wyplątać się ze sprawy ukraińskiej. I również nie bardzo – pogrążony we własnych wewnętrznych kłopotach – ma ochotę na zaangażowanie się w kolejny, wschodni galimatias.

Po drugie, na co zwraca uwagę białoruski politolog Walerij Karbalewicz, jeśli Zachód nawet byłby skłonny zaoferować coś Łukaszence, to byłaby to wędka. A ten wędki nie chce. Chce rybę. Innymi słowy, nie chce wsparcia w dziele zasadniczej reformy białoruskiej gospodarki, tylko umożliwienia jej trwania w zasadniczo niezmienionym kształcie. A to z punktu widzenia Zachodu wydaje się bezsensowne.

* * *

Z wszystkich możliwych powodów należałoby sobie jednak życzyć, żeby ta wola polityczna w zachodnich stolicach się znalazła. I nie tylko dlatego, żeby uniknąć zasygnalizowanej na wstępie tego tekstu ewentualności, jaką byłby realny powrót Rosji na granice przestrzeni środkowoeuropejskiej w zakresie znacznie większym niż ten związany z istnieniem maleńkiej enklawy kaliningradzkiej.

Przede wszystkim dlatego, że anszlus Białorusi spowodowałby zasadniczą zmianę w rosyjskim myśleniu o samym sobie. Oznaczałoby to bowiem potwierdzenie imperialnego statusu Rosji. A to podziałałoby na rosyjską psychikę w sposób mogący pociągnąć za sobą naprawdę niebezpieczne skutki.

eprasa.pl 23b1ab3917

Podatkowe bajki Platformy

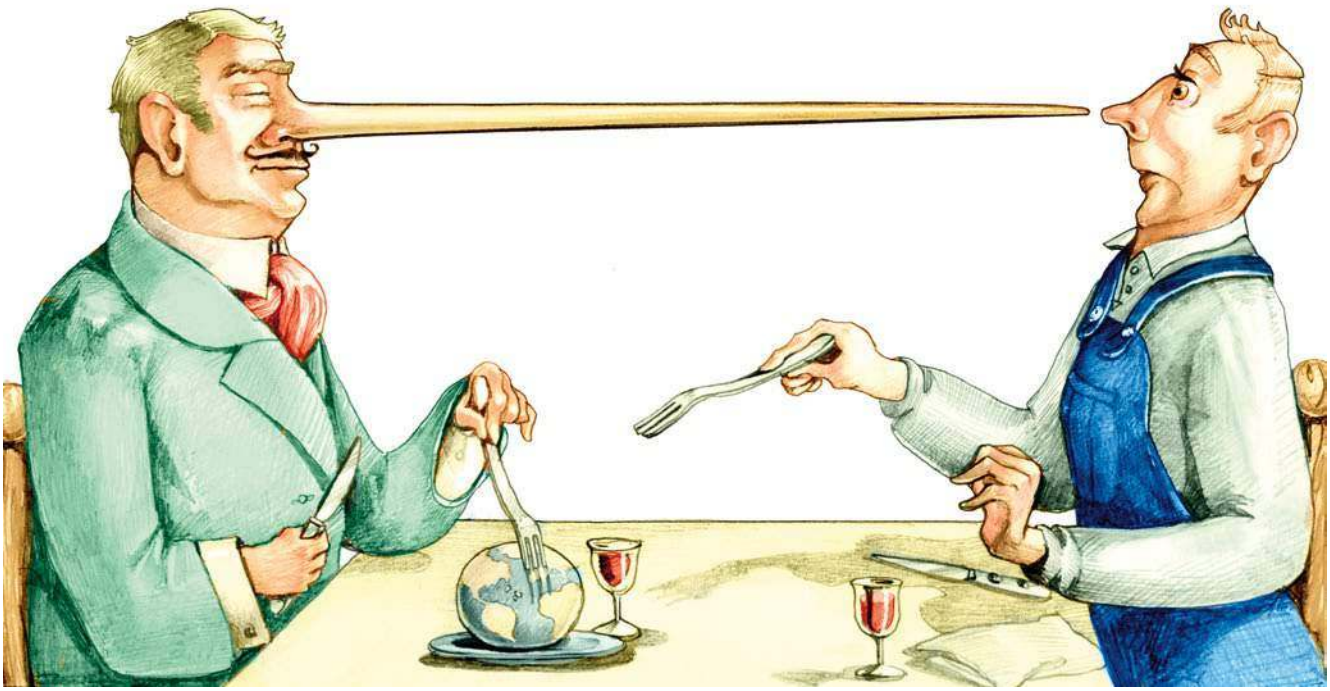

Rys. Shutterstock

Wpływowa poseł PO, wicemarszałek Sejmu, Małgorzata Kidawa-Błońska zdradziła właśnie prawdziwą koncepcję programową totalnej opozycji na wybory parlamentarne w 2019 r. Ogłosiła publicznie, że trzeba cofnąć wszystko, co PiS wprowadziło przez ostatnie trzy lata

JANUSZ SZEWCZAK

Co to oznacza? Odebranie Polakom pozytywnych i korzystnych rozwiązań, takich jak choćby 500+, wcześniejsze emerytury, likwidacja użytkowania wieczystego, bezpłatne leki dla seniorów, obniżenie emerytur esbeckich.

Inne tęgie finansowe głowy Platformy – poseł Sławomir Neuman i główny ekonomista tej partii Andrzej Rzońca – postanowiły dodatkowo skutecznie skompromitować swoje ugrupowanie. Ogłosiły Polakom pod choinkę „totalnie dobrą nowinę": jak tylko PO dojdzie do władzy, to obniży obecne stawki PIT z 18 i 32 proc. do 10 i 24 proc., a dodatkowo jeszcze szerokim gestem doda 500 zł do płacy blisko 60 proc. pracujących Polaków, którzy zarabiają do kwoty 4,5 tys. zł, a niektórym nawet zafundują po 614 zł wraz z ulgami i zwolnieniami podatkowymi. Skąd się biorą ci geniusze finansów i budżetu, urwali się z choinki? Nie, oni są ze znanej, neoliberalnej stajni eksperckiej prof. Leszka Balcerowicza, są jak filmowy Chuck Norris – mogą policzyć do nieskończoności i z powrotem. I choć dr Rzońca wieszczył na 2018 r. deficyt budżetu państwa na 100 mld zł, to pewnie ku jego ogromnej rozpaczy deficyt sektora finansów publicznych będzie rekordowo niski, najniższy w całym 30-leciu, może nawet będziemy mieli do czynienia z tzw. nadwyżką pierwotną w budżecie, po odjęciu kosztów obsługi długu publicznego – 30 mld zł.

Najwyraźniej PO ma Polaków za ignorantów ekonomicznych i zupełnie nie rozumie słów: wiarygodność i profesjonalizm. Czyżby „eksperci" z Platformy nie wiedzieli, że ich propozycje oznaczają całkowitą destrukcję dochodów podatkowych budżetu państwa i odebranie mu co najmniej ok. 50 mld zł? Dziś bowiem PIT to drugie po VAT źródło dochodów podatkowych państwa, łącznie to ok. 100 mld zł rocznie wraz z dochodami samorządów, a w 2019 r. ma to

eprasa.pl 23b1ab3917

być blisko 120 mld zł wpływów. Żeby było bardziej absurdalnie, Platforma obiecuje jeszcze, że znajdzie kolejne ponad 20 mld zł w ramach programu 500+ na każde pierwsze dziecko, czyli że chce łącznie zubożyć polski budżet o kwotę 70–100 mld zł. To całkowicie nierealne, szkodliwe i nieprofesjonalne. Tak jakby chcieli wyprowadzić Polskę z UE w ramach finansowego polexitu. A co z teorią innego, „genialnego fachowca" od finansów i budżetu – „Sztukmistrza z Londynu", byłego ministra finansów, Jacka Rostowskiego, że „pieniędzy nie ma i nie będzie"? Co z niedawnymi deklaracjami przewodniczącego PO Grzegorza Schetyny: „My nie pójdziemy drogą grecką – rozdawnictwa pieniędzy i populizmu"? Czyżby panowie nie uzgodnili ostatecznej wersji tego finansowo-budżetowego fake newsa? I jak tu wierzyć kłamcom? – jak to lubi mawiać ich ideowy i programowy guru prof. Leszek Balcerowicz. Przecież wiemy, że PO nie daje nawet, gdy obiecuje, ale zabiera nawet wtedy, gdy nic nie obiecuje, co widać choćby po ostatnich decyzjach prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego w sprawie użytkowania wieczystego.

Tak absurdalne i nierealne propozycje Platformy w sprawie podatku PIT to nie tylko zaklinanie rzeczywistości, lecz także komedia i tragedia zarazem, czyli niezrozumienie faktów, zjawisk i wzajemnych zależności, zła ocena i błędne postrzeganie realiów. Wręcz klasyka kłamstwa, pustych obietnic i manipulacji. Istny obraz nędzy i rozpaczy programowej PO. Prawdziwi z nich kawalarze – aż chciałoby się zapytać, czy w tym „totalnym, opozycyjnym domu" w sferze finansów i gospodarki na pewno wszyscy są zdrowi?

Co z samorządowymi dochodami z PIT, panowie obrońcy demokracji i praworządności, bo udział samorządów w podatku PIT: gmin – to ponad 37 proc., powiatów – ponad 10 proc., województw – ok. 1,6 proc., a łącznie te dochody to już blisko ok. 40 mld zł? W samej tylko Warszawie dochody z PIT to ok. 5,5 mld zł, w większych, polskich miastach 1–1,5 mld zł? Czyżby włodarze wielkich miast – Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Łodzi czy Poznania, praktycznie wyłącznie z PO i KO – mieli ten ubytek dochodów zrekompensować sobie wzrostem o 80–90 proc. cen wody, ścieków, wywozu śmieci, przejazdów i czynszów, czy innych dopiero przygotowywanych podwyżek i opłat dla mieszkańców? Co ze zryczałtowanymi podatkami, z których korzysta blisko milion MSP?

Nie można więc wykluczyć, że już wkrótce, w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu, Platforma z przystawkami obieca też każdemu Polakowi po działce na Księżycu, 500+ na każdego kotka i pieska w rodzinie, wspólne rozliczanie się małżeństw homoseksualnych i 300+ na cygara i whisky dla pana domu – oczywiście na platformerski „Dobry start". Ile można się ośmieszać, kłamać i fantazjować, ile ogłupienia jest w stanie jeszcze zaakceptować polskie społeczeństwo ze strony zupełnie niewiarygodnej, zwłaszcza w sferze finansów i gospodarki, totalnej opozycji?

> Nie można wykluczyć, że w trakcie kampanii wyborczej PO obieca 500+ na każdego kotka i pieska w rodzinie i po 300+ na cygara i whisky dla pana domu

Niewątpliwie temat obniżenia kosztów utrzymania Polaków, nie tylko niepodnoszenia cen prądu i ciepła, lecz i obciążeń fiskalnych, powinien być podjęty przez PiS i rząd na początku 2019 r. w ramach prac programowych w sposób wyjątkowo racjonalny i odpowiedzialny. Być może należałoby pomyśleć o stosunkowo niewielkiej, ale jednak już odczuwalnej (2–3 proc.) obniżce stawek PIT (do poziomu 15 i 29 proc.), jednak dla wszystkich podatników, nie tylko tych najuboższych, choćby ze względu na konstytucyjność takich rozwiązań i poczucie sprawiedliwości społecznej. Warto zracjonalizować stawki i matryce VAT-owskie – co już się dzieje – oraz obniżyć lub wyeliminować niektóre opłaty, zmniejszyć koszty biurokracji czy poszukiwać dalszych form obniżek ZUS itp. Nie mówiąc już o konieczności wyraźnej poprawy sytuacji polskich emerytów i rencistów, czego pierwszym przejawem będzie marcowa waloryzacja o co najmniej 70 zł, ale niewątpliwie proces poprawy warunków życia polskich seniorów należy kontynuować. Wszystko to jednak trzeba zrobić mądrze, ostrożnie, by to nie rozwaliło budżetu państwa. A takim wyzwaniom z pewnością nie podołają intelektualnie, moralnie ani logistycznie eksperci PO i KO. Przykład działalności Ministerstwa Finansów za rządów PO-PSL, kreatywnej księgowości oraz gigantyczna skala wyłudzeń podatku VAT i akcyzy (łącznie ok. 400 mld zł) jest tego najlepszym dowodem. Wszystko to musi być też dobrze skoordynowane ze znaczącą poprawą wynagrodzeń Polaków. Niewiele ponad 6-procentowy wzrost wynagrodzeń w 2019 r. może być niesatysfakcjonujący, zwłaszcza przy coraz większym braku rąk do pracy (co najmniej 150–200 tys. pracowników) w wielu branżach i niewielkiej, nieco ponad 1-procentowej inflacji.

Jednak wizję lepszego jutra Polaków mogą zapewnić wyłącznie wiarygodni politycy, którzy mają nie tylko przemyślany plan, lecz i charakter oraz odwagę, by wprowadzić go w życie. Polacy powinni dobrze zapamiętać, że kto nie jest wiarygodny w małych sprawach, ten i w wielkich nie będzie. Kto raz oszukał, oszuka po raz kolejny. Po doświadczeniach i wynikach makroekonomicznych, budżetowych ostatnich trzech lat widać wyraźnie, które ugrupowanie ma zdecydowanie lepszych fachowców od gospodarki i finansów. Sensacyjnie wręcz pozytywne wyniki i wskaźniki makroekonomiczne za 2018 r. są tego najlepszym dowodem i ten trend szybkiego rozwoju może się utrzymać również w 2019 r. Zamiast więc podatkowych bajek z mchu i paproci w wykonaniu PO i KO wybierzmy bardziej przyziemne, ale całkiem realne rozwiązania fiskalne i propozycje programowe obecnego rządu.

eprasa.pl 23b1ab3917

Na swoim.

Użytkowanie wieczyste do lamusa

Od 1 stycznia 2019 r. 2,5 mln Polaków stało się z mocy prawa właścicielami zamiast użytkownikami wieczystymi gruntów pod lokalami mieszkalnymi, jak i częściami nieruchomości przynależącymi do lokali, np. gruntów wokół budynków, garaży czy piwnic. Nadal jednak będziemy musieli wnosić przez jakiś czas dotychczasowe opłaty roczne, chyba że zdecydujemy się na jednorazową całościową zapłatę z odpowiednią bonifikatą. Ważne jednak, że będziemy wnosić te opłaty za własność, a nie – jak dotychczas – za użytkowanie wieczyste

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Shutterstock

SZYMON SZADKOWSKI

Nie trzeba składać żadnych podań, wniosków ani wypełniać formularzy w urzędach. W ciągu 12 miesięcy (do końca 2019 r.) mieszkańcy nieruchomości będących dotychczas w użytkowaniu wieczystym powinni otrzymać stosowne zaświadczenie z odpowiedniego urzędu, czyli od wójta/burmistrza/prezydenta miasta/starosty/dyrektora oddziału terenowego Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa/dyrektora oddziału regionalnego Agencji Mienia Wojskowego. Takie samo zaświadczenie otrzyma z urzędu sąd rejonowy (wydział ksiąg wieczystych), który dokona odpowiedniego wpisu w księdze wieczystej prowadzonej dla nieruchomości. Taki wpis własności do księgi wieczystej jest wolny od opłat. Zawiadomienie o wpisie sąd doręczy na adres wskazany w zaświadczeniu.

SZYBKA ŚCIEŻKA

Jeśli zależy nam na czasie, możemy wystąpić do właściwego urzędu o wydanie takiego zaświadczenia. Wtedy wystarczy złożyć odręczne pismo z uzasadnieniem. Na tak złożony wniosek urząd ma cztery miesiące na wydanie zaświadczenia. Jeśli sprawa jest pilniejsza i wniosek uzasadniony jest np. sprzedażą mieszkania albo potrzebą ustanowienia odrębnej własności lokalu, wtedy takie zaświadczenie musimy otrzymać w ciągu 30 dni. Ale w takiej sytuacji za złożenie wniosku musimy zapłacić 50 zł i udowodnić, że chcemy sprzedać mieszkanie, dołączając do wniosku np. umowę przedwstępną.

JEDNORAZOWE PRZEKSZTAŁCENIE

Wysokość opłaty przekształceniowej (dotychczasowa opłata roczna za użytkowanie wieczyste) płatnej jednorazowo w dużym uproszczeniu, nie wchodząc w szczegóły waloryzacji, odpowiada 20-krotności opłaty rocznej za 2019 r. Możemy wnosić tę opłatę co roku przez 20 lat. Ale ustawodawca daje możliwość zapłaty za przekształcenie nieruchomości jednorazowo z odpowiednią bonifikatą. Największą zniżkę dostaniemy w pierwszym roku – czyli 2019 r. – obowiązywania nowych przepisów. Ustawodawca przewidział obligatoryjną bonifikatę w wysokości 60 proc. dla użytkowników gruntów skarbu państwa – w przypadku płatności z góry dokonanej w 2019 r., w kolejnych latach bonifikata maleje, w tym przypadku o 10 proc. rocznie. Bonifikata na gruntach samorządowych jest fakultatywna i zależy od decyzji lokalnych władz, czyli rad gmin i sejmików. Wojewoda ma jednak prawo interwencji w przypadku, gdyby samorząd uchwalił wyższą bonifikatę od tej obowiązującej na gruntach skarbu państwa.

Każdy właściciel gruntu w każdym momencie trwania obowiązku wnoszenia opłaty za użytkowanie będzie mógł zgłosić na piśmie zamiar wniesienia opłaty jednorazowej w kwocie pozostającej do spłaty. Wysokość opłaty jednorazowej będzie odpowiadać iloczynowi wysokości opłaty obowiązującej w roku, w którym zamiar został zgłoszony, oraz

eprasa.pl 23b1ab3917

liczby lat do upływu 20-letniego okresu. Urząd będzie miał obowiązek poinformowania właściciela gruntu o wysokości opłaty jednorazowej w terminie 14 dni od dnia zgłoszenia takiej prośby. I to jest bezpłatne.

Bonifikata ustalona na 2019 r. zachowuje ważność do lutego 2020 r. Zatem w sytuacji kiedy samorząd przyśle nam zaświadczenie i wycenę np. 26 grudnia 2019 r., to i tak skorzystamy z wyższej bonifikaty, mimo że zapłacimy już w 2020 r.

PŁACĘ DALEJ…

Jeśli nie zdecydujemy się na jednorazową zapłatę, nadal będziemy musieli uiszczać opłaty roczne przez kolejnych 20 lat, ale będzie to już opłata przekształceniowa i będziemy już właścicielami gruntu. Opłaty, które brane są pod uwagę w wyliczeniach, odpowiadają wysokości opłaty rocznej za użytkowanie wieczyste, jaka obowiązywałaby w 2019 r. Termin na zapłatę rocznej „raty przekształceniowej" pozostanie bez zmian – do 31 marca każdego roku. Urząd wyliczy zatem odpowiednią kwotę, którą będziemy płacić.

Istotne jest też to, że lokatorzy nie będą już zaskakiwani corocznymi podwyżkami opłaty z tytułu użytkowania wieczystego sięgającymi w niektórych przypadkach nawet kilkuset procent. Ustawa nie wprowadza bowiem mechanizmu, który pozwala na taką aktualizację opłaty uzależnionej np. od zmian wartości nieruchomości. Teraz opłata będzie waloryzowana jedynie o wskaźnik inflacji co trzy lata.

Ustawodawca dopuszcza oczywiście możliwość wnioskowania o obniżenie wysokości opłaty, np. ze względu na ujemny wskaźnik inflacyjny.

WARTO WIEDZIEĆ:

- nie będziesz płacić za użytkowanie wieczyste – będziesz właścicielem, a nie użytkownikiem wieczystym,
- nie będzie aktualizacji opłat rocznych za użytkowanie wieczyste,
- otrzymasz atrakcyjne warunki przekształcenia – 20 rocznych opłat przekształceniowych zamiast płatnych przez 99 lat opłat rocznych z tytułu użytkowania wieczystego,
- ustawowe bonifikaty na gruntach skarbu państwa – wymierna pomoc w jednorazowej spłacie opłaty przekształceniowej,
- swoboda w ustaleniu wysokości bonifikat dla gruntów samorządowych – możliwość ustanowienia korzystniejszych ulg niż ustawowe 60 proc. dla gruntów skarbu państwa.

Źródło: Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju

ZMIANY W KSIĘDZE WIECZYSTEJ

Roszczenia o opłaty przekształceniowe będą wpisane w dziale III księgi wieczystej, co oznacza, że każdy nowy właściciel nieruchomości podlegającej przekształceniu zostanie obciążony opłatą, o ile poprzedni właściciel nie spłacił z góry wszystkich 20 opłat. Tego rodzaju zagadnienia mogą być również przedmiotem ustaleń między stronami umowy zbycia nieruchomości.

W przypadku gdy kupujemy nowe mieszkanie, wybudowane po 1 stycznia 2019 r., przekształcenie prawa użytkowania wieczystego w prawo własności nieruchomości nastąpi z dniem oddania budynku mieszkalnego do użytkowania w rozumieniu przepisów prawa budowlanego. Możliwość ta dotyczy tylko budynków mieszkalnych, wybudowanych na gruncie będącym w użytkowaniu wieczystym zabudowanym na cele mieszkaniowe, zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego lub decyzją o warunkach zabudowy i zagospodarowania terenu.

Trzeba pamiętać, że każdy nowy właściciel ponosi opłatę przekształceniową przez 20 lat od przekształcenia – to podstawowa zasada. Mnogość scenariuszy związanych z zakupem nieruchomości w tym 20-letnim okresie – od spółdzielni po rynek wtórny, deweloperów, z uregulowanym stanem własności lub z obowiązkiem dalszych opłat – jest tak duża, że warto za każdym razem poradzić się radcy prawnego, notariusza lub urzędnika. Trzeba zwrócić uwagę na to, czy nieruchomość ma zamknięty, uregulowany stan opłat przekształceniowych, czy też obciążona jest obowiązkiem dalszych opłat, które przejmiemy po poprzednim właścicielu.

Jeśli nie zgadzamy się z wysokością opłat, istnieje możliwość zażądania od właściwego organu, aby ustalił nam opłatę w drodze decyzji administracyjnej. Wtedy składamy wniosek nie później niż w terminie dwóch miesięcy od dnia otrzymania zaświadczenia. Ustalenie wysokości lub okresu wnoszenia opłaty z tytułu przekształcenia nastąpi w drodze decyzji administracyjnej. Od tej decyzji możemy się też odwołać do Samorządowego Kolegium Odwoławczego (SKO) i potem dalej do sądu administracyjnego.

Więcej odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania można znaleźć na stronie: www.miir.gov.pl/strony/zadania/gospodarka-nieruchomosciami/przekształcenie.

Kto będzie mógł skorzystać z przekształcenia?

Ustawa obejmie:

- właścicieli domów jednorodzinnych położonych na gruntach oddanych w użytkowanie wieczyste,
- właścicieli domów wielorodzinnych położonych na gruntach oddanych w użytkowanie wieczyste, w których co najmniej połowę liczby lokali stanowią lokale mieszkalne (zarówno osoby fizyczne, jak i prawne, w tym spółdzielnie mieszkaniowe i deweloperzy),
- właścicieli lokali mieszkalnych znajdujących się w budynkach mieszkalnych wielorodzinnych, którym przysługuje udział w użytkowaniu wieczystym gruntu (zarówno osoby fizyczne, jak i prawne),
- właścicieli lokali użytkowych znajdujących się w budynkach mieszkalnych wielorodzinnych, którym przysługuje udział w użytkowaniu wieczystym gruntu (zarówno osoby fizyczne, jak i prawne).

Źródło: Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / POLSKA PRESS

Piłkarska tragifarsa w sześciu aktach

eprasa.pl 23b1ab3917

Jeśli nic się nie zmieni w ciągu najbliższych tygodni, Wisła Kraków nie przystąpi do wiosennych rozgrywek, obecna drużyna zostanie rozwiązana, a kolejny sezon zespół rozpocznie od czwartej ligi. Taki katastroficzny scenariusz dla jednego z najbardziej zasłużonych polskich klubów jest wciąż bardzo prawdopodobny. Co gorsza, próby ratowania Wisły w ostatnim czasie najbardziej przypominają łzawą tragifarsę

CEZARY KOWALSKI

To naprawdę śmiech przez łzy, bo nie mamy przecież do czynienia z bankrutującym warsztatem blacharskim gdzieś na prowincji, ale ze sportową firmą, która jest jakimś dobrem narodowym, klubem z wielkiego miasta, za którym stoją piękna historia i dziesiątki tysięcy kibiców...

AKT 1.

Wieloletni właściciel Wisły, szef firmy Tele-Fonika, Bogusław Cupiał latem 2016 r. oddaje klub w ręce Jakuba Meresińskiego, 30-latka podającego się za biznesmena. Szybko się jednak okazuje, że Meresiński ani nie jest biznesmenem, ani nie ma pieniędzy, a gwarancje bankowe, które przedstawił, jak również jego matura, są sfałszowane.

W efekcie akcje klubu trafiają w ręce Towarzystwa Sportowego Wisła, czyli podmiotu, który zarządzał pozostałymi sekcjami w klubie. Wcześniej Towarzystwo zostaje zdominowane przez ludzi powiązanych z SKWK (Stowarzyszenie Kibiców Wisły Kraków). Umożliwia to zasłużony działacz Wisły, były koszykarz i trener Ludwik Miętta-Mikołajewicz. Wprowadza on do klubu m.in. swoją byłą studentkę z Uniwersytetu Jagiellońskiego Marzenę Sarapatę. Prywatnie córkę swojego wieloletniego przyjaciela, prezesa Kalwarianki Kalwaria Zebrzydowska. Sarapata niebawem zostaje prezesem, a klub staje się właściwie prywatnym folwarkiem zatrudnianych przez nią pracowników, powiązanych z najbardziej patologicznymi grupami kibiców.

W Wiśle każdy jest z kimś powiązany siecią interesów. Właścicielem firmy sprzątającej jest partnerka wiceprezesa, mąż pani prezes wydaje klubową gazetkę, siłownia, przynosząca duże zyski, mieszcząca się na terenie klubu, jest zarządzana przez gangstera, którego otaczała kiedyś opieką prawną Marzena Sarapata. Nawet w kasach zatrudniani są ludzie karani za działalność przestępczą.

AKT 2.

Towarzystwo Sportowe Wisła, które przejmuje Spółkę Akcyjną, działa z rozmachem, jakiego w Krakowie jeszcze nie widziano. Z 14 mln zł długów, które zostały odziedziczone jeszcze po Bogusławie Cupiale, w ciągu dwóch i pół roku robi się 40 mln. Działacze lekką ręką są w stanie wymieniać trenera za trenerem. W jednym sezonie zatrudniać aż trzech szkoleniowców i wszystkim wypłacać należności wynikające z zawartych wcześniej kontraktów. Hiszpan z niskiej półki, Joan Carillo, kasuje 100 tys. zł miesięcznie. W ciągu jednego okienka transferowego klub potrafi zatrudnić... 13 zawodników. Do tego właściwie seryjnie przegrywa procesy ze zwalnianymi graczami i trenerami. Organizacyjna katastrofa.

Wisła popada w coraz większe kłopoty finansowe. Zaległości sięgające trzech miesięcy wydłużają się do pół roku. Mimo długów klub otrzymuje licencję na grę w ekstraklasie, bo przekonuje komisję licencyjną PZPN, że jest w stanie szybko zasypać dziurę budżetową, ze sprzedaży zawodników. Szef Wisły naiwnie daje się przekonać, że nawet bardzo średni i wiekowi gracze są warci po kilka milionów, bo wiedzę dotyczącą tej wartości zasięgnął z... portalu transfermarkt.de.

Zawodnicy wystawiają faktury za wykonaną pracę, odprowadzają podatki i płacą za ZUS, ale pensji nie widzą. Pożyczają pieniądze na życie od dwóch niezależnych finansowo kolegów – Pawła Brożka i Marcina Wasilewskiego. I... świetnie grają w piłkę. Nie są jak bezdomne psy, ale raczej jak zespół z charakterem. Lepiej wyglądają w starciach przeciwko klubom, w których mogą niebawem znaleźć zatrudnienie. Wychodząc z założenia, że ich gra jest oknem wystawowym na świat, prezentują futbol ofensywny i widowiskowy. Zaczynają uchodzić za najładniej grający zespół ekstraklasy i plasują się w pierwszej tzw. mistrzowskiej ósemce. To paradoks, ale tego organizacyjnego bankruta na murawie bardzo przyjemnie się ogląda.

AKT 3.

Kura znosząca złote jaja nagle przestaje je dawać. Choć wbrew temu, co twierdzą działacze z Sarapatą na czele, oni akurat pensje sobie wypłacali (kibice żartują, że płakali, gdy sobie wypłacali). Trwają intensywne poszukiwania inwestora, ale choć klub jest do wzięcia za 12 mln zł (tyle wynosiły minimalne zaległości do natychmiastowej zapłaty, aby uzyskać płynność finansową), chętnych brak. Biznesmeni, którzy bez trudu mogliby wyłożyć taką kwotę, a przejęcie klubu z taką tradycją mogłoby być dla nich jakąś okazją, choćby prestiżową, nie chcą tego robić. Obawiają się otoczki, całego bagażu związanego z działalnością niewykluczone, że przestępczą, boją się szemranych grup kibiców, których niełatwo się pozbyć z klubu itd.

eprasa.pl 23b1ab3917

Działacze są zdesperowani. Skandal wisi w powietrzu. Inwestor jest potrzebny od zaraz, każdy, nawet ten mało wiarygodny. Za pośrednictwem kancelarii Jarosława Ostrowskiego z Warszawy do Wisły trafia oferta Vanna Ly z Kambodży i jego wspólnika Matsa Hartlinga ze Szwecji. Klub ma zostać oddany za symboliczną złotówkę w zamian za obietnicę udzielonej przez nich pożyczki na brakującą kwotę 12 mln zł.

AKT 4.

Vanna Ly przybywa do Krakowa tanimi liniami lotniczymi Easy Jet. Dziennikarze próbują odnaleźć firmy „nowych właścicieli" w internecie, ale bez większego skutku. Udaje się ustalić, że firma Hartlinga mieści się w kiosku z cygarami w Sztokholmie, a on sam jest zameldowany w zwykłym bloku.

Egzotyczni inwestorzy oglądają mecz Wisły z Lechem, spotykają się z zawodnikami, poklepując ich po plecach i w obecności kamer oraz reporterów udają się na spotkanie z prezydentem Krakowa Jackiem Majchrowskim. Vanna Ly w budynku rozkłada parasol, który ma chronić przed światłami kamer. Parasol nie wytrzymuje presji. I pęka.

Biznesmen z Kambodży roztacza przed Majchrowskim wizje rozwoju klubu, prezentuje w telefonie komórkowym obiekty, które wybudował w Chinach, obiecuje stworzyć akademię piłkarską na światowym poziomie na Balicach. Uśmiechnięty prezydent oznajmia chwilę później, że najwięcej mówił „skośnooki" i że wygląda na to, iż panowie są wiarygodni, mają pieniądze, a nie tylko mają mieć...

AKT 5.

Przelew, który jest warunkiem ważności umowy, ma trafić na konto Wisły do 28 grudnia 2018 r. w piątek zaraz po świętach. Nie trafia, ale wszyscy się pocieszają, że to okres świąteczny i kasa dojdzie w poniedziałek. Kilku poważnych dziennikarzy informuje, że ze źródeł wiślackich wiedzą, iż przelew doszedł, ale nie został rozksięgowany. Działacze mieli go widzieć, ale nie byli w stanie z niego skorzystać. Dochodzi nawet do kłótni, kto pierwszy przekazał newsa. „RMF FM" czy „PS"?

W poniedziałek spór staje się bezzasadny. Żadnych pieniędzy na koncie nie ma. Z Vanną Ly kontakt się urywa. Jego polski wspólnik wydaje oświadczenie, w którym pisze: „Nasze myśli są teraz z panem Vanną Ly". Żona Kambodżanina miała przekazać, że jej mąż doznał zawału w samolocie, lecąc do Waszyngtonu. Z Hartlingiem kontakt istnieje. Zdenerwowany Szwed twierdzi, że ten „mały dupek" go oszukał. Zdradza, że mógłby przejąć klub sam, ale ustalił, iż pierwszą transzę miał przekazać Vanna Ly, a on na resztę będzie miał pieniądze, lecz dopiero... w marcu.

Dziennikarze i kibice spekulują, po co właściwie ta mistyfikacja. Wersje są różne. Od tego, że inwestorzy mieli być jedynie słupami, którzy odwrócą uwagę i rozmydlą odpowiedzialność dotychczasowych władz, po tłumaczenie wszystkiego nieporozumieniem. Kambodżanin i Szwed spodziewali się, że w tej cenie są do wzięcia również grunty, a nie tylko sam klub. Prawdopodobna jest też wersja, że Vanna Ly próbował w Luksemburgu wziąć kredyt, którego zabezpieczeniem miały być akcje polskiego klubu, ale kredytu nie dostał i dlatego zniknął.

> Wycofanie w trakcie rozgrywek jednej z najlepszych drużyn ekstraklasy i upadek jednego z najbardziej renomowanych polskich klubów w historii to byłby fatalny początek roku

AKT 6.

Klub trafia z powrotem w ręce TS Wisła. Z tym że nie ma już w nim Marzeny Sarapaty ani jej wspólników. Prezes Wisły rezygnuje ze stanowiska, wysyłając zawiadomienie pocztą, i znika. Nowym prezesem po raz kolejny ma zostać stary dyplomata Tadeusz Czerwiński, ale rezygnuje z powodów... zdrowotnych. Nie odmawia Rafał Wisłocki, trener i koordynator akademii Wisły, niepowiązany z żadnymi strefami wpływów.

Śledzący tragifarsę z perspektywy Zakopanego, spragniony działalności w świecie piłki były współwłaściciel Legii Bogusław Leśnodorski oferuje darmową pomoc swojej kancelarii prawnej. Na podstawie analizy dokumentów chce ustalić sytuację właścicielską klubu, spróbować odwiesić licencję na grę w ekstraklasie (została ona w międzyczasie zawieszona), przygotować dokumenty pod sprzedaż, ewentualnie pomóc w poszukiwaniu inwestora. Ryzykuje niewiele. Jeśli mu się uda, zostanie uznany za cudotwórcę i najbardziej wpływowego człowieka w polskiej piłce.

Przetrzebiona kontuzjami i rezygnacjami zawodników drużyna trenera Macieja Stolarczyka przystępuje do treningów. Na pierwszym pojawia się legenda klubu Jakub Błaszczykowski, który skończył kontrakt w Niemczech, chce potrenować i ewentualnie ocieplić wizerunek ukochanego klubu przed potencjalnymi nowymi inwestorami. Jednocześnie do klubu i do mieszkań prywatnych dawnych działaczy Wisły wpadają policjanci z CBŚ, przeprowadzając przeszukania na ogromną skalę. Zabezpieczone dokumenty mają przekazać do prokuratury. Marzeny Sarapaty nie zastają w domu...

CZY TO JUŻ KONIEC?

Reasumując, to, co się dzieje wokół Wisły, to chyba jedna z największych kompromitacji polskiej piłki w ostatnich dekadach. Wycofanie w trakcie rozgrywek jednej z najlepszych drużyn ekstraklasy i upadek jednego z najbardziej renomowanych polskich klubów w historii to byłby fatalny początek roku. I większy wstyd niż klęska reprezentacji na mundialu czy blamaż naszych zespołów w europejskich pucharach.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

eprasa.pl 23b1ab3917

Zimowa przygoda

Bieg na nartach przez tajgę, tropienie prawdziwych dinozaurów w Puszczy Jodłowej, podchodzenie edredonów i markaczek na bursztynonośnych wybrzeżach albo szusowanie w białym puchu – ale bez tłoku, w klimatach jak z „Przystanku Alaska" – to wszystko propozycje na spędzenie ferii zimowych. Bez wyjeżdżania z Polski

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

„Dalej na północny wschód rozpościera się Puszcza Romincka. To już kraniec Polski, a zarazem biegun zimna. [...] amplituda temperatur waha się od +36 do -38°C". Tamtejsze bory świerkowe mają „duże podobieństwo do zachodniej tajgi", jak o Puszczy Rominckiej pisał Włodzimierz Łapiński. Borealny charakter lasów podkreślany jest przez obecność osobliwości naszej krajowej fauny, np. śnieżnobiałego zimą zająca bielaka.

Pierwotnie Puszcza Romincka stanowiła jedno, bezkresne morze zielonego półmroku, ciągnące się od lasów Mazowsza, przez Puszczę Białowieską, Bagna Biebrzańskie, Puszczę Augustowską aż po pruskie bory. Zaledwie kilka wieków temu był to niemal niezasiedlony leśny metasystem, gdzie nie sięgała cywilizacja, a jedynie „mroki olbrzymiego boru", przez który według Sienkiewiczowskich słów „niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza obok zwałów, wykrotów, bagien i straszliwych, śpiących jeziorek [...]" i gdzie jedynymi głosami były „ryki żubrów i niedźwiedzi wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwym rysiów".

Chociaż obecnie na turystów czekają dogodne leśne drogi, to tajga i echa odwiecznej puszczy, która wyrosła na długo przed przybyciem w tamte strony Prusów i która była już prastarym, pełnym legend lasem, gdy dotarł tam święty Wojciech, by nawracać jej pogańskich mieszkańców, jest bardzo egzotycznym miejscem, wartym przynajmniej kilkudniowej wyprawy.

Jeżeli więc ktoś czuje zew północy, powinien założyć narty biegowe i zagłębić się w zaśnieżoną polską tajgę w okolicach Gołdapi, Żytkiejm, Jurkiszek, Botkunów, Żabojadów i Kiepojciów, tuż przy granicy z obwodem kaliningradzkim i Litwą. Kto zaś pośród morenowych wzgórz puszczy szuka zagadek historii i architektury, niech się wybierze zobaczyć przypominające rzymskie akwedukty stuletnie wiadukty kolejowe, przerzucone wysoko ponad rzeczką Błędzianką w Stańczykach.

NA TROPIE ALLOZAUROIDA

Wynikiem sumy dwóch pojęć „zima + ferie" dla wielu osób są góry oraz narty. A może tym razem Góry Świętokrzyskie, najstarsze geologicznie wśród gór Polski? I chociaż pośród uwiecznionej przez Żeromskiego Puszczy Jodłowej znajdziemy także wyciągi narciarskie, interesującą alternatywą jest np. wycieczka na szczyt Łysej Góry, tej samej, na której miały się odbywać sabaty czarownic. Czarownice zostały jednak definitywnie przepłoszone przez dźwięk dzwonów kościoła wzniesionego na szczycie Świętego Krzyża (jak nazywa się Łysa Góra). W kompleksie dawnych zabudowań klasztornych znajduje się, kiedyś udostępnione do zwiedzania, dawne ciężkie więzienie funkcjonujące już w XIX w.; panoramę Gór Świętokrzyskich można podziwiać z wysokiej wieży (jeżeli nie ma się lęku wysokości), a w podziemiach odwiedzić mumię, jak przypuszcza się, wielkiego księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Obok kościoła znajduje się muzeum przyrodnicze prezentujące pradawną i obecną faunę Świętokrzyskiego Parku Narodowego – mnie oczywiście się podobało, ale mnie podoba się każde

eprasa.pl 23b1ab3917

Fot. Shutterstock

muzeum przyrodnicze. Ze szczytu jest tylko parę kroków do miejscowej specjalności – gołoborza, czyli zbocza górskiego pokrytego wielkimi głazami.

Rejon w ogóle jest ciekawy. Po drugiej stronie Gór Świętokrzyskich, w Świętej Katarzynie, w małym muzeum minerałów i skamieniałości można podziwiać (i nabyć) gagat – unikatową, spotykaną w niewielu miejscach na świecie formę węgla brunatnego. To właśnie z gagatu wyrabiano czarną, żałobną biżuterię w czasach powstania styczniowego. Gagat, nazywany czarnym bursztynem, daje się pięknie szlifować, a trzymany w dłoni jest połyskliwy i lekki.

Jeżeli komuś znudziłyby się muzea (czy to możliwe?), kęs drogi od Gór Świętokrzyskich, pod Kielcami, można się zagłębić w ciemne korytarze jaskini Raj. Historia jej odkrycia do złudzenia przypomina historię słynnej Lascaux i chociaż brak w niej prehistorycznych malowideł, wędrówkę przez mrok podziemi wynagradzają narastające od prawieków stalagmity, stalaktyty i dreszcz emocji podczas spotkania z jednym z najbardziej jadowitych pająków Polski – sieciarzem jaskiniowym. Stała temperatura wewnątrz jaskini sprawia, że pająki mogą żyć w niej cały rok, dzięki czemu spotkanie z tą osobliwością arachnofauny jest pewnym punktem zwiedzania.

Niedaleko od jaskini Raj, trochę dalej od głównych dróg, znajduje się rezerwat Gagaty Sołtykowskie. Miliony lat temu wydarzyła się tam dramatyczna historia. Dwa dorosłe, roślinożerne dinozaury wraz z grupką młodych pożywiały się lepidendronami i drzewiastymi paprociami nad brzegami rzeki. Czy nie dostrzegły zagrożenia? Tego nie wiemy, w każdym razie tuż obok ich śladów w mule rzeki odcisnęły się tropy drapieżnego sześciometrowego allozauroida – trójpalczaste, długie na 60 cm. Odcisnęły się i skamieniały. Wyciśnięte w kamieniu tropy drapieżnika i rodzinnej grupy dinozaurów roślinożernych, najstarsze znane ślady świadczące o tym, że zwierzęta te opiekowały się potomstwem, można znaleźć pod drewnianym daszkiem, po przejściu nieco dzikiej ścieżki, wiodącej przez księżycowy krajobraz rezerwatu.

EDREDONY I MARKACZKI

Bałtyckie wybrzeże zimą prezentuje się zupełnie inaczej niż w sezonie letnim, co szczególnie może zafascynować ludzi z południa Polski, którzy plaże te znają z innej, parawanowo-jarmarcznej strony. Spektakularne sztormy, szalenie zdrowy jod, wydzielany wówczas w zwiększonej ilości, większa szansa na znalezienie bursztynu oraz... ptaki. Zimą bowiem przybrzeżne wody stają się hiberną miękkopiórych edredonów, markaczek, których skrzydła wydają dźwięk przypominający grzechotanie lodu, lodówek o zadziwiająco długich sterówkach ogona, wyglądających jak szpada wystająca spod opończy, masywnych uhli i całej plejady innych dziwnych dzikich kaczek, które opuszczają swoje północne ojczyzny i całymi stadami przybywają do nas.

Spacer zimową bałtycką plażą jest godny polecenia nie tylko dla ornitologów. Morze zimą wygląda zjawiskowo i warto się o tym przekonać na własne oczy.

BESKID BEZLUDNY

Chociaż Beskid ten nazywa się Niski, mógłby nazywać się bezludny. Tereny te mają wyjątkowo niską gęstość zaludnienia. Nieliczne miejscowości są malutkie, a niekiedy są jedynie nazwą na mapie, jak Radocyna czy Ciechania, bezludne, opuszczone w ubiegłym wieku na skutek wysiedleń w ramach akcji Wisła. Rejon Beskidu Niskiego, mozaika lasów i łąk, na których wiosną i latem pod czujnym okiem orlików krzykliwych pasą się stada owiec, przy całej swojej bezludności przepleciony jest siecią ziemnych dróg, dróżek i drożyn, niezwykle zachęcając do wędrówek – pieszych, rowerowych lub narciarskich. Zaraz za Przełęczą Małastowską, kiedy po wspinaczce serpentynami stajemy u progu niezwykłych gór, klimat się zmienia, a pierwszą tego oznaką są stale już odtąd obecne śnieżne, kopne zaspy. Niekiedy napotka się drewnianą cerkiewkę, cmentarz łemkowski z charakterystycznymi krzyżami albo ustawione wśród pustki drewniane drzwi z tabliczką świadczącą, jaka tam kiedyś była wieś i ilu ludzi w niej żyło. Drzwi pomniki, poprzez które widać tę samą śnieżną pustkę jak ta, w której stoją.

Inne miejsca zatrzymały się w czasie. Wyszowatka, do której dość daleko jest nawet z Krempnej, to dawny, lokalny PGR. Wokół nie ma nic – poza Beskidem. Zapewne wiele jest rzeczy, które by można zmienić i ulepszyć w Wyszowatce, jeżeli czegoś jednak jej nie brakuje, to jest to malowniczość, przesycająca każdą cząstkę tej osady: od zaśnieżonej łąki z kucem o gęstej sierści, przez drewniane drzwi do garażu z przybitym u góry porożem jelenia, przed którym stoi zasypany po okna maluch, aż po puszczyka uralskiego siedzącego w milczeniu na nadrzecznej wierzbie na skraju Wyszowatki.

Jeżeli komuś nie wystarczyłyby wędrówki przez zaśnieżone lasy w Beskidzie Niskim, może znaleźć piękne, niezbyt tłoczne wyciągi narciarskie, chociażby w Chyrowej, wiosce rodem z „Przystanku Alaska", położonej w dolinie na południe od Dukli, lub wyciągu w Sękowej, za Gorlicami. No i oczywiście trasy narciarstwa biegowego – zarówno te, oferujące pewne udogodnienia, jak i dzikse, dla zwolenników nieskrępowanej swobody, którą w tamtych stronach zapewnia każda w zasadzie droga leśna.

eprasa.pl 23b1ab3917

Zadąć w trombity po nartach

Gdzie pojechać zimą? Alpy zasypane śniegiem, więc lepiej zostać w Polsce. Zakopane, no nie wiem. Za dużo tam śmierdzących gorzałą białych niedźwiedzi, snujących się chwiejnym krokiem na dwóch łapach (kto to widział?) po Krupówkach. I koni żal. Wybór należy do was, ale ja proponuję Śląsk Cieszyński. To inny świat, w którym na pewno się zakochacie

Należę do chodziarzy, więc wolę skorzystać z własnych nóg, a nie męczyć pod Gubałówką zwierzęta. Moje serce skradł ostatnio Górny Śląsk – zdecydowanie bardziej przyjazny cenowo, a i na atrakcje w okolicy nie można narzekać. Odkąd siostra przeniosła się do pracy w Ustroniu, zaczęłam coraz śmielej zapuszczać się pod czeską granicę – w okolice Bielska pełnego pagórkowatych uliczek i secesyjnych kamienic, spokojnej Pszczyny z pałacem księżnej Daisy i zagrodą żubrów, urokliwego Cieszyna, dyskretnie wieczorami pachnącego konopiami indyjskimi, słynnej z koronek i doskonałych wyrobów serowarskich Trójwsi: Koniakowa, Istebnej i Jaworzynki, wreszcie – tętniących narciarskim życiem Szczyrku i Wisły. Zimy są tu równie piękne, ludzi jest o połowę mniej, ceny są znacznie bardziej przystępne, a tutejsi górale nakładają na talerze jakby szczodrzej. I to nie wszystko. W sklepach sportowych po czeskiej stronie jest zwykle doskonały wybór ubrań, butów, sprzętu. O piwie nawet nie wspomnę, jest lepsze i za grosze.

ANIOŁ I ŻMIJA

Już po drodze zaczynają się atrakcje. Nie chodzi mi tu bynajmniej o koszmarny korek, który od zawsze zaczyna się przed Częstochową, ale o niepozorny zjazd tuż za nią. Z gierkówki widać kierunkowskaz na Tarnowskie Góry i kopalnię srebra. Mijałam go zwykle obojętnie, ale któregoś dnia doszłam do wniosku, że przecież nic mnie nie goni, i zjechałam z trasy. Muzeum jest świetne – wydrążona w wapiennych dolomitach podziemna trasa, do której zjeżdża się windami, zrobiła na dzieciach takie wrażenie, że aż umilkły. A to zdarza im się rzadko. Z labiryntu podziemnych korytarzy szybów Anioł, Żmija i Szczęść Boże wykrojono dla turystów 1740 m, w tle towarzyszą dźwięki wózków, kucia kilofami, wystrzałów. Do tego podróż łodziami dawnym kanałem odwadniającym. Po wyjściu, zamiast bawić się telefonami, towarzystwo dyskutowało o srebrze, warunkach pracy górników, ich patronce św. Barbarze. Warto tu zjeść najlepszy żurek świata – wielki talerz za 4 zł.

WZDŁUŻ WISŁY

Ustroń – choć to uzdrowisko – powietrze ma średnie. Jeśli już koniecznie chcecie tu pomieszkać, bo nie możecie żyć bez szusowania z Wielkiej Czantorii, dobrze poszukać czegoś przy Wiśle, w stronę Hermanic. Lepiej jednak ruszyć w stronę czystego powietrza, a więc wyżej. Albo poszukać noclegu na Równicy, albo w górskich pensjonatach Wisły czy Szczyrku, albo pokonać oblodzoną przełęcz Kubalonka i posmakować prawdziwej przygody w wyższych górach.

W Wiśle też warto się zatrzymać. Pospacerować deptakiem. Atrakcji jest wiele i dla dużych, i dla małych. Jeśli nie spotkacie Adama Małysza, to możecie go zobaczyć odlanego w białej czekoladzie w Domu Zdrojowym. Za szybą, bo ktoś mu kiedyś nadgryzł ucho.

Ja oczywiście wybieram przygodę, polski koniec świata, czyli Jaworzynkę, i zaprzyjaźnioną gaździnę Jankę Juroszek. Jej agroturystyka to perełka, a sama gospodyni jest skarbnicą wiedzy o regionie, lokalnej kuchni, strojach i obyczajach. Cała rodzina hekluje, można się u niej zaopatrzyć we wspaniałe koronki. Pani Janka świetnie gotuje i piecze, więc trzeba uważać, żeby nie wrzucić paru kilogramów, które niełatwo będzie spalić na stoku.

Od Jaworzynki mam kilka minut samochodem do wyciągów na Ochodzitej w Koniakowie, basenu w Istebnej, lodowisk w Cieszynie i Ustroniu oraz parku linowego w Dzielcu, w którym latem szalejemy na tyrolkach. Teraz tak sypnęło śniegiem, że trudno znaleźć w lesie drogę, za to można podszlifować umiejętności narciarskie pod okiem doświadczonych instruktorów z Base Camp, zamówić kulig czy zabawić się w paintball.

Punktem obowiązkowym każdej wycieczki są sklep regionalny z serami u Piotra Kohuta, gdzie zaopatruję siebie i znajomych w oscypki, bryndzę oraz korbaczyki, i Muzeum Regionalne po drugiej stronie ulicy. Tam oprócz podziwiania koronek można kupić sporo całkiem ładnych pamiątek, zwłaszcza ceramicznych, oraz zagrać na trombicie. Właściciel ma kolekcję tych pasterskich instrumentów, a sam gra po mistrzowsku. Poproście, na pewno da się namówić. A po graniu karczma zaprasza.

WYCIECZKA DO MIASTA

Gdy komuś w spokojnej Jaworzynce jest za biało i za cicho, zawsze może skoczyć do miasta. W Ustroniu na Równicy są dwa schroniska. W tym mniejszym zdecydowanie lepiej można poczuć du-

eprasa.pl 23b1ab3917

Trombity w Muzeum Regionalnym w Koniakowie

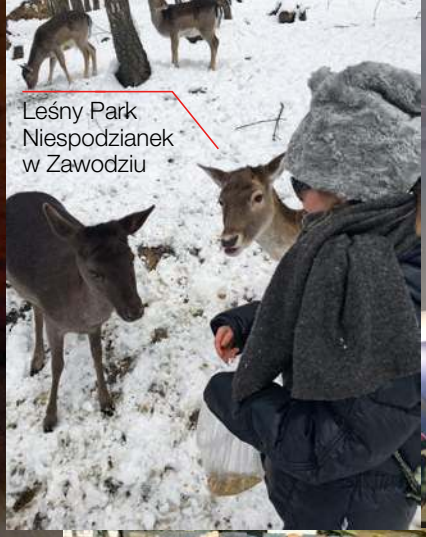

Leśny Park Niespodzianek w Zawodziu

Muzeum drukarstwa w Cieszynie

Adam Małysz z czekolady, Dom Zdrojowy w Wiśle

cha gór, a pierogi z bryndzą są doskonałe. Za to do większego – hałaśliwego i najgłośniej strzelającego w Nowy Rok – warto się wdrapać, żeby dokonać szaleńczego zjazdu na sankach i pooglądać z góry panoramy. Przy ładnej pogodzie widać stąd i Żory, i malowniczy welon smogu wiszący nad miasteczkami.

Leśny Park Niespodzianek w Zawodziu to atrakcja nie tylko dla dzieciaków. Po olbrzymim terenie tego dzikiego zoo, wśród ogromnych starych drzew biegają jelenie, daniele, muflony i alpaki, które można karmić z ręki (woreczki z przysmakami kupujemy przy wejściu, sami niczego nie wnosimy), a sokolnicy organizują pokazy lotów ptaków drapieżnych (szczególnie pięknie wyglądają bielik amerykański i szybująca południowoamerykańska aguja) oraz sów. Na szczycie ścieżki edukacyjnej urządzono sowiarnię. Pokazy lotów bezszelestnych puszczyków to niesamowite przeżycie.

W Cieszynie warto zahaczyć o Muzeum Drukarstwa, gdzie zobaczycie piękne stare prasy, linotypy, a na pamiątkę kupicie odlewane czcionki. A potem wstąpcie do gospody U Czecha, knedliki są pyszne, a czeska Trzynastka na pewno poprawi wam humor.

Pszczyna to wyprawa na pół dnia. Zamek jest jedną z najpiękniejszych magnackich rezydencji w Polsce. Mieszkali tu Hochbergowie z Książa, a w odwiedziny na polowania na jelenie i żubry przyjeżdżał cesarz Wilhelm II. Pszczyńskie żubry to osobna historia. Sprowadził je z Białowieży Jan Henryk II Hochberg von Pless. Wymienił się z carem Aleksandrem II na 20 jeleni ze swojego wspaniałego, liczącego 700 sztuk stada. Historia pokazała, że dzięki pszczyńskiej linii udało się ocalić żubry jako gatunek. Można je oglądać w pobliskiej zagrodzie edukacyjnej. Nieopodal kolejna atrakcja – skansen położony w parku pałacowym ze spichlerzem, ośmioboczną stodołą (i pięknym karawanem), masztalnią, kuźnią oraz młynem wodnym. Zabytkowe chałupy to nie rekonstrukcje, ale domy z oryginalnych materiałów.

Na koniec – Muzeum Ognia w Żorach. Jedyne takie w Polsce. Jego miedziana elewacja mieni sie w słońcu jak prawdziwy płomień. Inspiracją do stworzenia tego miejsca był pożar, który zniszczył miasto w 1702 r. To nie nudna wystawka, lecz multimedialna, interaktywna ekspozycja, a w czasie zwiedzania robicie z dziećmi ciekawe doświadczenia. Pasjonująca lekcja historii, chemii, fizyki i kultury w jednym. Tu zapalicie własnoręcznie znicz olimpijski, popracujecie jako dyspozytor straży i ugasicie wirtualny pożar. Dowiecie się też, czym wasi sąsiedzi palą w piecach – poznacie to po kolorze dymu lecącego z komina. Na koniec zrobicie sobie pamiątkowe zdjęcie kamerą termowizyjną i posłuchacie ognistej muzyki z szafy grającej. Gorąca zabawa na zakończenie zimowiska.

Anna Monicka

Heklowanie koronek Mozaika z Koniakowa

Fot. AFP PHOTO/Alberto PIZZOLI

ERIC KHOO REŻYSER FILMU „RAMEN. SMAK WSPOMNIEŃ"

Ramen Teh – zupa pojednania

Ramen przypomina polski rosół, ale jest przygotowywany ze specjalnym makaronem i zawiera wiele dodatkowych składników. To tradycyjne japońskie danie pojawia się już w pierwszej sekwencji filmu „Ramen. Smak wspomnień", który właśnie trafił do polskich kin.

Gdy umiera ojciec, w poszukiwaniu rodzinnego przepisu na zupę zapamiętaną z dzieciństwa (zakończonego śmiercią ukochanej matki) wyrusza z Japonii do Singapuru młody kucharz Masato. Jego podróż to odkrywanie dawnych i nowych smaków, ale też odsłanianie rodzinnej historii naznaczonej wojenną tragedią. Przeszłość wpłynęła na związek rodziców bohatera – nieakceptowany, bo łączący Singapurkę i Japończyka.

Po 73 latach od zakończenia japońskiej okupacji powstał film szukający dla bohaterów wspólnej płaszczyzny. Odnajdują ją m.in. dzięki kulinarnej wrażliwości i pasji. Zwieńczeniem poruszającej, ale też bardzo sensualnej, pełnej zapachów i smaków podróży Masato jest Ramen Teh. To połączenie Bak Kut Teh, dania symbolizującego Singapur, oraz Ramenu, dziś kojarzącego się z Japonią, ale nie zawsze tak było.

Do Kraju Kwitnącej Wiśni pod koniec XIX w. przywieźli tę zupę chińscy kupcy. W jej skład wchodzi chiński pszenny makaron podawany w wywarze mięsnym lub rybnym, często doprawiany sosem sojowym albo miso, do którego wrzuca się mnóstwo dodatków. To one tworzą finalny smak. W zupie muszą się znaleźć krojona wieprzowina, suszone algi, cebulka dymka oraz koniecznie ugotowane na półtwardo jajko. Prawie każdy region w Japonii ma własną odmianę Ramenu.

Bak Kut Teh – druga niezwykle popularna w Singapurze zupa – powstaje na bazie wywaru z wieprzowych żeberek. Istnieją dwie jej odmiany. W wersji Teochew przygotowuje się ją, gotując wieprzowe żeberka przez wiele godzin na wolnym ogniu, z dużą ilością papryki i czosnku. W wersji Hokkien znajdziemy mieszankę wonnych ziół i przypraw takich jak czosnek, goździki, cynamon, anyż gwiazdkowy, koper włoski i kolendra. W Singapurze bardziej znana jest wersja Bak Kut Teh Teochew. Została upowszechniona przez chińskich imigrantów, którzy przyjechali za pracą i którzy od tego treściwego, choć skromnego, posiłku rozpoczynali dzień.

Przepis na Ramen Teh – połączenie obu zup, które pojawia się w filmie – opracował na prośbę ekipy słynny kucharz Keisuke Takeda, założyciel największej singapurskiej sieci zup Ramen. Danie trafiło do menu restauracji.

Jolanta Gajda-Zadworna

Bak Kut Teh

przepis szefa kuchni Williama Socha

Składniki (porcja dla 4 osób): 1,2 kg żeberek wieprzowych, 150 g cukru, 30 g cukru typu rock sugar, 20 g świeżego imbiru, obranego i pokrojonego w grube plastry, 4 gwiazdki anyżu i 2 goździki, 3 laski cynamonu, łyżka ziaren białego pieprzu i łyżka ciemnego sosu sojowego, 20 ml jasnego sosu sojowego, sól i mielony biały pieprz do smaku, 2 czerwone papryczki chilli, pokrojone i zmieszane z sosem sojowym.

Wykonanie: Żeberka zanurzyć w garnku z wrzątkiem na ok. 3 minuty. Dobrze osuszyć, następnie opłukać pod bieżącą wodą. Opłukaną wieprzowinę włożyć do garnka i zalać odpowiednią ilością wody. Dodać wszystkie pozostałe składniki (poza solą i mielonym pieprzem oraz sosem sojowym wymieszanym z papryczkami chilli), podgrzać do pojawienia się dużych bąbli na powierzchni, utrzymać w takiej temperaturze przez ok. 15 minut. Zmniejszyć ogień i gotować tak przez prawie godzinę. Przyprawić do smaku solą i mielonym białym pieprzem. Rozlać Bak Kut Teh chochlą do glinianych miseczek i podawać z sosem sojowym oraz z czerwonymi papryczkami. Rady szefa kuchni: Opłukanie sparzonych żeberek pod bieżącą wodą pomaga usunąć szumowiny i krew ze szpiku kostnego, jest też ważnym krokiem do uzyskaniu czystego smaku. Należy również często próbować gotującej się zupy, pilnując, by nie zrobiła się za słona lub za mało słona.

eprasa.pl 23b1ab3917

SŁODKO-SŁONY

Muszelki i świderki

Fot. Shutterstock

ANNA MONICKA

Odkąd odkryłam makaron z zielonego groszku, czerwonej soczewicy, ciecierzycy i kukurydzy, nabrałam ochoty na kolejne eksperymenty kulinarne, a przy okazji jeszcze bardziej ograniczyłam jedzenie mięsa. W końcu białko roślinne to też białko, a to groszkowe czy soczewicowe jest doskonale przyswajalne. Brak w nich za to glutenu ze zbóż.

Makarony są kolorowe – zielone, czerwone, brązowe, soczyście żółte – i różnią się smakami, więc na monotonię nie narzekamy. Nie rozgotowują się, nie tracą jędrności nawet polane sosem. Mają też ładne kształty i świetnie wyglądają na talerzu czy w słoju, można się więc bawić w robienie najrozmaitszych sałatek, które na pewno spodobają się gościom i kolegom, gdy zabierzemy je z sobą do pracy. Nawiedzający nas Pan Kanapka jest przy tych zestawach bez szans.

Wytwórca strączkowych makaronów, rodzinna firma państwa Fabijańskich, zapewnia, że do produkcji używa wyłącznie źródlanej wody z Krainy Wygasłych Wulkanów, czyli Kapellanki, wypływającej z ujęcia w Podgórkach. Jej właściciele, by zagwarantować wodzie czystość, stworzyli 120-hektarową ochronną strefę łąk.

Szczególnie polubiłam makaron groszkowy, który smakiem przypomina mi cukrowe kuleczki wyjadane prosto ze strączków. Doskonale pasuje do wędzonych ryb, zwłaszcza łososia, makreli czy dorsza. Do tego piórka cebuli, koper i sos cytrynowy. Można dodać czarne oliwki lub kaparki, a całość posypać owczym serem.

Soczewicowy z małymi kolorowymi pomidorkami, delikatnym sosem czosnkowym i świeżą bazylią także smakuje wybornie. Gryczany z grzybami w śmietanowym sosie doprawionym kremową gorgonzolą i solidną porcją natki pietruszki.

Warto zaglądać na facebookową stronę producentów, bo od czasu do czasu pojawiają się tam ciekawe przepisy – na przykład na makaron z pesto pietruszkowym albo z krewetkami czy grillowaną cukinią, rukolą i serem feta.

W domu wybieram raczej świderki, gdy zabieram makaron do pracy – wolę muszelki. Lepiej znoszą podróże i wytrząsanie w słoiku.

WILCZYM OKIEM

Najlepsza woda świata...

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

a na pewno najlepsza woda Europy, którą jednocześnie pił cesarz, kilku królów – w tym Kazimierz Wielki – i znaczny poczet książąt. Mimo że źródło tej niezwykłej wody bije w Polsce, nasze zasoby wodne przedstawiają się mizernie: podczas gdy na jednego mieszkańca świata przypada przeciętnie 7,3 tys. m^3 wody, na mieszkańca Europy 4,5 tys. m^3, w naszym kraju jest to tylko 1–1,6 tys. m^3.

Najwięcej, blisko dwie trzecie, światowych zasobów słodkiej wody zmagazynowane jest w lodowcach – niestety nie mamy lodowców. Nie mamy też Bajkału, wielkich jezior amerykańskich i afrykańskich ani Amazonki. Musimy się skupić na tym, co mamy: nie regulować ani nie betonować rzek, chronić i odtwarzać bagna oraz dbać o wody gruntowe. Dla ich ochrony i pomnażania najlepszą drogą jest las i gospodarka leśna oraz nowe zalesienia, traktowane jako stale prowadzona, długoterminowa inwestycja: lasy generują opady, powstrzymują ucieczkę wody i działają jak filtr – woda przesączona przez las i przebywająca pod nim przez 50 do 100 dni staje się czystą, pitną wodą.

O ile nasze łączne zasoby wodne są niepokaźne, o tyle na szczególną uwagę zasługują wody mineralne. Jednym ze zdrojów dostarczających niezwykłej wody jest źródło Tyliczanki, w miejscowości Tylicz, nad potokiem Muszynka, niedaleko Krynicy-Zdroju. Woda o charakterze szczawy jest lekko żelazista w smaku i naturalnie gazowana. Można nabrać ją z ujęcia tuż nad brzegiem potoku. W kilku miejscach przesącza się też przez łupkowe warstwy skał fliszu karpackiego formującego jego skarpy. Przy źródle w dawnych czasach zatrzymywały się karawany kupców jadących od Węgier, na Sącz i do Krakowa. Tę wodę sprowadzono też na ucztę u Wierzynka – na której Kazimierz Wielki podejmował kwiat koronowanych głów Europy, z cesarzem na czele.

Co do ochrony zasobów wodnych, pouczający jest spacer nad dowolną rzeczką w Polsce, połączony z przyjrzeniem się różnorodności przedmiotów i tworzyw płynących wodą i leżących na jej brzegu w oczekiwaniu na przybór, który spłucze je do rzeki.

A także informacja, że podczas jednej tylko zimy każde duże miasto w Polsce wysypuje na ulice kilkadziesiąt tysięcy ton soli – spływającej następnie do rzek, przesączającej się do wód gruntowych i ujęć wody.

eprasa.pl 23b1ab3917

Riposta

PIOTR SKWIECIŃSKI

Jakiś czas temu kolega liberał, pracujący na wysokim stanowisku w polskiej filii dużej zachodniej firmy, powiedział mi, że nie widzi nic nagannego ani dziwnego w tym, iż odczuwa większą solidarność i poczucie bliskości z ludźmi z odpowiadającego mu szczebla społecznego z krajów zachodnich, że poczuwa się do większej z nimi emocjonalnej i kulturowej wspólnoty niż z polskim plebsem. Z którym, uważa, łączy go znacznie mniej.

Kiedy odpowiedziałem, że ma do tego prawo, podobnie jak mają prawo do przyjęcia takiej postawy wobec większości swoich narodów elity zachodnie, tylko że jeśli tak, to powinny się pogodzić z tym, że te odrzucone ludy kiedyś ripostują, uznając odcinające się od nich elity za obce, zareagował niedowierzaniem. Bo takie coś było w jego rozumieniu zupełnie niemożliwe. My, uprzywilejowani, mamy naturalne prawo do emancypacji od poczucia związku z ludami i obowiązków względem nich, jest natomiast nie do pomyślenia, żeby one zareagowały wobec nas analogicznie. Bo to byłoby przecież... nienaturalne.

Myślę, że to jest właśnie najbardziej zadziwiające, a przy tym najbardziej charakterystyczne w postawie zachodnich elit. To przekonanie, że ich pozycja jest wieczna, bo wynika z naturalnej wyższości. Że narody, z których te elity przecież wyszły, będą się wiecznie czuły im podległe. Będą bez końca znosić z ich strony i festiwale pogardy, i intensyfikację ekonomicznej eksploatacji, i wyprowadzanie produkcji do krajów Trzeciego Świata, i sprowadzanie do ich ojczyzn kolejnych transz obcej imigracji (warto przecież zadbać o odpowiednio tanią siłę roboczą...). I nie zbuntują się, nie wierzgną. Bo przecież to, co się dzieje, jest właśnie naturalne. Nieuniknione. Bezalternatywne.

Jeszcze w 2005 r. francuski intelektualista Jacques Attali, postać z samego rdzenia elit, napisał o przyszłości świata zachodniego słowa, które dziś można uznać za niemal prorocze. Przewidywał stopniową atrofię państw, które w coraz mniejszym stopniu będą odpowiadały „finansowym imperatywom Ładu Handlowego". Bo „handel zacznie przeważać nad demokracją". „Państwa – pisał Attali – będą zmuszone traktować sieci zagranicznych klinik jak państwowe szpitale, filie zagranicznych uniwersytetów jak uniwersytety państwowe. Prywatne firmy zajmujące się bezpieczeństwem staną się konkurencją dla policji państwowych w nadzorowaniu przepływu ludzi i danych. Ten transfer do sektora prywatnego powoli zredukuje wydatki państwa, co – cieszył się Attali – pozwoli na oszczędności".

Kto by pomyślał, że silnik parowozu dziejów może się zatrzeć?

Ale nie ma nic za darmo. „Kiedy bogate mniejszości zdadzą sobie sprawę, że w ich interesie leży, by jakaś dziedzina zależała od rynku, a nie od głosowania, zrobią wszystko, by dziedzina ta została sprywatyzowana... Następnie rynek, który ze swej natury jest ogólnoświatowy, wykroczy poza reguły demokracji, z natury swej lokalne. Najbogatsi członkowie klasy twórczej będą uważać swój pobyt w każdym kraju za indywidualny kontrakt wykluczający wszelką lojalność i wszelką solidarność z rodakami; wyjadą z niego, jeśli tylko uznają, że im się to opłaca... Klasa średnia, główny aktor demokracji rynkowej, znajdzie się w sytuacji niepewności – choć przecież sądziła, że jej uniknęła, odłączając się od klasy robotniczej".

Cytuję Attalego nie tylko dlatego, że kilkanaście lat temu przewidział dalszy ciąg procesów, które wtedy pączkowały, a dziś są już zaawansowane. Przede wszystkim dlatego, że, choć popisał się dalekowzrocznością, całkowicie nie przychodziło mu do głowy, że to, co uważał za nieuniknione, może napotkać na opór, i to skuteczny. Że silnik parowozu dziejów może się zatrzeć, zwłaszcza jeśli ktoś zacznie wrzucać do niego garści piasku. Że ktoś może efektywnie nie zgodzić się na sprowadzenie do roli spalanego w tym silniku paliwa.

A okazuje się, że może. Pamiętają państwo cytowane wyżej zdanie mówiące, że „państwa będą zmuszone traktować filie zagranicznych uniwersytetów jak uniwersytety państwowe"? Czy to nie przypomina nam ostatniego konfliktu między Viktorem Orbánem a Zachodem w sprawie „amerykańskiego", finansowanego przez Sorosa, Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego, ostatecznie mimo zachodnich krzyków i protestów zmuszonego do zniknięcia z Budapesztu? Ta paralela jest aż symboliczna. Okazuje się, że nieuniknione wcale nie jest aż tak bardzo nieuniknione. Czego dowodzą choćby „żółte kamizelki", skutecznie zmuszające proelitarny rząd Macrona do rezygnacji z reform, spychających rdzennie francuską klasę średnią w dół społecznej drabiny.

Ale chyba wiem, skąd brało się to poczucie nieuchronności. Zachodnie elity zaczerpnęły je wprost od marksistów. Ci też byli niegdyś przekonani, że wszystko wiedzą, i dzieje po prostu muszą potoczyć się tak, jak oni przewidują. Bo oni nie wierzą, tylko wiedzą. Bo jako jedyni dysponują wszystko wyjaśniającą nauką.

To groźne złudzenia zaprowadziło swoich nosicieli, uważających się w pewnym momencie już za jutrzejszych władców świata, na margines. Dziś powtarza się ta sama historia, tylko w wykonaniu nowych aktorów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 23b1ab3917

Sto razy więcej bohaterów

Mija rok od awantury o ustawę IPN, dającej możliwość karania za obarczanie Polaków winami niepopełnionymi. Najważniejsi politycy Izraela wyrazili oburzenie wobec polskiego premiera, który użył słów „żydowscy sprawcy, obok sprawców polskich, niemieckich, rosyjskich, ukraińskich". Mówili, że polski premier nie rozumie historii i prawie zaprzecza Holokaustowi, że sytuacji Polaków i Żydów podczas II wojny nie wolno porównywać. Polska ustąpiła, temat zniknął.

Ale wróci. Polska musi być przygotowana na wyłożenie mądrych argumentów, faktów. Ale jeszcze lepiej, gdyby nie czekała biernie, by sama rozpoczęła wielką, spokojną kampanię upowszechniania wiedzy o Zagładzie Żydów na ziemiach polskich. Świat nie wie, że przez pierwsze dwa lata wojny 90 proc. ofiar zamordowanych przez Niemców to Polacy. Że Auschwitz założyli Niemcy dla Polaków i zamordowali tam 80–120 tys. Polaków. Że hekatomba Polaków w latach 1937–1953 wyniosła 3,5 mln mordowanych systemowo przez Niemców, Rosjan, Ukraińców. Demografowie zwracają uwagę, że kolejne kilka milionów Polaków „zniknęło" (II RP liczyła 36 mln, 6 mln obywateli RP zamordowano, w 1945 r. pozostały 24 mln).

Czy zaplanowana i wykonana przez Niemców hekatomba Polaków nie jest godna, by porównywać ją z zaplanowanym i wykonanym przez Niemców Holokaustem Żydów? Tak, Żydów wymordowali Niemcy i ich sprzymierzeńcy więcej niż Polaków. Ale czy te 3 mln zamordowanych Polaków nie zasługują na prawdę i muszą się chować jako ofiary gorsze? Tragedia narodu żydowskiego rozegrała się wśród tragedii narodu polskiego i licytacja, kto więcej wycierpiał, uwłacza pamięci wszystkich Ofiar.

Co miał na myśli premier Netanjahu, zabraniając porównań? Wedle żydowskiego prawa (sankcjonuje je ustawa Knesetu z 1950 r.) Żydowi wolno wydać na śmierć innego Żyda i nie ponosi za to moralnej ani prawnej odpowiedzialności, jeśli tym samym ratuje swoje życie. Gdyby tę zasadę stosowali Polacy, nie ocaliliby żadnego Żyda. Polacy jednak kierowali się etyką katolicką, setki tysięcy z nich miały odwagę narażania życia swej rodziny, by ratować Żydów przed niemiecką machiną mordu. Polacy, którzy za pomoc Żydom karani byli przez Niemców śmiercią, ocalili ponad 100 tys. Żydów wbrew niemieckiemu prawu, zastraszaniu i pokazowym egzekucjom. Ilu Polaków ocaliliby Żydzi, gdyby sytuacja była odwrotna, gdyby to Żydzi mieli ryzykować życie własne i swoich rodzin, by ocalić ściganych przez Niemców Polaków? Zapytał o to rabin Barry Marcus z londyńskiej synagogi przed projekcją filmu „Historia Kowalskich".

Po likwidacji polskiego państwa Żydzi stworzyli samorządowe władze – Judenraty – które współpracowały z niemieckim okupantem. Także w tworzeniu list Żydów przeznaczonych do eksterminacji, w wyłapywaniu ich (przy pomocy żydowskiej policji) i dostarczaniu na transporty do niemieckich obozów zagłady. Polskie władze z Niemcami nie kolaborowały, jako jedyne w podbitej Europie, obok Grecji i Serbii. Polskie władze z Niemcami walczyły. Jako jedyne państwo na świecie w cel wojny wpisały ocalenie Żydów przed niemiecką machiną zagłady.

Tragedia narodu żydowskiego rozegrała się wśród tragedii narodu polskiego i licytacja, kto więcej wycierpiał, uwłacza pamięci wszystkich Ofiar

Polscy szmalcownicy istnieli, żydowscy szmalcownicy istnieli. Polskie państwo karało ich śmiercią, żydowskie samorządy wypłacały im wynagrodzenie. Tak, chcąc ocalić swoje życie. Dlatego premier Izraela nie pozwala ich potępiać i zabrania porównań, co kulturowo zanurzonym w etykę katolicką Polakom trudno pojąć.

Ksiądz Henryk Zieliński opowiada, że podczas niedawnej wizyty w Izraelu przewodnik nagle zapowiedział: „Będziemy udawać Niemców". Dlaczego? Dotąd kontrolujący wszystkich drobiazgowo żołnierze izraelscy na hasło „ekipa z Niemiec" wyprężyli się służbiście, zasalutowali i przepuścili samochód bez kontroli. Izraelscy żołnierze naprawdę chcą, byśmy byli jak Niemcy?

Mamy publicystów, którzy mówią, że nie trzeba liczyć, ilu Polaków ratowało Żydów. A to kluczowe dla przyszłości Polski. Jeśli spośród 30 mln Polaków narażających życie własne i swoich dzieci, by ratować Żydów, było 6,5 tys., to mało. Ale żydowscy i polscy historycy doskonale wiedzą, że naprawdę było ich kilkadziesiąt razy, sto razy, sto kilkadziesiąt razy więcej. Kilkaset tysięcy bohaterów. Więcej niż na całym świecie przez ostatnie trzy wieki. Taka jest Polska.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 23b1ab3917

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polemika ze złem

Komunizm nauczył kilka pokoleń, że konsekwencje ponosi się tylko za działanie, a nie za zaniechanie

Ilekroć w poszukiwaniu bieżących wydarzeń wczytuję się w prawicową prasę czy jej portale, to samo gdy chodzi o telewizyjne polemiki, doznaję uczucia dyskomfortu, tradycyjnie rozumianego jako uczucie psychicznej niewygody, połączone jednak z pewnym upokorzeniem. Czy muszę poznawać wynurzenia tej czy innej feministki, aborcjonistki, tego czy innego zaciekłego wroga Pana Boga, zapiekłego w swej nienawiści do Kościoła katolickiego, zadufanego w sobie pseudointelektualisty, któremu ktoś odbiera tzw. europejskość, albo ekonomiczne pouczania byłego komunisty, dawnego systemowego złodzieja, który krzyczy: „Łap złodzieja!", czy słuchać mądrości resortowych dzieci o tym, czym jest prawda i sprawiedliwość? Ileż razy można słuchać pozbawionych wiedzy refleksji o średniowieczu rozumianym jako okres zastoju cywilizacyjnego, wszelkiego brudu i wstecznictwa? Czy przemądrzałych mów o inkwizycji jako krwiożerczej instytucji Kościoła? Jak długo mogą nam towarzyszyć wynurzenia człowieka nienawidzącego wszystkiego, co polskie, tradycyjne, i oskarżającego innych o zdradę polskich interesów? Czy nawoływania do tolerancji, ale tylko takiej, która zaakceptuje wszelkie ludzkie zboczenia i dewiacje? Jak długo można obcować z bełkotem oskarżeń o rasizm, antysemityzm, ksenofobię tam, gdzie ich nie ma? Jak się bronić przed zalewem prymitywnego kłamstwa przebranego w pozory prawdy?

Odtrutką może być tylko dobra literatura, najlepiej taka, której nie zaatakował wirus komunizmu ani jego pochodne genderowe choroby. To jest odpowiedź, dlaczego popularyzuję dzieła prof. Feliksa Konecznego. Ale i on zmagał się z tym, co nazywał „kołoobłędem", agresywnością wymieszanych w Europie wrogich chrześcijaństwu cywilizacji, z premedytacją siejących myślowy zamęt i zniszczenie. Jak pisał: „Nasza misja polega na tym, żeby wprowadzić moralność do polityki [...]. Państwo nieuznające etyki będzie państwem turańskim, bizantyńskim, żydowskim, lecz nie łacińskim". Zadanie tym trudniejsze, im bardziej uświadomimy sobie, jak wielu ludzi w Polsce wciąż odrzuca uniwersalną etykę, którą przyniosło chrześcijaństwo.

Leopold Tyrmand rozprawiający się z chorobą komunizmu pisał, że życie w tym systemie jest piekłem, ale nie dla wszystkich. „Jest piekłem dla ludzi dobrej woli. Dla uczciwych. Dla rozsądnych. [...] Dla wrażliwych. Dla prostolinijnych i skromnych. Natomiast dobrze prosperują w komunizmie głupcy, niedostrzegający własnej marności i śmieszności". Uwagi Tyrmanda zawarte w jego „Cywilizacji komunizmu" zachowują aktualność, choć dziś polski postkomunizm wymieszał się z zachodnim liberalnym myśleniem o gospodarce i społeczeństwie, utrzymując jednak dawne oportunistyczne kadry nieumiejące samodzielnie myśleć i niepoczuwające się do żadnej odpowiedzialności.

Świadectwem obecnych czasów będą z pewnością protokoły posiedzeń komisji sejmowych badających afery Amber Gold i kradzieży podatku VAT. Prawie każdy przesłuchiwany przełożony zapewniał, że pracę wykonywali i ponosili za nią odpowiedzialność jego podwładni, gdyż on tylko ją koordynował. Podwładni zaś byli przekonani, że skoro nie ma polecenia z góry, to nic nie należy robić. I tak komunizm nauczył kilka pokoleń, że konsekwencje ponosi się tylko za działanie, a nie za zaniechanie. Wyjątkiem jest kolejowy dróżnik, który w porę nie opuścił szlabanu. Czyli jak dawniej, za komuny, jedyną bezpieczną, wręcz premiowaną formą państwowej aktywności urzędniczej czy prokuratorskiej jest ślepe wykonywanie nieistniejących poleceń, zatem nicnierobienie w celu uniknięcia narażenia się przełożonym i tym wszechmocnym, wpływowym, tym z warszawskiej centrali, którzy stali za ich awansami.

W „Dzienniku 1954" Leopold Tyrmand nazywa komunizm „największą pomyłką ludzkości". Prof. Andrzej Nowak w eseju „Problemy komunizmu" określa komunizm jako chorobę, wręcz zarazę. Ta „pomyłka" i „choroba" jest o tyle niebezpieczna, że ciągnie się przez wieki i przybiera różne formy. Wymieńmy choćby Lutra, Rousseau, Woltera, Nietzschego, Freuda, Marksa, Lenina, Hitlera, Spinellego, Gramsciego, Marcusego, kończąc na S. de Beauvoir i J. Butler, ideolożkach gender. Wykoślawia, czyni niebezpiecznymi dla innych umysły swoich wyznawców, ale równocześnie poniża swoich wrogów, tych, którzy chcą z tą chorobą walczyć. To dlatego Tyrmand skarżył się na „obsesję polemiki" z komunizmem, który jak każde zainfekowane zło przenosi się za pomocą wirusów także na niego. „Mnie tu prawie nie ma, jest tylko moje ujadanie przeciw" – pisał.

Warto o tym pamiętać, wchodząc w polemikę z ewidentnym złem, które jest ponadczasowe. Polemika ze złem nie może zatruwać nam życia. Zło jest a priori do odrzucenia. A o tym decydują nasze sumienie i zdrowy rozsądek.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 23b1ab3917

LOKAL DLA AWANTURNYCH

2019 r. – wóz albo przewóz

Odwaga w walce o polskie interesy, ukaranie aferzystów, odsunięcie od wpływów zdrajców i agentów, wyplenienie pozostałości po PRL w gospodarce, szacunek dla tradycji i bohaterów wojny z komunizmem. Tego – w warstwie ideowej – wymagaliśmy, gdy PiS i jego przybudówki doszły do władzy. Dziś, w ostatnim roku tej kadencji, wypada zadać pytanie: czy PiS te oczekiwania spełniło?

Witold Gadowski

Odwagi było tyle, ile naparstek, tchórzostwa – zwłaszcza w relacjach z USA i Izraelem – dużo więcej. Wobec UE oraz Berlina także słabo i ostatecznie w pozycji mocno zgiętej. Kropka. Aferzyści, zamiast w więziennych celach, coraz bezczelniej rozpierają się w pierwszych ławkach na oficjalnych koncertach, agentura jak hulała w najwyższych sferach, tak dalej bezczelnie hula. W gospodarce trochę mniej vatowskiego „towarzycha", za to cała reszta „oligarchów" ma się wspaniale i wyżera z narodowej kadzi, ile tylko zmieści. Jak nie mieliśmy eksportowej firmy, tak dalej nie mamy, jak genialne mózgi uciekały znad Wisły, tak nadal – ekonomicznie – rejterują. Co zatem się zmieniło?

Nastrój jest lepszy, jest więcej wolności, swobody, mówi się głośno o rzeczach, które jeszcze niedawno były nie do pomyślenia. Co prawda w TVP nadal grasują zorganizowane grupy lizusów i zawodowych opluskwiaczy, ale i tak jest lepiej. Wszystko bowiem odbywa się głośno i każdego, spoconego w pogoni za uśmiechem prezesa, funka łatwo można wyłowić i zrozumieć. Jest mniej pogardy dla zwykłego Polaka, więcej obaw przed jego gniewem. Mniej się publicznie kradnie i nie ma na to przyzwolenia.

Czy zatem zrobiliśmy postęp na drodze budowania niepodległego państwa? Tak, ale dłużej nie uda się już podejmować „niekontrowersyjnych decyzji", schodzić z linii ideologicznych ataków. Teraz nadeszła pora na crème de la crème: prawdziwą budowę prawdziwego państwa. PiS nie może klajstrować Republiki Okrągłego Stołu, tu trzeba zbudować trzecią państwowość – realną III RP. Konsekwentnie – poprzez nową konstytucję, nowe uregulowania ustrojowe, na katalogu zdrajców i zaprzańców skończywszy. Jaruzelski i Kiszczak mają tu być przykładami sowieciarzy i zdrajców. Nie da się inaczej i jeżeli premierowi Morawieckiemu zdaje się, że poskleja Republikę Okrągłego Stołu z Niepodległą Polską, to niech lepiej składa dymisję. Nie da się, nie ma potrzeby, nie można.

Te uwagi kieruję także do pana, panie wicepremierze Gowin – hybrydy były w modzie za PO, teraz wóz albo przewóz. A nabieranie na pokład czerwonej i różowej brei prędzej czy później musi zaszkodzić.

Mowa nienawiści

Wbrew tytułowi nie będzie o wojnie między PO i PiS. Zostawmy na boku polityczno-światopoglądowe przepychanki i zajmijmy się znaczeniem testosteronu w strategii przetrwania. Nasi przodkowie od zawsze słynęli z ponadprzeciętnej bitności i odwagi. Doświadczali tego na własnej skórze wikingowie, Germanie, Szwedzi, Turcy, Tatarzy, Rusini... Polska husaria rozbijała w pył wielokrotnie liczniejsze zastępy wroga, a lekka jazda lisowczyków nie miała w Europie równej sobie. Nasz Pułaski uczył amerykańskich kowbojów taktyki walki konnej, a Kościuszko – wojennej inżynierii. Doceniali waleczność Polaków i Bonaparte, i Churchill. Niewiasty na całym świecie podziwiały nie tylko męstwo, lecz również niespotykaną szarmanckość polskich żołnierzy. Zawdzięczaliśmy to wychowywaniu młodzieży w duchu wiary i rycerskiego etosu.

Lech Makowiecki

Niestety ostatnie kilkadziesiąt lat bez wojen uśpiło nasz instynkt przetrwania. Unią Europejską rządzi dziś pacyfistyczne pokolenie dzieci kwiatów. Bezbronne, infantylne i bezpłciowe społeczeństwa zastępuje się przymusowym osadnictwem agresywnych migrantów. Dyspozycyjny Donald Tusk – „długie ramię Brukseli" – miast reformować armię, zniósł pobór i rozpoczął likwidację wojska. Lewactwo (wspierane przez LGBT i celebrytów) przystąpiło do demoralizowania Polaków. Stygmatyzuje się (jako rasizm) zdroworozsądkowe „Stop migracji!". Dewizę „Bóg, Honor, Ojczyzna" nazywa się faszyzmem, a „Śmierć wrogom ojczyzny" – mową nienawiści. Opluwa się żołnierzy wyklętych, wyśmiewa „bohaterszczyznę", obraża WOT... Tymczasem krwawe sceny z francuskich, niemieckich czy szwedzkich ulic ukazują niemoc państwa i porzucenie (zdradę?) obywateli przez „elity" rządzące. Za chwilę dotrze to do nas. W tej sytuacji brak przysposobienia obronnego w szkołach (zaniedbanie MEN) i powszechnych kursów samoobrony (błąd MON) przeraża. Strzelnice i sale sportów walki powinny być dziś oblężone, taka jest potrzeba chwili. Może czas na tajne komplety?

eprasa.pl 23b1ab3917

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Pola

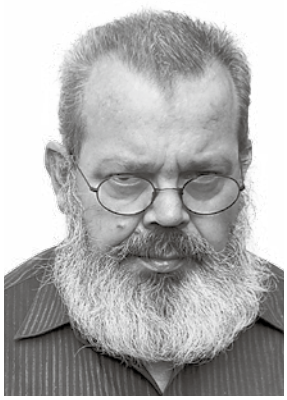

Aleksander Nalaskowski

Dzisiaj opowieść z dzieciństwa. Bo jakoś mi się kojarzy z dzisiejszą Polską. Opowieść jest autentyczna i niczego tu nie zmyślam. Zresztą nawet nie umiałbym. Talent do wymyślania u mnie marny.

W miasteczku, w którym dorastałem, świat dzielił się na podwórka. Powiedziałbym – szeroko pojęte podwórka. Nasze było dość ludne. Nie brakowało dzieciaków do zabaw w Apaczów, wojnę czy rozmaitych gier z piłką.

W mojej kamienicy mieszkała Pola. Była ruda i wyższa od rówieśniczek. Była ładna. Miała tę przypadłość, że gdy zabawy przeradzały się w bijatyki, a nie daj Bóg pojawiały się w nich „brzydkie wyrazy" (w jednym i drugim nie byłem niewiniątkiem), to Pola znikała. Po prostu dyskretnie odchodziła. Nie czyniła nikomu uwag ni wyrzutów, ale nie chciała być przy tym obecna. Z czasem zaczęło to wzbudzać śmiech i drwiny. Ale dziewczyna chyba sobie z tego nic nie robiła. Nadal bawiła się z nami na swoich zasadach. Pola była pobożna. Chodziła na nabożeństwa majowe, czerwcowe, różaniec. My też, ale nie zawsze. Zwłaszcza w maju, gdy pogoda raczej zachęcała nad jezioro, a nie do kościoła. Koleżanki mówiły na Polę „Święta". Ale i to jej nie przeszkadzało. Była wciąż z tego samego podwórka. Dobrze się uczyła, ale i wielu z nas było prawdziwymi prymusami.

Już prawie nikt nie chciał się z tą dziewczyną zadawać, kpiono z niej. Zapewne to widziała, może płakała w poduszkę, ale pozostawała sobą

Dorastaliśmy. Pomału odzywały się hormony i coraz bardziej czuliśmy własną chuć. Dziewczyny marzyły, aby z kimś chodzić, i chłopcy nie inaczej. Za sprawą dżinsów, gitary, długich włosów czy sportu chcieliśmy podwyższyć swoją atrakcyjność. U dziewczyn były to co rusz krótsze spódnice, z początku nieśmiałe, a potem bardziej bezpruderyjne rozmowy, czasami „mocne słowa", no i w niektórych przypadkach swoista „otwartość obyczajowa". Polę to ominęło. Piękniała, ale nie robiła z tego show. Nosiła spódniczki do kolan i skromne sweterki. Coraz częściej koledzy patrzyli na nią przez swoje hormonalne okulary. Ale ona wyraźnie widziała granice. Bywała, o dziwo, na prywatkach, tańczyła z wdziękiem, ale nigdy nie znikała w „drugim pokoju". Nie piła przemycanego przez kogoś wina, nie używała wulgaryzmów, a w tańcu pozwalała się przytulać tylko do pewnego stopnia. Cały czas była kimś z nas, ale na własnych warunkach.

W końcu stało się to jednak nie do zniesienia. Zaczęło się od żartów, że taka zacofana, grzeczniutka i staroświecka. Potem już były głośne kpiny, dokuczanie, a w końcu izolacja Poli. Już prawie nikt nie chciał się z tą dziewczyną zadawać, nie zapraszał na urodzinowe prywatki ani nie próbował się umawiać na randki. Kpiono z niej, głośno wykrzykiwano obraźliwe epitety, a nawet plotkowano na innych podwórkach. Z przekąsem mówiono o niej „cnotka". Zapewne to widziała, niechybnie przeżywała, może płakała w poduszkę, ale pozostawała sobą. Chodziła do kościoła, uczyła się dobrze, a normalnie zagadnięta uprzejmie rozmawiała.

A podwórko dorastało. Dorastało do pierwszych „wpadek" ciążowych, przedwcześnie wymuszonych ślubów, ten i ów odkrył w sobie inną orientację seksualną, ktoś wyjechał na saksy do Niemiec, ktoś poszedł do milicji, a jeszcze inny uznał, że najlepszym sposobem na życie jest okradanie kościelnych skarbonek. Podwórko żyło gnuśnym życiem prowincji, pary się zmieniały, pojawiały się rozwody, ktoś odkrył w sobie imperatyw partyjności. Wielu piło, bumelowało, narzekało. Pola już w ogóle do tego świata nie pasowała. Ale to nie ona się wysferzyła, tylko otoczenie zeszło na psy. W przeciwieństwie do wielu koleżanek nie miała na twarzy śladów po wódzie, po mężowskich pięściach, po licznych przejściach. Pola kwitła zjawiskową urodą, ale już nie budziła emocji. Była kimś innym, dziwadłem „co to nie wypije, nie zapali". Jak przybysz z obcego miasta, który nie chciał się asymilować.

Wyprowadziłem się z rodzicami do Torunia. Tutaj ukończyłem studia, a w końcu znalazłem się tu, gdzie jestem. Pola też skończyła studia, ale wróciła do swojej mieściny. Straciliśmy kontakt. Doświadczeni niejednokrotnie przez życie i zakręty nasi rówieśnicy pomału zaczynali rozumieć, że Pola wygrała. Jej konsekwencja i życie na własnych warunkach, chociaż przysporzyły jej przykrości, izolacji czy szyderstw, okazały się środkiem do sukcesu. Dawni koledzy opasani „piwnymi oponami", sfrustrowane koleżanki żałujące przygodnych romansów i błędów młodości teraz patrzyli na Polę z podziwem i szacunkiem. Pod każdym względem była zbyt atrakcyjna, aby wzbudzać jakąkolwiek zazdrość. To tak jakby Rockefellerowi zazdrościć milionów. Wielu chyba zrozumiało, że gdyby wtedy się Pola ugięła, uległa namowom za cenę akceptacji i poklasku, to dzisiaj byłaby tam, gdzie oni.

No, pewnie powiało trochę wańkowiczowskim „smrodkiem dydaktycznym", prawda? W końcu jestem belfrem.

Autopromocja

eprasa.pl 23b1ab3917

PRZEZ ŚWIETLIK

Na własną prośbę

W zeszłym roku obchodziliśmy półwiecze ostatecznego starcia dwóch grup komunistów o władzę w Polsce. W jego wyniku jedna grupa wyrzuciła znad Wisły drugą. Ponieważ przy okazji używała antysemickiej retoryki, więc wyrzucono trochę przypadkowych, Bogu ducha winnych, osób pochodzenia żydowskiego. Nie był to już stalinizm i komuniści, nie tylko w Polsce, na tyle złagodnieli, że odkryli, iż wręczenie konkurentowi do władzy biletu w jedną stronę bywa dużo skuteczniejsze niż robienie z niego męczennika poprzez trzymanie go w kazamatach. Lepiej, by urządził się gdzieś indziej, niż w celi obmyślał zemstę, jak wcześniej czynił to zapewne Gomułka.

Zresztą zalety wyrzucania z kraju konkurentów do władzy odkryto kawał czasu temu. Na przykład rok temu władze Rzymu cofnęły decyzję cesarza Augusta o wygnaniu Owidiusza, który zmarł w Konstancy w Rumunii. Zapewne już wówczas głupio było wybitnego poetę po prostu zasztyletować czy kazać mu łyknąć jakiegoś niezdrowego płynu, więc podziękowano mu i zalecono spędzenie reszty życia u ujścia Dunaju.

Takie humanitarne praktyki stosuje się do dzisiaj. Jednak i wyrzucanie bywa sztuką. Prawdziwe mistrzostwo to wyrzucenie kogoś w taki sposób, by wszyscy dookoła, a może i on sam, myśleli, że sam się wyprowadził. Trochę tak, jak to było u Laskowika: „Strach pomyśleć, co się stanie, jak w pewnym momencie nas wywalą... co ja gadam, co ja gadam... jak na własną prośbę odejdziemy...". Zdaje się, że taką właśnie politykę w stosunku do naszego kraju prowadzą w ostatnim czasie rozmaici niemieccy i holenderscy demokraci, prasa zza Odry i polskojęzyczni polityczni wykonawcy woli Berlina. Zresztą nie tylko w stosunku do naszego kraju.

Wiktor Świetlik

Strach pomyśleć, co się stanie, jak w pewnym momencie nas wywalą... co ja gadam, co ja gadam... jak na własną prośbę odejdziemy

Mistrzowie jednak z nich nie są, czego pośrednim dowodem jest nader szczery artykuł opublikowany ostatnio na portalu Politico przez Alexandra Clarksona, „prounijnego" wykładowcę z londyńskiego King's College. Jak przekonuje Clarkson, „populiści" tacy jak szef MSW Włoch Matteo Salvini „nie chcą zniszczyć UE", i to jest bardzo zła wiadomość. Bo przecież wtedy można by ich po prostu wyrz..., o sorry, sami by odeszli, na własną prośbę. Tymczasem – jak stwierdza przerażony Anglik – „populiści" chcą przejąć Unię Europejską i przemeblować ją na własną modłę. Czyli teoretycznie zrealizować to, co zakłada normalny mechanizm demokratyczny. Teoretycznie, bo praktycznie próba oderwania dzisiejszych elit od żłobu i przystawienie do niego kogoś innego to najwyższa forma populizmu i nie bójmy się tego słowa – faszyzmu. Bo faszysta – jak widać – to ten, co nie chce odejść na własną prośbę.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

E-prenumerata SIECI wSIECI HISTORII

9,99 zł za miesiąc

Zamów na: SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 23b1ab3917

Symbol Warszawy w nowej postaci

Jerzy Jachowicz

Warszawska Syrenka będzie miała nową twarz! Radni Warszawy głosami PO i Nowoczesnej zdecydowali, że od lutego 2019 r. słynny pomnik na Starym Mieście będzie miał twarz wieloletniej prezydent stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Obecny włodarz stołecznego ratusza Rafał Trzaskowski, otwierając sesję, na której zapadła historyczna decyzja, powiedział: – Mieszkańcy Warszawy, chcę jasno oznajmić, że z entuzjazmem odnoszę się do projektu uchwały zaproponowanej przez liczną grupę radnych, odnośnie do zmian niektórych pomników Warszawy. Ślepe kultywowanie tradycji nie może być kulą u nogi nowoczesnej, europejskiej metropolii. Nie może paraliżować jej rozkwitu, w tym w jakże ważnym obszarze kultury. A szczególnie wizualnej. Rzucającej się w oczy odwiedzającym Warszawę gościom z całego świata.

Przewodniczący grupy radnych PO począł uzasadniać propozycję uchwały: – Nie muszę chyba nikogo przekonywać do naszego projektu. Wielu z nas miało to szczęście, że współdziałało z najlepszym prezydentem w dziejach Warszawy. Hanna Gronkiewicz-Waltz sprawiła, że stolica Polski rozkwitła niczym pięknej róży kwiat. Przepraszam państwa, ale wzruszenie nie pozwala mi dalej mówić... wymieniać zasług...

– Nie ma potrzeby – weszła w słowo przewodnicząca Rady prowadząca sesję Ewa Malinowska-Grupińska. – Znamy je wszyscy – dodała. To powiedziawszy, zarządziła głosowanie.

– Chwila, zgłaszam wniosek, aby... – rozpoczęła młoda radna PiS.

– Zamykam dyskusję. Kto jest za wnioskiem, niech... – przerwała Grupińska. – Siadać mi natychmiast na miejsce! – ostrzegła buntowniczą radną.

Ta złapała się mikrofonu i zdążyła wykrzyczeć: – Nową Syrenkę ustawić przed bramą na Noakowskiego 16, gdzie rodzina pani prezydent zdobyła kamienicę, mienie pożydowskie!

Na szczęście dzięki sprawności przewodniczącej Rady ten drobny incydent nie przerwał głosowania ani nie zmienił jego spodziewanego wyniku. Władze miasta zapraszają warszawiaków na uroczyste otwarcie nowego pomnika w pierwszą niedzielę lutego po obiedzie.

CO MNIE WKURZA

Kij w mrowisko

Katarzyna Łaniewska

Z premedytacją pozwalam sobie zamieszać w tyglu idiotycznej reklamy uwielbienia dla sposobu spędzania sylwestra, promującej występy 31.12 w Zakopanem przez wszystkie możliwe programy telewizji publicznej.

Przed estradą zebrało się podobno 80 tys. ludzi. Chcieli, przyjechali – wolny wybór. A w telewizji oglądało to wydarzenie ok. 8 mln. Proszę bardzo – wolny wybór. Jest kilka klawiszy na pilocie, które można było nacisnąć. Nie zrobili tego – wolny wybór.

Tylko pytam, w imię czego i dlaczego?

Kilka tygodni przed sylwestrem była już reklama „NAJwiększej", „NAJwspanialszej" i jedynej imprezy. Nasz narodowy obowiązek to spędzanie sylwestra. Czy decydenci nie zdawali sobie sprawy, że przesadzili, z panem prezesem na czele, który lubował się w spędzaniu gości? Panie prezesie, to wygląda już podejrzanie. Może było to aż tak złe, że ratowaliście frekwencję, na której panu tak bardzo zależy? Wydawało mi się, że poziom kultury w telewizji publicznej za pana rządów wzrośnie. Zawiodłam się bardzo. Przyklaskuje pan najgorszym gustom i twierdzi, że publiczność tego chce? No jak nie ma wyboru lub go nie widzi...

Kto reklamował koncert w Filharmonii Narodowej? Kto reklamował „Szopkę"? Była raz, przeszła cicho i nie ma powtórki. Natomiast kolejne dni po sylwestrze dalej mamy jego powtórki w odcinkach. Nawet „Wiadomości" zaczynały się koncertem w Zakopanem.

A nazwanie tego wspólnotą narodową...! Bo wszyscy niby byli razem. Tak, ci, co chcieli, byli razem i podskakiwali kilka godzin. Nie mam nic przeciwko temu. Ale nazwę „wspólnota narodowa" zostawmy może dla biało-czerwonego marszu 11 listopada. Tak wiem, są programy Kultura i Historia, ale do nich trzeba sięgnąć. A „tam-ta-ram-tam" jest wszędzie i sylwester był tego ukoronowaniem.

Może jestem stara, zdziczała i nieoglądająca współczesności w internecie. Ale wiem, jak wygląda piosenka. Czy ktoś w publicznej telewizji oglądał ostatnio gwiazdę, która jeszcze na szczęści pracuje i lśni – Edytę Geppert? Ona w jednym kostiumie, w czarnych spodniach i przy mikrofonie bez krzyczących świateł wykonuje wspaniałe piosenki, z których każda jest minispektaklem. Gdzie jest Michał Bajor, który udowadnia, że wszystkie słowa w piosence mogą być słyszalne i dobrze wykonane, bo o nie właśnie chodziło. Nie refren: „Twe oczy zielone...".

To jest obrzydliwe. Pora zawrócić i uprzytomnić sobie, że nie tylko tamci są widzami. Zacytuję, bo kolor podobny: „Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy".

Autopromocja

eprasa.pl 23b1ab3917

STYCZEŃ

MOCNY TYDZIEŃ

z TELEWIZJĄ W POLSCE PL

PONIEDZIAŁEK

17:05

BARDZO WAŻNA SPRAWA

WTOREK

22:00!

SERIAL SŁUGA NARODU

WŁĄCZ W POLSCE PL

ŚRODA

13:05!

PROSZĘ TO WYJAŚNIĆ

CZWARTEK

17:25

TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA KARNOWSKICH

PIĄTEK

22:00

BEZ SPINY !!!

eprasa.pl 23b1ab3917

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Stawiam na eksprezydenta

Opozycja ma klęskę urodzaju kandydatów do europarlamentu

Ryszard Makowski

Człowiek jest cały czas zaskakiwany. Nigdy bym nie przypuszczał, że totalna opozycja składa się z tak wysublimowanych osobowości, szczególnie przewrażliwionych na punkcie dobra państwa, uczciwości, przestrzegania prawa i oczywiście konstytucji. Gdy się patrzy na tych ludzi owładniętych misją, ekspertów, kogo PiS powinien obsadzać na stanowiskach, ile kto powinien zarabiać, no i oczywiście z kim prezes Kaczyński może się spotkać, a z kim nie powinien...

Poseł PO Andrzej Halicki grzmiał: „Żądamy ujawnienia informacji o szczegółach środowej rozmowy prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego z wicepremierem Włoch Matteo Salvinim". No jak już poseł Halicki żąda, to sprawa jest poważna. W sumie to faux pas, że poseł Halicki nie został na to spotkanie zaproszony. Duża wpadka PiS. Przecież musimy zostać w Unii! Musimy! Choćby dlatego, żeby takie wybitne postaci jak Bronisław Komorowski i Ewa Kopacz mogły się ubiegać o brukselski mandat. Tyle zrobiły dla Polski... łzy wzruszenia lecą na klawiaturę.

Jest tylko problem, kto ma mieć jedynkę na liście w Warszawie: eksprezydent czy ekspremier? Podobno trwają ostre targi. Zdecydowanie lepszą kandydaturą jest były prezydent. Jak tylko skończy kadencję – ile on dobra przywiezie do kraju. Powykręca żyrandole, ekspres do kawy zakosi, jakiś obraz mu się spodoba, to zdejmie ze ściany. Polska była przez tyle wieków łupiona, a tu jest ogromna szansa na powetowanie naszych strat.

eprasa.pl 23b1ab3917

Zawistowski prezentuje: Dzik

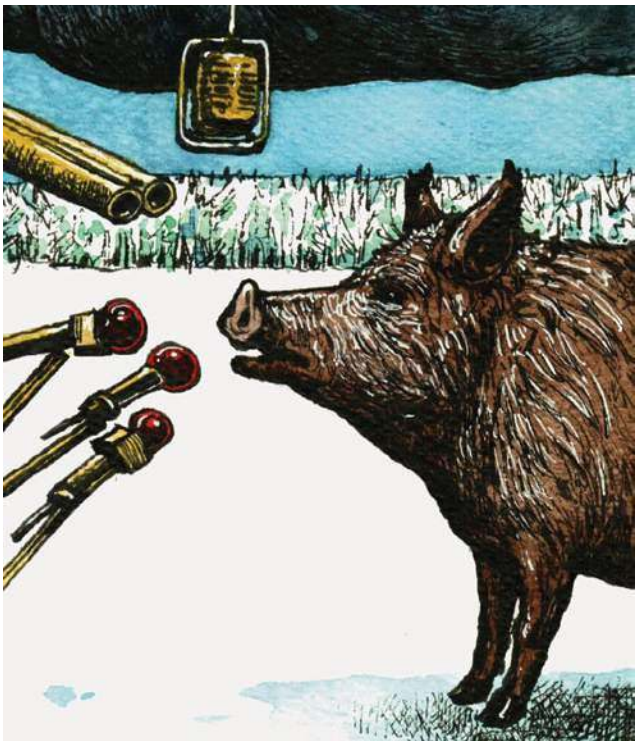

Wycinki z przeszłości

Takim oto obrazkiem życzyła czytelnikom szczęścia na nowy rok „Moja Przyjaciółka" z grudnia 1938 r. Niestety, okazał się on dla Polski i Polaków tragiczny, ale tymczasem życie toczyło się dalej. Zerknijmy na ogłoszenia matrymonialne zawarte w piśmie.

„KAWALER agronom szlachetny, zamożny ewangelik, z braku znajomości pragnie poznać stosowną aryjkę do lat 38. Zgłoszenia pod hasłem »BN«".

TECHNOLOG, kierownicze stanowisko, pobory 500 zł, poślubi wysoką 28 lat panienkę, entuzjastkę wiary, dobra, piękna duchowego, materialnie niezależną. Zgłoszenia do działu ogłoszeń pod hasłem »Literat«.

Z PANIĄ zdrową, dobrą, poniżej 35 lat, pracowitą i zamożną, miłej powierzchowności nawiążę korespondencję matrymonialną. Zgłoszenia pod hasłem »Nr. 24«.

LAT 28, charakter, energia, miła aparycja. Podam ramię damie dobrze sytuowanej, która dopomoże do ukończenia studiów. Listy poważne z fotografią składać pod hasłem »Przeznaczenie«.

POGAWĘDZĘ listownie z miłym i inteligentnym panem. Zgłoszenia proszę kierować pod hasło »Kobiecość«".

Ogłaszał się też „światowej sławy astrografolog Said Foady, którego „przepowiednie na rok 1938 ogłoszone na łamach prasy polskiej ziściły się co do joty". Oferowano 50 proc. zniżki.

Ale warte to było dokładnie tyle samo, ile nasze współczesne wróżby i zabobony.

(mk)

Ten rok z Moniuszką...

„Prząśniczka", Jan Czeczot (1796–1847)

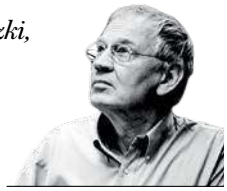

Leszek Długosz

U prząśniczki siedzą jak anioł dzieweczki,
przędą sobie, przędą jedwabne niteczki.
Kręć się, kręć wrzeciono,
wić się tobie wić!
Ta pamięta lepiej,
czyja dłuższa nić.

Poszedł do Królewca młodzieniec z wiciną,
łzami się zalewał, żegnając z dziewczyną.
Kręć się, kręć wrzeciono,
wić się tobie wić!
Ta pamięta lepiej,
czyja dłuższa nić.

Gładko idzie przędza wesołej dziewczynie,
pamiętała trzy dni o wiernym chłopczynie.
Kręć się, kręć wrzeciono,
wić się tobie wić!
Ta pamięta lepiej,
czyja dłuższa nić.

Inny się młodzieniec podsuwa z ubocza
i innemu rada dziewczyna ochocza.
Kręć się, kręć wrzeciono,
prysła wątła nić.
Wstydem dziewczę płonie,
wstydź się, dziewczę, wstydź!

„Stara Warszawa", Jan Lechoń (1899–1956)

Dobra Parka raz jeszcze nawleka swą igłę
I jeszcze wciąż nie wierzysz, że w końcu nić przetnie.
Nic jeszcze nie chce żegnać, lecz już widzę świetnie
To wszystko, co stracone i co niedościgłe.

Jedną mgłą więc zachodzą: miłość nie dzielona,
Mnie tylko znane winy, śmieszną złudą sławy.
I tylko złote słońce, co nade mną kona,
Żywszym blaskiem oświeca dach starej Warszawy.

Czuje, płynie przez okno zapach dawnych kwietni,
Widzę meble pluszowe, jedwabne poduszki,
A ja, z Stasiem Balińskim, obaj siedmioletni,
Śpiewamy w chórze dzieci piosenkę Moniuszki.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 23b1ab3917

OD A DO ZYBERTOWICZA

W oceanie dezinfo

Marketing sieciowy, fake newsy czy (sub)kultura młodzieżowej beki każdego dnia współtworzą nie tyle infozgiełk, ile raczej ocean infoszamba. I wygląda na to, że w takim stanie rzeczy reżimy autorytarne lepiej sobie radzą niż demokratyczne

Przygotowując się do programu Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać" w TVP Info, poświęconego rosyjskiej dezinformacji (7 stycznia 2019 r.), zastanawiałem się, co ogólnie wiemy na temat mechanizmów dezinformowania w dzisiejszych warunkach cywilizacyjnych. Wnioski, jakie wyraziłem podczas programu, były zgoła nieoczywiste.

ROSJANIE

Zaiste, Rosjanie zapracowali sobie na złą reputację w tej mierze. Wiadomo, że nielegalnie ingerowali w ostatnie amerykańskie wybory prezydenckie i manipulowali kampanią przed referendum w sprawie brexitu. Stale prowadzą operacje dezinformacyjne wobec naszego kraju, w tym wobec MON, wobec obecności natowskich wojsk sojuszniczych w Polsce, wobec projektu dywersyfikacji źródeł dostępu Polski do nośników surowców energetycznych. To wszystko trzeba wiedzieć. Trzeba to monitorować, uświadamiać i temu przeciwdziałać.

Ważne jednak, by uświadomić sobie także, że Rosja i niektóre inne kraje mogą to wszystko robić, gdyż korzystają z technicznej infrastruktury cywilizacyjnej zbudowanej w ramach demokracji liberalnej. W pewien sposób superproinnowacyjna demokracja liberalna gorliwie ukręciła sznur na swoją szyję.

Niemniej w mojej ocenie (która oczywiście wymaga precyzyjnej weryfikacji badawczej) to, co Rosjanie robią, jest jedynie zmarszczką na oceanie fal masowej dezinformacji.

DEZINFO SPONTANICZNE

We wspomnianej audycji wskazałem, że nawet gdybyśmy nie mieli do czynienia z operacjami dezinformacyjnymi ze strony krajów takich jak Rosja, to i tak w warunkach nowych technologii komunikacyjnych, w tym tzw. mediów społecznościowych (w istocie działających odsspołeczniająco), w czasie przeciążenia informacyjnego to my, użytkownicy internetu, w większości spontanicznie sami oszukujemy się na co dzień. Owe media spowodowały, że każdy może w internecie rozsiewać kłamstwa, manipulacje, fake newsy. Niedawne badania wykazały, że sporo osób świadomie powiela informacje fałszywe – folgując w ten sposób swoim mrocznym instynktom.

Ludzie zawsze mieli swoją mroczną stronę, ale dopiero od czasu internetu mogą dawać jej ujście w skali tak masowej.

Marketing sieciowy, fake newsy czy (sub)kultura młodzieżowej beki każdego dnia współtworzą nie tyle infozgiełk, ile raczej ocean infoszamba. I wygląda na to, że w takim stanie rzeczy reżimy autorytarne lepiej sobie radzą niż demokratyczne.

Ale te spontaniczne, masowe fale infoprzeciążeń – choć w sumie o wiele potężniejsze od rosyjskich operacji wpływu – to dalej tylko powierzchniowa warstwa fal świata dezinformacji.

Nie zrozumiemy przestrzeni informacyjnej, w jakiej zanurzony jest dzisiejszy człowiek, jeśli nie zejdziemy poniżej poziomu zmarszczek na wodzie, poniżej zderzających się fal, jeśli nie skierujemy swojej uwagi ku głębinowym prądom oceanu (dez) informacyjnego.

MANIPULACJE SYSTEMOWE

Giganci technologiczni, zwłaszcza Google i Facebook, w krótkim czasie stali się pośrednikami między człowiekiem a informacjami i wiedzą. Wiele osób nie może wyjść z podziwu, jak wspaniałymi – przecież darmowymi, czyż nie? – narzędziami docierania do wiedzy i nawiązywania kontaktów międzyludzkich są te firmy. Wcześniej, przez tysiąclecia, nie było to możliwe.

Zapominamy jednak, że bezpłatność korzystania z usług tych serwisów jest pozorna. Za każdym razem, gdy z nich korzystamy, coś od siebie przekazujemy, często w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. Tworzymy dane o swoich nawykach, potrzebach, nadziejach, lękach...

Giganci technologiczni (należą do nich także Apple, Amazon i Microsoft) zamieniają tę wiedzę na wielkie pieniądze otrzymywane od reklamodawców. To samo w sobie nie musiałoby być niczym zdrożnym, gdyby nie ogromne możliwości manipulowania już nie tylko strumieniami informacji, lecz wprost obrazem świata, jaki ludzkość dziś otrzymuje za pośrednictwem tych gigantów. Przy ich możliwościach manipulacji niejawnymi algorytmami obiegu informacji dotyczącymi miliardów użytkowników Rosjanie pozostają na etapie majsterkowania (choć zarazem niepokojąco często trafiają w punkt).

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Autopromocja

eprasa.pl 23b1ab3917

SIECI w prenumeracie!

Taniej

– oszczędzasz nawet 173,90 zł!

Pewniej

– dostawa prosto do domu

Z prezentami

Książka „Serce w serce”, zakładka do książki i kalendarz

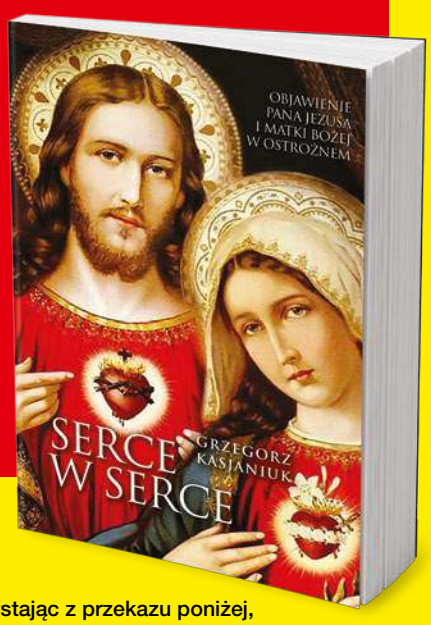

Prenumerata roczna pakietu Sieci i wSieci Historii: 280 zł

Zamów prenumeratę na **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata** lub opłać na poczcie, korzystając z przekazu poniżej, lub zrób przelew elektroniczny na konto **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290,** Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując **prenumerata pakiet** i pełne dane adresowe do wysyłki.

Prenumerata: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata **Informacje:** 22 616 15 70, prenumerata@fratria.pl

nazwa odbiorcy
Fratria Sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128
81-472 Gdynia

91124053541111001077136290

kwota
280 zł

słownie
dwieście osiemdziesiąt

zleceniodawca

tytułem
prenumerata pakiet

opłata

podpis

nazwa odbiorcy
Fratria Sp. z o.o.

nazwa odbiorcy cd.
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia

nr rachunku odbiorcy
9 1 1 2 4 0 5 3 5 4 1 1 1 1 0 0 1 0 7 7 1 3 6 2 9 0

W P waluta P L N kwota 2 8 0

nr rachunku zleceniodawcy(przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem
P R E N U M E R A T A P A K I E T

tytułem cd.

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

eprasa.pl 23b1ab3917

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

TechnoBiznes 2019

Konkursy Technologiczne:

HIT ROKU 2019 oraz LIDER 2018

w kategoriach:

- **Bankowość**
- **Ubezpieczenia i inne usługi finansowe**
- **Przemysł 4.0**

HIT ROKU 2019 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

LIDER 2018 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

Zgłoszenia przyjmujemy w dniach

07.01.2019 - 28.02.2019

Szczegóły na: **gb.pl/konkursy**

eprasa.pl 23b1ab3917